

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/411

1981



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

**OBSERWATORIUM ; ST. KISIELEWSKI : O NOWE
HASŁO. - A. KORASZEWSKI : CHŁOP I SPRAWA
POLSKA. - B. LASKOWSKI : MYŚLI O PROGRAMIE
« SOLIDARNOŚCI ». - S. : SMUTNE DEKLARACJE**

BRUKSELCZYK : WOJNA O POKÓJ

J. RAKOWSKI :

CZY POWRÓT POLSKI DO BRETTON WOODS ?

SPIS RZECZY

OBSERWATORIUM

Stefan Kisielewski:	<i>O nowe hasło</i>	3
Andrzej Koraszewski:	<i>Chłop a sprawa polska</i>	8
Bronisław Lasocki:	<i>Mysli o programie „Solidarność”</i>	13
S.:	<i>Smutne deklaracje</i>	21



Tadeusz Jarzembowski:	<i>Londyn 1956</i>	24
-----------------------	--------------------------	----

WIERŚE

Henryk Skwarczyński:	<i>Wygnaniec</i>	32
Krzysztof Smoczyk:	<i>Ogłoszenie</i>	32
Adam Zagajewski:	<i>Słownik. — On pisze. — Zdrójca</i> ..	33

ARCHIWUM POLITYCZNE

Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli (Wojna o pokój)</i>	35
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	48

SPRAWY I TROSKI

Janusz Rakowski:	<i>Czy powrót Polski do Bretton Woods?</i>	54
—	<i>Akcja pomocy dla Polski (2)</i>	58

SĄSIEDZI

Włodzimierz Brylewski:	<i>„Kartki z kalendarza” Maksima Tanka</i>	62
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	69
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	75
Marian Gomułka:	<i>Kronika austriacka</i>	79

KRONIKA KULTURALNA

Krzysztof Pomian:	<i>Herling-Grudziński — emigracja heroiczna</i>	82
Zofia Romanowiczowa:	<i>Zofia Romanowiczowa o sobie</i>	86

POLEMIKI

I. M. Bocheński, O.P.:	<i>List do Redakcji na marginesie artykułu J. J. Lipskiego „Dwie ojczyzny...”</i>	89
Witold Wirpsza:	<i>List do Jana Józefa Lipskiego</i>	90

PAMFLETY

Leopold Tyrmand:	<i>Fryzury Mieczysława Rakowskiego</i> ..	93
------------------	---	----

KSIĄŻKI

Adam Michnik:	<i>Kościół i lewica po latach</i>	110
Janina Katz Hewetson:	<i>O krwisty befsztyk prozy</i>	120
—	<i>Nadchodzą nowości wydawnicze</i>	130



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	133
—	<i>No ty</i>	140



W. Baryło - A. Mietkowski,	<i>Listy do Redakcji</i>	142
O. Czernenko - J. Łobodowski,		
A. Gritzmann,		
M. Lipowski, V. W. Starczewski:		

DOKUMENTY

St. Bratkowski:	<i>List do członków KC PZPR, zebranych na V Plenum 1981 r.</i>	145
J. J. Lipski:	<i>Do Delegatów na 1-szy Zjazd NSZZ „Solidarność”</i>	146



—	<i>Indeks autorów i tematów „Kultury” za rok 1981</i>	148
---	---	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Grudzień - Décembre

1981

INSTYTUT



LITERACKI

EXCHANGE COPY FROM
SVENSKA AKADEMIENS
NOBELBIBLIOTEK
STOCKHOLM

**REDAKCJA « KULTURY » SKŁADA SVOIM
PRENUMERATOM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dr. Włodzimierz Dzikowski, Chichester, Sussex (Wielka Brytania) — £ 30,00	F. 310,00
Ryszard Głodkowski, Lay St. Christophe (Francja, po raz 18-ty	F. 190,00
Dr Józef Handelsman, Paryż	F. 500,00
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada), po raz 15-ty — \$ c.40,00	F. 184,00
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz 12-ty	F. 100,00
Mamert Miż-Miszyn, Hohenbrunn (RFN) — zamiast kwiatów na groby Kazimierza Okulicza i Stefana Kozłowskiego — DM 100,00	F. 250,00
Adam Nasielski, Cooma North, NSW (Australia), po raz 9-ty	F. 500,00
François Prause, Nicea, po raz 21-szy	F. 100,00
W.K., Göteborg (Szwecja) — KS 50,00	F. 50,00
Bezimiennie z Waszyngtonu — \$ 20,00	F. 112,00
Ilse Maybach, Heillbronn (RFN), po raz 18-ty	F. 360,28
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man (Kanada) — na niezależną prasę w Kraju — \$ 100,00 (gotówką)	F. 560,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Alicja Iwańska, Albany, N.Y. (USA) — \$ 100,00	F. 560,00
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada) — \$ c. 80,00	F. 368,00
Piotr Kalinowski, Paryż	F. 100,00
Klub Polsko-Kanadyjski w Ottawie — zamiast kwiatów na grób wielce zastępowanego b. kustosa zbiorów wawelskich — Józefa Krzywda-Polkowskiego	F. 150,00
Ku uczczeniu pamięci Elmera Lunde: J. Pujdak, S. Szymański, Z. Wardas, i M. Małolepszy — \$ 40,00 oraz Tina Capezza-Beyerle — \$ 40,00 — razem: \$ 80,00	F. 448,00
Józef Mycielski, Sao Paulo (Brazylia) — na ręce Lecha Wałęsy	F. 564,55
Maria i Aleksander Wilk-Wilczyńscy, Västerås (Szwecja) — dla uczczenia pamięci dr Ewy Rajewskiej, „Dr Winki”, zmarłej w Swindown (Wielka Brytania) — w 10-tą rocznicę śmierci	F. 200,00

WPLATY NA T.K.N.

Bezimiennie z Heidelbergu (RFN), po raz 8-my	F. 255,00
Bezimiennie od grupy brydżystów w Montrealu — \$ US 100,00	F. 560,00
Polska księgarnia w Adelaide (Australia)	F. 200,00
◆	
Tadeusz Brzostek, Paryż — na KPN (obrona sądowa uwięzionych przywódców)	F. 200,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Obserwatorium

O NOWE HASŁO

Polska w nędzy, w sytuacji mętnej, nieprzejrzystej, gdzie nie widać ani wyjścia, ani konkretnej i zrozumiałej propozycji wyjścia, ani wreszcie całościowego hasła, które mogłoby ludzi zapalić, zachęcić, dać im impuls do działania i do pracy, otworzyć nową perspektywę. Owszem, młodzież z „Solidarności” walczy, upojona możliwością działania, jakiej nie było w Polsce przez parę dziesięcioleci, wychodzą przeróżne pozaczynuralne pisma, książki, broszury, trwa festiwal rocznic, przemówień, głosowań, swobody, ale społeczeństwu jako całości brak nowej, narodowej perspektywy, która wyraźnie naznaczyłaby sobą początek kolejnego i twórczego etapu naszej historii. Toż nawet komuniści na początku tak dzisiaj zbankrutowanej „Polski Ludowej”, choć startując z niekorzystnej pozycji, bo pod jawnymi auspicjami sowieckimi, potrafili rzucić kilka plakatowych, lecz bardzo konkretnych haseł, które znalazły pewne społeczne echo i niejednokrotnie stały się motywacją dla pracy u wyposzczonych, znużonych niemiecką okupacją „szarych” ludzi. Dziś natomiast w Polsce mamy, owszem, inflację haseł szczytnych, demokratycznych, narodowych, padają piękne słowa o wyborach, samorządności, niezależności, samostanowieniu, lecz to są hasła ramowe, na wyrost, nie wypełnione konkretną treścią społeczno-ustrojową. Oczywiście, w dziedzinach że tak powiem „humanistycznych”, w publicystyce, literaturze, historii, w świadomości politycznej dokonało się mnóstwo rzeczy przełomowych, lecz za ową humanistyką nie podążyła koncepcyjna myśl społeczno-gospodarcza. Z wielkiej chmury spadł tutaj mały deszcz, debaty o reformie gospodarczej utknęły na niczym, ekonomistom, zdolnym skądinąd pozaczasowym teorety-

kom, zbrakło egzekutywy politycznej, z pomocą której mogliby przezwyciężyć opór aparatu partyjno-administracyjnego, który rządził produkcją i myśli, że będzie nią rządził dalej. W czym zresztą nie przeszkadza mu specjalnie tak przez Marksa reklamowana klasa robotnicza, która, wychowana w naszym systemie kapitalizmu państwowego, bynajmniej nie kwapi się do przejęcia władzy nad produkcją, nikt w dodatku nie wie, jak by takie zbiorowe zarządzanie miało wyglądać. Zresztą, rozumuje niejeden, skoro nie ja wywołałem kryzys, to dlaczego mam teraz brać za niego odpowiedzialność? Niech odpowiada ten, co jest winien i — niech płaci! A jak płacić nie chce czy nie może — wziąć go strajkiem!

I w ten sposób wytwarza się błędne koło, sytuacja się zarażem degeneruje i petryfikuje, a teza, iż naprawiać zegarek powinni wyłącznie ci, co go zepsuli, sprzyja dalszym rządcom biurokracji partyjno-administracyjnej, sprawowanym nad tym, co stanowi sedno i serce problemu: nad gospodarką. Jeśli bowiem, jak mówił Marks, wolny jest ten, co posiada środki produkcji, to w ustroju naszym nikt właściwie nie jest dotąd wolny (może najwyżej chłopci?!), choćby mógł pisać poza cenzurą, głosować i strajkować. Nikt nie jest wolny, nie mając wpływu na strukturę ustrojową naszego życia, nie mając w ogóle jasnej i konkretnej koncepcji przetworzenia tego życia, strzegąc się ponadto ze względów rzekomej mądrości taktycznej używania zbyt wyraźnych haseł, zapowiadających tę przemianę. Nie mieszkamyż pozorów wolności z jej istotą, a gromkich lecz bezszelustnie wsikających w eter słów z czynami i konkretem! Owszem, od słów się zaczyna, lecz królowanie samych słów nie może trwać za długo.

Symbolem dążności petryfikacyjnych jest dla mnie postawa dwóch ludzi: Jaruzelskiego i Wałęsy. Pierwszy chce za wszelką cenę utrzymać resztki systemu i władzy, najwyraźniej bardziej się bojąc Rosjan niż własnego społeczeństwa, co może się okazać nie najrozsądniejsze, wybuch bowiem raczej w tej chwili grozi od wewnątrz niż z zewnątrz. Drugi, specjalista od pertraktacji i kompromisów, chce zachować partnera do tych pertraktacji — partnera, od którego można żądać tego i owego, nie angażując się samemu we władzę. Obaj, plus nowy Prymas, zalecają rzekomą ostrożność — rzekomą, bo właśnie nic nierobienie i niczego niezmiennianie może, wobec rosnącej nędzy, doprowadzić do irracjonalnego, oddolnego wybuchu. A wtedy dopiero wszystko co najgorsze stanie się możliwe!

Rzecz w tym, że „szary” człowiek z ulicy nie rozumie przyczyn tak gwałtownego i katastrofalnego gospodarczego kryzysu,

a ekonomiści nie umieją mu tego prosto wytłumaczyć: zawiłości ustroju były niepojęte, to zresztą ustrój w istocie tajny, nieznany obywatelom, którzy go, nieraz w dobrej wierze, „budowali”. Zaś dla ekspertów kapitalistycznych fakt, że olbrzymie pożyczki zagraniczne, miały przynieść korzyść, doprowadziły do katastrofy, to coś w rodzaju negatywnego cudu. Nie da się przy tym zwalić sprawy na luksusowe życie odgórnych rabusiów, bo nawet najbardziej wyrafinowany złodziej w rządzie nie byłby u nas w stanie ukraść niepostrzeżenie 20 miliardów dolarów — teraz zresztą „winniśmy” już światu około 30. Trzeba więc skończyć z oskarżeniami personalnymi a także z zawiłymi tłumaczeniami ekonomistów i wyjaśnić ludziom sytuację prostym hasłem, działającym i wstecz i wprzód: winne jest państwowe władanie środkami produkcji, czyli MARKSISTOWSKI SOCJALIZM w rosyjskiej, leninowsko-stalinowskiej wersji. Doprowadził on wszakże do permanentnego kryzysu w Związku Sowieckim (kupowanie olbrzymich ilości zboża oraz technologii na Zachodzie); małe kraje jak Węgry i Czechosłowacja bronią się przed nim unikaniem wielkich inwestycji i drobnotowarową wymianą handlową z Zachodem, zreformowana Jugosławia broni się przed nędzą pracą miliona swych obywateli za granicą oraz turystyką. Natomiast duża i najbardziej zniszczona wojną, pozbawiona mieszczaństwa Polska stała się klasyczną ofiarą leninowsko-stalinowskiej koncepcji wielkich inwestycji politycznych, mających na celu szybkie przerobienie kraju rolniczego w przemysłowy. Skutek — wiadomy. A więc jedyne możliwe hasło to ODEJŚCIE OD SOCJALIZMU i powrót, jeśli nie do kapitalizmu, który trudno na poczekaniu wytrzasnąć z rękawa, to do indywidualnej gospodarki rynkowej.

Widzę już zgorznienie naszych „taktyków”, że takie otwarte mówienie to jest awanturnictwo, które doprowadzi Polskę do zguby (tak, jakby petryfikowanie obecnej bezwyjściowej sytuacji nie prowadziło do owej zguby najkrótszą drogą). Słowa „socjalizm” jako barwy ochronnej używają u nas wszyscy, od Wałęsy do Jaruzelskiego i od Prymasa do Reiffa, nawet owych 35 intelektualistów (cóż za grupa!), usiłujących wymyślić coś nieszablonowego, plotko znowu o konieczności ratowania „polskiego socjalizmu”. Tymczasem ja sędzę, że czas już wreszcie wyrwać się z owego błędnego koła, wywołanego przez zonglowanie wieloznacznością słowa „socjalizm”, które to słowo staje się w istocie elementem petryfikacji nonsensów, paralizując wszelką ideową i ustrojową energię mutacyjną. Słowo to ma nas niby chronić, w istocie nie da się przy jego pomocy ani nikogo oszukać ani nikogo ochronić. Rosjanie już dawno uważają, że wszyscy razem, hurtem czy z osobna, chcemy odejść od socjalizmu, a słowa

socjalizm używamy ze strachu przed nimi. Bardzo to wszystko niepedagogiczne: nigdy nie należy okazywać strachu, bo wtedy dopiero pies nas pokąsa. I nie można również używać kłamstwa jako sposobu ratowania prawdy — to się musi zemścić.

Komunizm rosyjski jest to marksizm wprowadzony siłą (wraz z leninowskimi dobudówkami politycznymi), który, jeden jedyny z marksizmów, wytrzymał próbę historii. Nigdzie bowiem indziej, poza totalistycznymi krajami komunistycznymi, nie ma marksistowskiego socjalizmu ani, pogódźmy się wreszcie co do terminologii, żadnego doktrynalnego socjalizmu. Nawet w krajach Zachodu gdzie rządzią tzw. socjaliści (socjaldemokraci) nie ma socjalizmu, jest po prostu pragmatycznie i demokratycznie zreformowany kapitalizm, skończy się na tym i we Francji. Zaś w najbogatszych i najbardziej technicznie rozwiniętych krajach świata, jak USA, Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Południowa Afryka nie ma w ogóle hasła „socjalizm”. Byłoby tam niezrozumiałe, nieaktualne, zważywszy, że marksizm jako całościowy zbiór pro- i anty-ekonomiczno-społecznych okazał się błędny i — choć w swoim czasie dał impuls dla demokratyzujących kapitalizm ruchów robotniczych — dziś stracił sens, a wprowadzać go można tylko terrorem: historia nie jest już po jego stronie, jedynie sztuczny wiatr może jeszcze czasem i chwilowo nadymać jego żagle. Bowiem tylko imperialistyczne marzenia Rosjan lub Chińczyków aktualizują na pozór tę martwiącą doktrynę.

W tej sytuacji przed Polską jest tylko jedna droga: rzucić otwarcie hasło odwrotu od socjalizmu (o co nas i tak nie bez racji podejrzewają) i budowania a raczej odradzania gospodarki rynkowej. Będzie to arcy- i anty-pedagogiczne i pouczające dla całego świata, zwłaszcza gdy, pozostając, co niezmiennie podkreślam, w Bloku Wschodnim, udowodnimy, że problemy i związki geopolityczne i narodowe ważniejsze są i trwalsze niż wszelkie możliwości wykonycupowane teorie społeczne lub ekonomiczne. A i Rosjanom taka nasza odwaga wiele da do myślenia — zresztą oni w głębi duszy dobrze już wiedzą, że kapitalizm jest dla ludzi lepszy — nie na darmo kupują tyle na Zachodzie...

Jak odbudowywać rynek i gospodarkę indywidualną? Na wszelkie sposoby, zaczynając również od dołu. Jeśli u nas nie ma mydła a ktoś prywatny zechce się podjąć tej nie najbardziej skomplikowanej produkcji, oddać mu trzeba państwowe maszyny i pozwolić na sprzedawanie wytwarzanych produktów po ile chce, choćby za dolary. Słowem skrajny „NEP”, rozwalanie centralnego planu ze wszystkimi jego konsekwencjami — tylko to rozbudować może ekonomiczne ambicje w społeczeństwie. Oczy-

wiście nie będzie tego realizować żadna „klasa robotnicza”: to sztuczne, wydumane przez inteligenta Marksa pojęcie nie ma dziś, przy rozwoju techniki i wynalazczości, żadnej prometejskiej przyszłości, choć u nas stało się ciałem, bo nasza odgórną rewolucja tworzyła na siłę kadry robotnicze, aby potwierdzić teorię: wóz stawiano tu przed koniem. Ale w prawdziwie uprzemysłowionych krajach, w USA, Szwecji, RFN, grupa robotnicza ani nie jest dzisiaj przodująca, ani liczna, ani rewolucyjna — to już „białe kołnierzyki”, podpory kapitalizmu. I u nas droga do reformy i odrodzenia nie wiedzie przez działaczy przejściowych typu Wałęsy, będących w istocie *à rebours* wytworami systemu, lecz przez nowy typ prężnego, indywidualnego producenta, który oby jak najszybciej się wytworzył.

Odradzając rynek oddolnie, działajmy i odgórnie, korzystając z pomocy zagranicznego kapitału, ale tym razem już nie absurdalnie, lecz w sposób ekonomiczny, właściwy gospodarce rynkowej i jej sposobom działania. Przedtem Zachód władował miliardy w budowanie naszego socjalizmu, co było nonsensem, bo marksistowskiego kolektywizmu nie buduje się kapitałem, lecz terrorem — inaczej się on nie utrzyma. Tamte długi trzeba anulować, nie przyznawajmy się do nich, otrzymali je socjaliści — nie nasza sprawa. Nam przydadzą się nowe kapitały, tym razem na budowę polskiego kapitalizmu, przyjmujemy je, wraz z rozsądnymi warunkami ich zużytkowania — udzielanie komunizmowi kredytów bez warunków ustrojowych to była największa bzdura naszych czasów!

Proste i wyjaśniające wszystko hasło odrzucenia kolektywizmu i odtworzenia produkcji indywidualnej to jedyny jaki widzę impuls, mogący wyrwać Polaków i psychicznie i materialnie z ich obecnego, katastrofalnego stanu. Niech mi przy tym nikt nie mówi, że to hasło „nieostrożne” czy „niebezpieczne”, że trzeba zachować ochronną pokrywkę słowa „socjalizm”. Nikogo tą pokrywką nie oszukamy prócz siebie samych, a im prędzej mętny terror tego słowa zostanie u nas unicestwiony, tym dla wszystkich (z Rosjanami włącznie) lepiej. Nie mamy nic do stracenia i nie mamy czasu, grozi nam bowiem rzeczywiste niebezpieczeństwo zatrącenia narodowego bytu, jakim będzie PRYZYWCZAJENIE SIĘ polskiego społeczeństwa do jaskiniowych warunków egzystencji, utrata wszelkiej prężności i ambicji cywilizacyjnej. A wtedy z bohatera Europy staniemy się jej pośmiewiskiem i żebrakiem — do tego tylko jeden krok!

Stefan KISIELEWSKI

Paryż, 7 listopada 1981

CHŁOP A SPRAWA POLSKA

Artykuł ten pisany jest w warunkach szczególnych, bez dostępu do zebranych materiałów i notatek, bez możliwości pracy w bibliotece, dysponuję zaledwie kilkunastoma numerami krajowej *Polityki* i *Solidarności*. Powodem dla którego decyduję się w tych warunkach na sformułowanie tych uwag jest zaniepokojenie kierunkiem dyskusji na temat reformy gospodarczej i ustrojowej w Polsce. Zaczniemy od następującej obserwacji: w jedenastu numerach *Polityki* znajdujemy jedną wzmiankę o *Solidarności RI** w rubryce „w kraju” oraz jeden artykuł, w którym pisze się o tej organizacji. Zagraniczny czytelnik *Polityki* w żadnym przypadku nie może z lektury tego pisma zorientować się, że *Solidarność RI* jest, czy też powinna być, trzecim partnerem na polskiej arenie politycznej. *Solidarność RI* zajmuje niewiele miejsca na łamach pisma *Solidarność* i prawie wcale nie zauważa się jej obecności na łamach lokalnych pism robotniczych *Solidarności*.

W rozmowach z ludźmi z kraju to wrażenie jakie wynosi się z lektury prasy znajduje pełne potwierdzenie — *Solidarność RI* nie jest partnerem ani dla partii i rządu ani dla przemysłowej *Solidarności*. Jak pisał Stefan Nowak na łamach warszawskiej *Kultury* — „konflikt między władzą a masami zorganizowanymi w *Solidarności* przypomina walkę dwóch bokserów”. Czasami jako trzeciego partnera czy też jako możliwego mediatora wymienia się Kościół, ale głównego partnera nie widać na scenie.

O ile władza świadomie i celowo przemilcza istnienie *Solidarności RI* to *Solidarność* i eksperci przemysłowej *Solidarności* z innych przyczyn poświęcają jej niewiele uwagi. Jakkolwiek w punkcie pierwszym „Deklaracji pierwszego zjazdu *Solidarności*” czytamy: że „naród oczekuje poprawy zaopatrzenia w żywność poprzez ustanowienie kontroli nad jej produkcją, podziałem i cenami we współpracy z *Solidarnością RI*”, dyskusja i materiały zjazdu wskazują, że uwaga poświęcona tej współpracy jest znikoma. Sprawa ta wydaje się mieć podstawowe znaczenie dla sposobu myślenia o reformie gospodarczej.

W dyskusji o reformie starannie unika się rozróżnienia pomiędzy reformą ustroju politycznego, reformą zarządzania i reformą gospodarczą. Proponowane projekty reform wychodzą zazwyczaj od próby określenia źródeł obecnego kryzysu. Reprezentanci władzy twierdzą, że przyczyny kryzysu leżą w błędach polityki ekonomicznej lat siedemdziesiątych. Zdaniem wielu reprezentantów *Solidarności* kryzys jest efektem błędów systemu komunistycznego jako takiego a wśród tych błędów wymienia się przede wszystkim brak demokracji, centralizm i biurokrację oraz korupcję i nadużycia warstwy panującej. Analiz sięgają-

* RI — rolnicy indywidualni.

cych wcześniej — w zasadzie nie przeprowadza się. Tymczasem obecny kryzys jest efektem wielowiekowego opóźnienia, przyjęcia błędnej strategii nadrobienia tego opóźnienia przez komunistów, a wreszcie doprowadzony został do swej obecnej postaci przez politykę partii w latach siedemdziesiątych. Proponowane drogi wyjścia z kryzysu jak dotychczas opierają się na analizach albo pomijających historię albo na analizach, w których historia i geografia mają silniejsze związki z politycznymi frustracjami aniżeli z historią ekonomii. Naczelną tezę niniejszych rozważań jest twierdzenie, że relacje między przemysłem a rolnictwem winny być punktem wyjściowym w myśleniu o reformie gospodarczej, zaś problemy reformy ustrojowo-politycznej oraz reformy zarządzania powinny być w znacznym stopniu podporządkowane idei przyszłego modelu gospodarczego.

W uzasadnieniu tej tezy zaczniemy od stwierdzenia następującego faktu: komuniści nie dlatego zdobyli władzę w Rosji, że państwo to znajdowało się w stanie ekonomicznego rozkwitu, ale dlatego, że stopień opóźnienia gospodarczego Rosji w stosunku do państw przemysłowych doprowadził do tak wielkiego niezadowolenia społecznego, iż istniejący system władzy praktycznie przestał istnieć. Warto tu dodać, że niezależnie od tego w jaki sposób komuniści zdobyli władzę w Polsce, to Polska — w odróżnieniu od np. Czechosłowacji — była słabo rozwiniętym państwem rolniczo-przemysłowym. Z górą sześćdziesiąt lat istnienia sowieckiego komunizmu wykazuje niezbicie, że największym błędem tej doktryny okazała się strategia rozwoju rolnictwa. Fałszywa strategia rozwoju rolnictwa stała się również głównym źródłem hamulców rozwoju przemysłu w systemie komunistycznym, czynnikiem wzmacniającym stały konflikt między władzą a społeczeństwem, wzmacniającym stosowanie terroru i uniemożliwiającym przeprowadzenie reform ustrojowo-politycznych. Jak słusznie zauważa Władysław Bieńkowski w swej niesłychanie ważnej, a jak się wydaje obecnie niestety zapomnianej broszurze pt. „Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?” (Instytut Literacki, 1970), orientacja komunistów na kolektywizację wynikała z jednej strony z analizy rozwoju maszyn rolniczych a z drugiej z doktrynalnych obaw przed prywatną własnością.

W ostatnich dekadach ubiegłego stulecia tu, na Zachodzie, można było przypuszczać, że wieś pod pewnymi względami upodobni się do wielkiego zakładu przemysłowego. Okres maszyn parowej podsuwał obraz wielkiego gospodarstwa rolnego z własną boczną koleją, zapomnianą dziś lokomobilą i centrum obróbki płodów rolnych. Silnik spalinowy i silnik elektryczny spowodowały, że była to tylko krótkofalowa tendencja, która w państwach wysoko rozwiniętych nie zdążyła doprowadzić do poważniejszych zmian strukturalnych. Logika kapitalistycznej produkcji wykazywała jasno, że sto małych maszyn przynosi większy zysk niż jedna wielka. Niestety tamta krótkotrwała tendencja przypadała na okres tworzenia się doktryny marksistowskiej stając się kamieniem węgielnym marksistowskiej ortodok-

sji, od której nawet najbardziej rewizjonistyczni marksiści nie bardzo umieli się wyzwolić. W efekcie tego błędu po wielu dekadach na rzecz unowocześnienia struktury społecznej, państwa komunistyczne nie są w stanie wyżywić swoich społeczeństw, a ich produkcja przemysłowa natrafia na trudne do pokonania bariery wzrostu.

Komunistyczny aparat władzy w Europie Wschodniej zupełnie bezpodstawnie nazywa się czasami czerwoną burżuazją, tymczasem jest to czerwona szlachta, która partyjnym liberum veto broniąc przywilejów pańskiego dworu stara się uniemożliwić uwłaszczenie chłopów. Równocześnie, ani komunistyczny aparat władzy ani socjalistyczny robotnik, ani wreszcie raz jeszcze zbuntowany wschodnioeuropejski inteligent nie rozumieją, że nie da się zbudować nowoczesnego przemysłu obok pańszczyźnianej wsi. W przeprowadzanych analizach kryzysu abstrahuje się od długofalowych trendów historycznych i praktycznie rzecz biorąc nie zauważa się, że kryzys w Polsce jest szczególną formą kryzysu państw rozwijających się. Nikt nie dostrzega związków między współczesnymi problemami Ameryki Łacińskiej, krajów azjatyckich czy afrykańskich a kryzysem w Polsce. Tymczasem związki te są ewidentne aczkolwiek ich geneza sięga lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy to wyłaniał się nowy porządek ekonomiczny świata. Współcześnie nie pamięta się, że we wszystkich krajach uprzemysłowionych rewolucja agrarna wyprzedzała rewolucję przemysłową, że rozwój przemysłu nastawiony był w znacznym stopniu na obsługę wsi i że transfer ludności wiejskiej do miast odbywał się w miarę podnoszenia się produkcji rolnej. Kryzysy w kapitalistycznej gospodarce dość często związane były z nadprodukcją rolnictwa. W państwach tych również dziś rolnictwo jest bardzo ważnym odbiorcą produkcji przemysłowej i np. w Szwecji gdzie rolnicy stanowią około 3 % ludności pracującej, oblicza się, że około sześciu robotników pracuje na jednego rolnika.

Tzw. państwa „rozwijające się” próbując „dogonić i przegnać”, nieodmiennie natrafiają na trudności modernizacji rolnictwa z powodu fałszywych strategii tego rozwoju, przegrywania wysiłku z czasem w dziedzinie wzrostu demograficznego, psychologicznych oporów ze strony ludności miejskiej i warstw sprawujących władzę polityczną oraz ekonomiczną. W konsekwencji tego stanu rzeczy kraje rozwijające się cierpiąc na wznastający brak żywności są z konieczności eksporterami tej żywności, muszą importować produkty przemysłowe, a równocześnie ich eksport produktów przemysłowych jest minimalny, z coraz większą trudnością wyrównują bilanse płatnicze wyprzedając surowce. Sytuacja ta prowadzi do klęski głodu i bankructwa. W takiej sytuacji znajduje się dziś w Europie Wschodniej Polska, Rumunia, Jugosławia i Związek Sowiecki, w takiej sytuacji znajduje się również wiele państw Ameryki Łacińskiej i wiele państw azjatyckich.

Fakt, że ktoś budzi się z ręką w nocniku i przeciera oczy nie przysparza wsi nawozów. Nie chodzi jednak tylko o nawozy ale o sprawę ustroju wsi. Najbardziej autentyczne samorządy robotnicze w fabrykach nie przysporzą Polsce chleba, a bez chleba nie będzie elektroniki i nie ustaną strajki. Stoimy zatem przed pytaniem podstawowym: czy robotnicza Solidarność potrafi wywrzeć presję na komunistyczną władzę w sprawie zmiany koncepcji rozwoju rolnictwa? Jak na razie odpowiedź na to pytanie jest negatywna z tego prostego powodu, że Solidarność robotnicza nie próbuje wywierać takiej presji, że jej eksperci zajmują się wszystkim tylko nie kwestią stosunku między przemysłem a rolnictwem. Podstawowa w tej dziedzinie praca Władysława Biełkowskiego jest dziś całkowicie zapomniana, ostatni raport FAO nie został w Polsce zauważony, nikt również nie zauważa, że w pewnych warunkach wymarzony przez Solidarność samorząd w przedsiębiorstwach przemysłowych może się okazać skuteczną zaporą uniemożliwiającą wyjście z kryzysu. Centralistyczny woluntaryzm może bowiem być zastąpiony przez system egoizmów grupowych gdzie siła robotników przemysłowych może się okazać równie zabójcza jak niegdyś siła warstwy szlacheckiej. Może być inaczej — związek i samorząd dostrzegając partnera w Solidarności RI mogą wspólnie zmusić aparat władzy do reformy rolnej. Reforma taka oznacza orientację na nowoczesną farmę rodzinną, uświadomienie sobie banalnej prawdy, że żeby wieś mogła obsługiwać miasto, miasto musi najpierw obsługiwać wieś, a dopiero potem myśleć o sobie. Reforma taka implikuje wolnorynkową sprzedaż materiałów budowlanych i maszyn rolniczych, nawozów i paliw, dostosowanie budżetu energetycznego, planów inwestycyjnych w przemyśle i struktury handlu do potrzeb rolników indywidualnych. Jeśli robotnicy otrzymali znaczną pomoc ze strony inteligencji w procesie organizowania swoich związków zawodowych, to rolnicy powinni otrzymać taką pomoc w znacznie większym wymiarze, tymczasem o ekspertach Solidarności RI jakoś nie słychać. Również tu, na Zachodzie, często padają pytania jak można pomóc Polakom. Prosta prawda, że głodny Polak nikomu nie odda żadnych pieniędzy, nikomu nie przychodzi do głowy. Wszyscy wiedzą, że Zachód pomaga Polsce odsprzedając na kredyt kłopotliwe nadwyżki towarów rolniczych. Dla polskiego społeczeństwa jest to zbawienie, które nie przybliży rozwiązania kryzysu ani o krok. Przyznając Polsce nowe kredyty Zachód żąda informacji co władze w Polsce zamierzają zrobić, żeby naprawić sytuację gospodarczą. Tymczasem wszystkie projekty w tej sprawie wyglądają dość blado. Wydaje się, że ostatnim człowiekiem, który rozumiał o co chodzi był hrabia Andrzej Zamoyski, przewodniczący Towarzystwa Rolniczego, którego wysiłkiem położyło kres powstanie styczniowe. Zarówno przedtem jak i potem sprawę chłopską podejmowano w związku z potrzebą rekruta. Wojenne potrzeby dyktowały treść Uniwersału Połanieckiego i wojenne potrzeby dyktowały reformy rządów powstańczych okresu powstania styczniowego.

Za tymi reformami leżały autentyczne przekonania, ale pojawiały się one w chwilach szczególnych i praktycznie nie miały większego znaczenia. I były połowiczne. Reformy przeprowadzone w latach dwudziestych miały słuszny kierunek, ale były daleko niewystarczające, zaś reforma rolna 1944 roku była oparta na zamierzonym fałszu. To co jest najważniejsze — farma rodzinna nigdy nie stała się w Polsce ważnym klientem produkcji przemysłowej wyznaczającym kierunki i priorytety produkcyjne w przemyśle. Kiedy kierunki inwestycji dyktowane były przez prawa rynku, polski chłop był zbyt biedny a polski kapitalista zbyt ograniczony (jeśli pominiemy tu tak wyjątkowe postaci jak H. Cegielski) aby szukać zysków w indywidualnym gospodarstwie chłopskim. Tymczasem na wsi produkcja rolna wzrastała wolniej niż przyrost naturalny.

Warto sobie uświadomić, że błędy i winy komunistów nie stanowią wszystkich przyczyn obecnego kryzysu, że w dalszym ciągu płacimy odsetki za błędy polityczne i ekonomiczne naszych przodków. I bez komunistycznej władzy przeżywalibyśmy dziś poważne problemy gospodarcze. Kłopot z komunistami polega na ich upieraniu się przy strategii, która całkowicie zawiodła i dla której nie ma dziś innego teoretycznego uzasadnienia niż doktrynalny upór. Robotniczo-chłopski sojusz może dziś przełamać ten upór, ale najpierw trzeba wyraźnie postawić problem. Tymczasem jest on na marginesie. Równocześnie potomek szlachty w generalskim mundurze i proletariusz reprezentujący głodne masy miejskie, nieufnie na siebie patrząc, dyskutują o tym jak dzielić to czego nie ma. Trzeciego partnera brak i ani jedna ani druga strona nie kwapi się aby zaprosić go do stołu obrad. Z pisma redagowanego przez wicepremiera, który *nota bene* sam jest chłopskim synem, więcej dowiadujemy się o reformie teatru i zarządzania sztuką aniżeli o Solidarności RI. Wszyscy dyskutują o reformie gospodarczej, a w dyskusji tej sporo miejsca zajmują zarówno problemy samorządu w przemyśle jak i rolnictwa. Podstawowa kwestia samorządu chłopskiego zniknęła z wokandy. No cóż — chłop a sprawa polska to temat długi i chocholi.

Konstytucja Trzeciego Maja nie była uwięzieniem procesu reform a rozpaczliwą próbą przeforsowania reform, do których szlachta nie dopuściła w okresie poprzedzającym konfederację barską i pierwszy rozbiór Polski. Konstytucja ta gwarantowała kierowniczą rolę szlachty, a podstawowe idee tej konstytucji nie zostały zrealizowane nie tylko z powodu kolejnych rozbiorów. Egzekwując swoją kierowniczą rolę szlachta skutecznie przeciwstawiała się modernizacji ustroju politycznego i gospodarczego Polski.

Z górą pół wieku później hrabia Andrzej Zamoyski sformułował program odmowy współpracy z zaborcą i skoncentrowanie uwagi na budowie silnego i naówczas nowoczesnego rolnictwa. Przeciw temu programowi działały zarówno siły konserwa-

tywne jak i postępowe. Podobnie w latach dwudziestych zareagowano na propozycje prof. Grabskiego w sprawie utworzenia silnej warstwy średniej na wsi. Przeciw takim projektom występowali z tą samą siłą i skutecznością reprezentanci ziemiaństwa i ludzie tacy jak Ignacy Daszyński. Dziś jest kolejna szansa. Wymaga ona wielkiej pracy. Stworzenia na emigracji Banku pomocy Solidarności RI, przekonania Zachodu o konieczności ukierunkowania kredytów na rolnictwo indywidualne, podjęcia propagandowego wysiłku na rzecz nowego modelu gospodarczego — prywatnego rolnictwa opartego na farmie rodzinnej i socjalistycznego przemysłu. W 1956 roku Związek Sowiecki wyraził zgodę na zachowanie indywidualnego rolnictwa w Polsce. Zaistniała wówczas szansa całkowicie zmarnowana. Pytanie czy obecnie zdołamy się obudzić z chocholego snu?

Andrzej KORASZEWSKI

MYŚLI O PROGRAMIE „SOLIDARNOŚCI”

Uchwalony 7 października przez I Krajowy Zjazd NSZZ „Solidarność” program związku jest — przynajmniej potencjalnie — jednym z najważniejszych polskich dokumentów publicznych ostatnich dziesięcioleci. Wynika to zarówno z liczebności i zakresu działania organizacji, która ma ten program realizować, jak i z rozpiętości i doniosłości zamierzeń, postulatów i celów zawartych w programie.

Jego autorzy stali przed trudnym zadaniem. Nie tylko dlatego, że było ono niebywałe, pierwsze w swoim rodzaju — ale i dlatego, że musieli starać się przezwyciężyć silny nacisk bezpośredniej tradycji analogicznych dokumentów: programów partii i jej rozmaitych przybudówek. Trudno się dziwić, że oderwanie się od spuścizny wzniosłych deklaracji i sloganów nie zawsze im się udawało. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę okoliczności i tempo, w jakich powstał ten program dziesięciomilionowej organizacji, skupiającej ludzi wszystkich zawodów, okolic i sfer — uznamy go za imponujące świadectwo zgody społecznej. Przeważa w tekście ton godności i odpowiedzialności, przebija świadomość wielorakich, zarówno materialnych jak duchowych potrzeb społeczeństwa.

Ze względu na rozmiary tekstu (łącznie z aneksem ponad 50 stron druku) i wspomniane bogactwo tematyczne (mowa jest o wszystkich niemal dziedzinach i różnych aspektach życia zbior-

rowego) niecelowe byłoby omawianie wszystkich 37 „tez”. Mają one zresztą nierówną doniosłość, a wiele zawartych w nich założeń i postulatów nie budzi żadnych wątpliwości. Nie byłoby też pożyteczne zastanawiać się już teraz nad podobieństwami i różnicami, jakie wykazuje program Solidarności w zestawieniu z wypowiedziami programowymi różnych środowisk „opozycyjnych” w okresie ostatnich sześciu lat; zadanie to dla przyszłego historyka — dzisiaj wywołałoby niepotrzebne podniecenie i licytacje.

Zjazd zatwierdził trzecią z kolejnych wersji programu; pierwszą ogłoszono przed jego rozpoczęciem, drugą — bogatszą i w wielu punktach odbiegającą od pierwotnej — opublikowano już podczas jego trwania. Skoro program uchwalono, nie ma potrzeby rozwodzić się nad jego licznymi zaletami. Niezbędne jest natomiast zastanowienie się nad jego konsekwencjami, a także zwrócenie uwagi na niejasności, sprzeczność i luki. I tym staraniem i bardziej krytycznie należy się programowi przyglądać, im żywszą sympatią obdarza się Solidarność i większe pokłada w niej nadzieje.

Uchwała programowa Solidarności jest czymś więcej niż zbiorem wytycznych dla wielkiego związku zawodowego. „Solidarność” występuje w swoim programie, tak jak i w swojej działalności, jako rzecznik interesów całego społeczeństwa polskiego — i czyni to świadomie: „Stanowimy organizację, która łączy w sobie cechy związku zawodowego i wielkiego ruchu społecznego. ... Powstały warunki dla rzeczywistego odrodzenia narodu. Związek nasz... chce być i będzie siłą sprawczą tego odrodzenia”. Samorządność, popierana przez związek, ma wyzwać „wszystkie możliwości i siły twórcze” narodu. We wszystkich dziedzinach oczekuje się czegoś od związku „licząc na jego siłę i autorytet społeczny i moralny”.

Tak więc trzeba program Solidarności oceniać: jako zespół zobowiązań do przeprowadzenia opisanych działań w interesie całego społeczeństwa polskiego.

Tezy o najrozleglejszych konsekwencjach praktycznych — to teza 1, postulująca generalną przebudowę gospodarki narodowej w myśl zasady samorządności przedsiębiorstw, oraz 19, 21, 22 i 24, wchodzące w skład rozdziału VI, który mówi o „Samorządnej Rzeczypospolitej”. Warto je przytoczyć:

1. Domagamy się wprowadzenia reformy samorządowej i demokratycznej na wszystkich szczeblach zarządzania, nowego ładu społeczno-gospodarczego, który skojarzy plan, samorząd i rynek.

19. Pluralizm światopoglądowy, społeczny, polityczny i kulturalny powinien być podstawą demokracji w samorządnej Rzeczypospolitej.

21. Samodzielne prawnie, organizacyjnie i majątkowo samorządy terytorialne muszą być rzeczywistą reprezentacją społeczności lokalnej.

22. Organizacje i ciała samorządowe powinny zyskać reprezentację na szczeblu najwyższych władz państwowych.

24. Sądownictwo musi być niezawisłe, a aparat ścigania poddany społecznej kontroli.

Z rozwinięcia tych tez wynika niedwuznacznie, że nie chodzi tu o kosmetykę, ale o wprowadzenie zasadniczych zmian ustrojowych (czy jak się to często eufemistycznie mówi, systemowych). „... będziemy dążyć zarówno do przebudowy struktury państwa, jak i do tworzenia i wspierania niezależnych i samorządnych instytucji we wszystkich sferach życia społecznego. ... Konieczne jest zapewnienie warunków do przeprowadzenia kampanii wyborczej, w ramach której konkurować będą różne programy i różni kandydaci. ... Będziemy dążyć do odzyskania przez Sejm roli najwyższej władzy w państwie, oraz do tego, by zmieniona ordynacja wyborcza, umożliwiając wszystkim partiom politycznym, organizacjom społecznym i grupom obywateli swobodne zgłaszanie kandydatów, przywróciła mu powszechnie uznany charakter przedstawicielski”.

Należy od razu dodać, że zmiany te dotyczyć będą raczej ustroju rzeczywiście istniejącego (*état réel*) niż ustroju wytyczonego przez konstytucję. Oskarżenia, że Solidarność chce „zmienić ustrój PRL” są słuszne, jeżeli odnoszą się do stanu faktycznego, natomiast na ogół niesłuszne, gdyby je odnosić do obowiązującej ustawy zasadniczej i ratyfikowanych przez PRL konwencji międzynarodowych („na ogół” — ponieważ między tymi tekstami kodyfikującymi zachodzą liczne sprzeczności).

W programie jest wielokrotnie mowa o „reformie” i „przebudowie” państwa polskiego. Zakłada to oczywiście zasadnicze uznanie istniejącej państwowości, oraz uważanie państwa za nاپrawialne. Podobnie zwrot o „umacnianiu suwerenności” zakłada, że suwerenność już istnieje. Rozwinięcie niektórych tez, na przykład 29, 30 i 31, świadczy jednak o pewnym niezdecydowaniu. Czy państwo należy „uspołecznic” — czy też należy poza jego strukturami wytwarzać własne antyciała czy antystruktury, samorządne i samodzielne (niezależny uniwersytet, agencja prasowa, własne rozgłośnie radiowe, placówki kulturalne, edukacyjne i naukowe)? Być może niejasność ta wynika z nieufności, czy plan „uspołecznienia” państwa się powiedzie; być może, iż „uspołecznienie” to postulat, którego realizacja ma potrwać dłużej. Wydaje się jednak, że główną przyczyną tej dwuznaczności jest

— zupełnie zrozumiała i wybaczalna — niepewność co do wyniku podejmowanych starań o przebudowę organizmu państwowego i przekształcenie stosunków między rządzącymi a rządzonymi.

Jednym z najgoręcej na zjeździe dyskutowanych fragmentów programu był ustęp w rozdziale II („Wobec dzisiejszej sytuacji kraju”), mówiący o stosunku do obecnych sojuszników PRL. Ostatecznie uzgodniony fragment brzmi rzetelnie i godnie, zwłaszcza na tle rozmaitych wypowiedzi krajowych intelektualistów. Nie zawiera uspokajających zapewnień o przyjaźni; deklaruje gotowość dotrzymania istniejących sojuszy, wynikającą z poczucia odpowiedzialności; ale wzmocnienie gwarancji dla tych sojuszy uzależnia od podjęcia w tej sprawie samodzielnych i świadomych zobowiązań.

Ogólnie biorąc fragmenty programu, dotyczące zagadnień ogólnopolitycznych, świadczą o tym, że Solidarność bardzo poważnie traktuje swoją rolę rzecznika aspiracji i interesów całego narodu. Jest oczywiste, że wytyczne działania ruchu społecznego, który pełni rolę takiego rzecznika, muszą niekiedy kolidować z interesami poszczególnych grup zawodowych, a także z interesami pracowniczymi, reprezentowanymi przez związki zawodowe. (Tak na przykład w interesie społeczeństwa jako całości leży maksymalizacja produkcji; w interesie zawodowym pracowników — skracanie czasu pracy). Niestety w programie nie widać, by sobie tę sprzeczność uświadamiano.

Najłatwiej zapewne dostrzec można tę nieuświadomioną sprzeczność, zestawiając wyrażane wielokrotnie zdecydowanie ochrony pracowników i ich rodzin przed kosztami społecznymi reform gospodarczych — z milczeniem na temat możliwości zastosowania presji i sankcji nie tylko moralnych wobec tych, którzy pracować dobrze po prostu nie zechcą. A przecież działacze związku z pewnością nie są tak zaślepieni, by nie wiedzieć, że dyscyplina pracy pozostawia w Polsce bardzo wiele do życzenia, że absencja „chorobowa” jest częściowo spowodowana wymiaganiem się od roboty, że rozpleniło się pijaństwo w miejscach pracy, że wraz z powstaniem Solidarności nie znikła postawa „czy się stoi, czy się leży”. I powinni zdawać sobie sprawę, że właśnie Solidarność ma, jako związek zawodowy będący równocześnie ogólnonarodowym ruchem społecznym czerpiącym inspirację z nauk Kościoła katolickiego, wyjątkowy obowiązek i zarazem wyjątkowe szanse naprawy tego fatalnego dziedzictwa i odbudowy moralności pracy w Polsce.

O tych potrzebach wychowawczych nie ma jednak ani słowa. Czytamy o konieczności nadzoru społecznego nad walką z kryzysem — i jest to bardzo słuszny postulat; ale daremnie szukamy wypowiedzi o sposobach zachowania wydajności pracy w

okresie, kiedy bodźce ekonomiczne prawie nie działają. A to jest przecież warunkiem przezwyciężenia kryzysu: aby reforma rzeczywicie doprowadziła „do powszechnego wyzwolenia pracowitości i przedsiębiorczości” — musi ruszyć z miejsca, co oznacza konieczność wydajnej pracy *zanim* zacznie się ona opłacać.

Program postuluje pełną swobodę wyboru miejsca pracy. Wypowiada się też zdecydowanie przeciwko bezrobociu; reformę gospodarki i uporządkowanie zatrudnienia można według programu „przeprowadzić tak, aby nie dopuścić do bezrobocia”. Postuluje się również ustalenie dla całego kraju „poziomu płac gwarantowanych”, który byłby „niezależny od wyników gospodarczych przedsiębiorstw”. Postuluje się wreszcie zniesienie „kar dyscyplinarnych, polegających na ograniczeniu praw pracownika do świadczeń płacowych”. Budzi to dwojakie wątpliwości. Co stanie się z samorządnym przedsiębiorstwem, kiedy okaże się ono nierentowne? Kto je zmusi do samolikwidacji, skoro płace pracowników będą zagwarantowane? Jeszcze ważniejsza wydaje się wątpliwość druga: jeżeli ustali się płace gwarantowane, zniesie kary dyscyplinarne i wykluczy bezrobocie — w jaki sposób przedsiębiorstwa dadzą sobie radę z bumelantami? Samorządne przedsiębiorstwo, działające na zasadzie rachunku ekonomicznego, musi chyba posiadać możliwość zwalniania źle pracujących? Ale w rejestrze środków motywacyjnych, zachęcających do pracy, program zostawił tylko bodźce moralne — i ograniczone bodźce płacowe.

W aneksie do programu zamieszczono trzy wariantowe propozycje stanowiska związku w sprawie polityki gospodarczej. Pierwsza z nich, nazwana trafnie „wariantem motywacyjnym”, opracowana przez region dolnośląski, opiera się na założeniu, że motorem przemian „powinno być ożywienie przedsiębiorczości ludzi i zespołów i natychmiastowe odblokowanie wszystkich hamulców, które tę przedsiębiorczość ograniczają”. Autorzy tej propozycji, biorącej za punkt wyjścia czynniki socjopsychologiczne, za słabo jak sądzą uwydatnili w krytyce dotychczasowego, nakazowo-rozdziałczego systemu kierowania gospodarką jego zgubne skutki właśnie psychologiczno-moralne. Co więcej, opowiadając się za wyzwoleniem mechanizmów rynkowych i dopuszczeniem do swobodnego funkcjonowania praw ekonomicznych (w kategoriach kosztów i zysków, ruchu cen, itd.) — pominęli milczeniem nieuchronny rezultat takiej konsekwentnie prowadzonej polityki, którym będzie redukcja sztucznego zatrudnienia, zwalnianie z pracy niewydajnych itd.

Druga propozycja wariantowa, najżywiej dyskutowana, sygnowana przez Stefana Kurowskiego, Grzegorza Palkę, Wacława Adamczaka i Zbigniewa Karwowskiego, stawia za cel „konwer-

sję gospodarki". Pomijając już wątpliwości co do szans przeprowadzenia w krótkim czasie tak radykalnych zmian w profilu produkcji przemysłowej i wykorzystaniu potencjału produkcyjnego, jakie propozycja postuluje, oraz praktyczną trudność w uzyskaniu kredytów na sfinansowanie tych zmian — plan „konwersji gospodarki” opiera się milcząco na ogromnie trudnym do przyjęcia założeniu. Zaprojektowane posunięcia takie, jak wymiana pieniądza, zamrożenie oszczędności, rozpisanie obowiązkowej pożyczki obliczanej progresywnie w stosunku do dochodów, wielka podwyżka cen, podział rynku na całkowicie wolny i ściśle reglamentowany — to wszystko wymaga istnienia bardzo silnego, sprawnego i cieszącego się autorytetem aparatu administracyjnego. Takiego aparatu nie mamy i nie widać możliwości, abyśmy go mogli w krótkim czasie stworzyć.

Niedomówienia i niekonsekwencje znajdujemy w programie głównie tam, gdzie w grę wchodzi przeprowadzenie linii podziału na „my” — związek (albo całe społeczeństwo) i „oni” — władza. Niejasne jest np. rozgraniczenie zakresu kompetencji zarządzanych przez załogę przedsiębiorstw społecznych — i państwa, zachowującego możliwość wpływu na gospodarkę. Tendencją programu jest oczywiście rozszerzenie kompetencji samorządu, ale zdawano sobie sprawę z tego, że pewne decyzje będą musiały być podejmowane centralnie. W rozwinięciu tezy 1 czytamy, że państwo powinno wpływać na działalność przedsiębiorstw społecznych m.in. za pośrednictwem cen; ale dalej czytamy również, że „ceny większości towarów powinny być określone przez popyt i podaż”. I jedno i drugie brzmi rozsądnie — ale kto to uzgodni?

Brak w Polsce wiarygodnych organów przedstawicielskich zmusza do ogólnikowości w formułowaniu wielu innych postulatów, dotyczących kontroli nad funkcjonowaniem administracji państwowej. Czytamy więc o konieczności „uspołecznienia planowania”, o ustanowieniu „społecznej kontroli nad Głównym Urzędem Statystycznym” itd. „Społeczna kontrola” jest zwykle sprawowana przez parlamenty lub podobne ciała obieralne. Jak się to będzie działo w Polsce — nie wiadomo; program zdaje się zakładać dalsze istnienie aparatu władzy jako zespołu instytucji z zasady podejrzanych i „obcych”, którym trzeba będzie bez przerwy patrzeć na ręce — z zewnątrz.

Jedną z myśli przewodnich programu jest przejmowanie przez społeczeństwo kontroli nad coraz większymi obszarami gospodarki narodowej. Samorządność ma uruchomić skrępowane dotychczas inicjatywy, „doprowadzić do powszechnego wyzwolenia pracowitości i przedsiębiorczości”. Zaproponowanego przez rząd programu przezwyciężenia kryzysu i stabilizacji gospodarczej związek nie popiera, „ponieważ nie uruchamia on wielu ważnych re-

zerw gospodarki, nie budzi zaufania społecznego”. Jednocześnie wszakże liczne postulaty programu zaadresowane są wprost do tegoż aparatu państwowego, któremu się nie ufa. Teza 7 brzmi: „Zaopatrzenie w żywność jest dziś sprawą najważniejszą; kartki muszą mieć pełne pokrycie...”. Żądanie ma posmak retoryki: najwidoczniej przy obecnym stanie gospodarki istniejący niesprawny aparat nie jest w stanie go spełnić — i dlatego m.in. odmawia mu się zaufania, dlatego żąda się głębokich reform w systemie rządzenia i administracji.

Ocena stanu gospodarki polskiej, zawarta w programie, jest trzeźwa i surowa. Zarazem jednak niektóre tezy programu sformułowane są tak, jak gdyby autorzy wierzyli, że wszystkie dotychczasowe zaniedbania dadzą się odrobić już w najbliższej przyszłości. Jaskrawym przykładem takiego woluntaryzmu jest teza 17, mówiąca o budownictwie i gospodarce mieszkaniowej. Jej rozwinięcie brzmi jak litania wzniosłych zasad, ale warto pamiętać (i warto może było zasygnalizować), że wiele z nich pozostanie przez lata hasłami, dającymi się tylko częściowo realizować.

Inną i poważniejszą wątpliwość budzi teza następna, 18. Mowa w niej o zapewnieniu wolnego czasu i wykorzystywaniu go dla uczestnictwa w kulturze. Wszystko tu słuszne — ale dlaczego, pisząc o pięciodniowym tygodniu pracy, nie wspomniano o tym, co w Polsce, kraju o katastrofalnie wątej sieci placówek handlowych, stanowi zmorę kobiet, prowadzących gospodarstwa domowe: sobotach bez sprzedaży. Oto potrzeba pilniejsza niestety, niż „uczestnictwo w kulturze”: skrócenie czasu stania w kolejkach. Któż jak nie Solidarność powinien pamiętać o potrzebie rozładowania trudności w zakupach przez przedłużenie godzin handlowych i wprowadzenie sprzedaży we wszystkie wolne soboty — tak, jak to się dzieje na całym świecie, gdziekolwiek obowiązuje pięciodniowy tydzień pracy. Stworzy to *nota bene* sporą liczbę nowych miejsc pracy.

Wszystkie prawie wymienione i nie wymienione sprzeczności i luki programu mają wspólny mianownik: jest nim założenie, iż całe zło, wszystkie niebezpieczeństwa i trudności są na zewnątrz związku, że jeżeli tylko rozprawimy się z przeciwnościami zewnętrznymi — będzie dobrze. Jedynym fragmentem programu, w którym ujawnia się świadomość możliwości konfliktów w ramach związku, jest zakończenie rozwinięcia tezy siódmej, gdzie wspomniane jest, że prowadzenie handlu wymiennego z wsią przez silniejsze zakłady pracy podważa solidarność związkową.

Taka postawa, dzieląca rzeczywistość na „nas” — dobrych i sprawiedliwych, oraz „ich” — złych i do zwalczania, połączona

z optymistycznym przekonaniem, że przezwyciężenie zła zewnętrznego jest równoznaczne z triumfem dobra, jest oczywiście dobrze znana z deklaracji partyjnych. Nie tylko zresztą komunistycznych (choć bezwiedne echa marksistowskiej utopii można w programie usłyszeć). Ale Solidarność nie jest i nie chce być partią polityczną. Jest, powtórzmy, ruchem społecznym zobowiązującym się do reprezentowania interesów całego narodu, i ruchem, z którym ogromne nadzieje łączy większość Polaków. Dlatego też brak wyraźnej świadomości potrzeby pracy także nad sobą — nad członkami związku, nad społeczeństwem, nad stosunkiem do pracy, nad godzeniem interesów pracowniczych z interesami ogólnonarodowymi — jest niepokojący i wymaga naprawienia.

Rozdźwięki wewnątrz związku ujawniały się już nieraz, i trwają w chwili, kiedy piszę te słowa w miesiąc po uchwaleniu programu. Jest to zupełnie naturalne, zważywszy liczebność i skład Solidarności. Nie można np. oczekiwać, aby pracownicy poszczególnych zakładów czy mieszkańcy poszczególnych miast czy okolic posiadali zawsze świadomość stosunku ich partykularnych potrzeb do możliwości spełnienia, wynikających ze stanu całości gospodarki kraju. Dlatego też do VII rozdziału programu („Nasz Związek”) należało chyba wpisać zadania w pracy nad kształtowaniem postaw obywatelskich. Rozdział ten poświęcony jest głównie zagwarantowaniu wewnątrzwiązkowej demokracji, co bardzo słuszne i cenne. Ale dodać trzeba, że bez poszanowania prawa i organów władzy ład społeczny jest niemożliwy; władza państwowa, z którą mamy do czynienia od 37 lat, tylko nas takiego poszanowania oduczała. I jeszcze jednym obowiązkiem Solidarności, trudnym ale niezbywalnym, jest wziąć na siebie i tę rolę wychowawczą, zaczynając od własnych członków. Nikt jej w tym nie wyręczy.

Należy też mówić otwarcie: urzeczywistnienie zarysowanego przez program wielkiego planu „odrodzenia narodowego” będzie wymagało od społeczeństwa wielu lat ciężkiej pracy i wyrzeczeń. Wyjście z głębokiego kryzysu i uzyskanie rzeczywistej sprawiedliwości społecznej jest przedsięwzięciem pięknym, porywającym — ale i bardzo kosztownym. Zapewnienie wszystkim Polakom godziwych warunków pracy i życia, umożliwienie swobodnego rozwoju kultury i nauki — to wszystko wymaga mnóstwa pracy i pieniędzy, które trzeba będzie dołożyć do owych dwudziestu paru miliardów dolarów dzisiejszego zadłużenia.

Ma Solidarność wielu doradców i ekspertów, często bardzo wybitnych specjalistów w swoich dziedzinach. Ma też doradców ogólnopolitycznych. Sądzę, że od tych ostatnich związek powinien wymagać nie tylko wysuwania haseł i celów, ale przede wszystkim wskazywania na niekonsekwencje i sprzeczności w

proponowanych planach, na wewnętrzne zagrożenia, na słabości własnej organizacji. A także i na fakt, że wiele projektów społeczno-gospodarczych Solidarności ma charakter tak niebywały, że budzą zdecydowany sceptycyzm u ekonomistów zagranicznych, skądinąd dobrze związkowi życzących (dotyczy to zwłaszcza samorządu pracowniczego). Taka obowiązkowa krytyka będzie dla związku najcenniejszą przysługą.

Bronisław LASOCKI

SMUTNE DEKLARACJE

Kiedy intelektualiści zabierają głos w sprawach publicznych — politycznych, społecznych, moralnych — na czym opiera się ich ewentualny autorytet? Na założeniu, że przemawiają bezinteresownie; że są rzecznikami imponderabiliów, trwałych wartości, a nie specjalistami od posunięć taktycznych; i że mówią prawdę — jeżeli nie całą prawdę, to wyłącznie prawdę.

Wiadomo, że w Polsce intelektualiści cieszą się większym autorytetem społecznym niż w innych krajach środkowo-wschodniej Europy. I właśnie powyższe względy zadecydowały o tym, wyrobionym przez lata, autorytecie. Ponieważ intelektualiści piszą prawdę i nie wdają się w polityczne manewry, przywykliśmy ich słuchać z uwagą i szacunkiem.

Dlatego lektura „Apelu do społeczeństwa polskiego, do Rządu Rzeczypospolitej Ludowej, do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, do NSZZ „Solidarność”, do wszystkich stowarzyszeń i organizacji społecznych” oraz „Listu otwartego do Ministra Spraw Zagranicznych PRL”, podpisanych 22 września przez trzydziestu pięciu znanych i cenionych przedstawicieli świata nauki i kultury, budzi smutek i zawstydzenie. Są bowiem w tych tekstach twierdzenia jawnie fałszywe, najwidoczniej wywołane względami taktycznymi; i oba teksty oparte są na milcząco przyjętych założeniach, które większość Polaków uważa dziś za błędne.

Nie jest prawdą, że „olbrzymia większość społeczeństwa traktuje z powagą, odpowiedzialnością i konsekwencją” polskie „zobowiązania sojusznicze wobec Związku Radzieckiego”. Jeżeli ktoś chce, może nad tym ubolewać, ale faktem pozostaje, że zobowiązania te traktowane są powszechnie jako przykry, kosztowny i upokarzający przymus, od którego należy się wszelkimi sposobami wykręcać. Nie jest też prawdą, że „Polacy są świadomi, że ich miejsce jako narodu, posiadającego własne, suwerenne państwo — jest w ramach istniejących sojuszów”. Takie przekonanie stara się w nas od 37 lat zaszczepić rządząca partia — ale coraz mniej skutecznie. Przeciwnie, Polacy mają świadomość

mość, wzmacnianą przez niedawne wystąpienia partii i rządu ZSSR, że właśnie „obecne sojusze” stanowią ograniczenie naszej suwerenności państwowej i zagrożenie dla możliwości względnie choćby samodzielnego kształtowania losów naszego narodu.

Dlatego też zapewnienie, że „cały naród polski... gotów jest być gwarantem obecności Polski w ramach Układu Warszawskiego” jest gołosłowne. Autorzy powtarzają podobną myśl w innej formule, twierdząc, że „obecne nasze sojusze są dla wszystkich niemal Polaków racją stanu jak i rozsądną drogą historyczną”. Nie wiem, jak dokonano przeliczenia „wszystkich niemal”; być może autorzy chcieliby, aby tak właśnie „wszyscy niemal Polacy” czuli. Ale tak nie czują, o czym łatwo się przekonać. Stan obecny uważają właśnie „wszyscy niemal” za wymuszony. I nie bez racji przecież w narzuconym wasalskiej zależności od Kremla) ustroju apatrują główną przyczynę powtarzających się kryzysów politycznych i gospodarczych.

Nie jest też prawdą, że „olbrzymia większość Polaków odnosi się z sympatią do narodów Związku Radzieckiego”. Wiele lat przymusowej przyjaźni i głupiej propagandy sprawiło, że stosunek większości Polaków do mieszkańców ZSSR jest niechętny i często pogardliwy. Znowu: można nad tym ubolewać, ale nie można temu zaprzeczyć.

Największe zdumienie budzi jednak deklaracja: „Udział naszego kraju w obecnych sojuszach polityczno-wojskowych oraz wspólnocie ekonomicznej stanowi warunek bytu państwa polskiego”. Jest to po prostu własne sformułowanie tzw. doktryny Breżniewa. Ale kiedy takie rzeczy mówi Breżniew, grożąc nam utratą niepodległości, jeżeli nie będziemy przestrzegać zasad „politycznego sojuszu” (więc np. nie zlikwidujemy Solidarności) — to można się tym martwić, lecz trudno się dziwić. Dlaczego jednak mają te słowa żyrować Polacy?

Pośród założeń, które większość Polaków uznaje dziś za błędne, wymienimy trzy:

1. Suwerenna Polska istnieje w ramach sojuszu z ZSSR. Czyżby? Ów rzekomy „sojusz” jest powszechnie uważany za ograniczenie suwerenności.

2. Można dokonać dzieła „demokratycznej, samorządnej reformy” jednocześnie „zachowując socjalistyczne zasady ustrojowe”. Czyżby dotychczasowe zasady ustrojowe, które mamy „zachować”, były istotnie „socjalistyczne”? A jeżeli tak, to w jaki sposób można dokonać reform, zachowując te zasady, za które partia — jeden z adresatów listu — zawsze uważała monopol władzy, centralizm demokratyczny i posłuszeństwo dyrektywom moskiewskiej centrali?

3. Można w ten sam sposób krytykować władze partyjnopństwowe — i ruch „Solidarność”. Nie, nie można. „Solidarność” na pewno popełnia błędy, na pewno zasługuje na krytykę

— ale nie popełnia błędów w złej wierze, w chęci powrotu do dawnych metod, ponownego ubezwłasnowolnienia narodu i oszukania społeczeństwa. Udzielanie jednym tchem reprimendy obu stronom jest co najmniej niezręczne.

Dodajmy jeszcze, że zapewnianie ZSSR, iż PZPR nie jest „jedynym gwarantem sojuszu” w sytuacji, kiedy nasz hegemon nie zdradza najmniejszych oznak chęci szukania porozumienia ze społeczeństwem polskim a przeciwnie, prowadzi od kilkunastu miesięcy kampanię oszczerstw, oskarżeń i pogroźek — jest i upokarzające i bezcelowe. Nie zapewnienia intelektualistów, ale tylko twarda postawa narodu mogą kiedyś nakłonić Sowiety do nawiązania dialogu z autentycznymi przedstawicielami polskiej opinii. A kiedy zechcą, adresy znajdą sobie sami.

Nie można wątpić w szlachetność intencji wielu sygnatariuszy listów. Ale trzeba wyrazić żal, że dla doraźnych celów tak jawnie rozminęli się i z prawdą, i z rozsądkiem.

S.

SPECJALNE WYDANIE

PULSU

„GDAŃSK 1980 — PICTURES FROM A STRIKE”

ALBUM FOTOGRAFICZNY

pokazujący przebieg wielkiego strajku sierpniowego w stoczni im. Lenina w Gdańsku.

Tekst w języku angielskim: przedmowa pióra Leopolda Łabędzia, 21 postulatów, kalendarium wypadków oraz nota o umowie gdańskiej.

Cena poszczególnego egzemplarza wraz z przesyłką wynosi:

WIELKA BRYTANIA — £ 5.50;

EUROPA (oprócz Wielkiej Brytanii) — £ 6.50 lub równowartość;
AMERYKA, AUSTRALIA etc. — £ 7.00 lub równowartość.

Zamówienia wraz z należnością prosimy kierować na adres:

PULS PUBLICATIONS

BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom

Londyn 1956

Czytałem ze wzrastającym podnieceniem, czując, że mam wypieki na twarzy. Gazeta drżała mi w rękach. Nareszcie!! Nareszcie coś konkretnego. Nareszcie koniec bezsilnego wyszukiwania wiadomości w prasie... Myśli kłębiły mi się w głowie — „... spisują tylko wyszkolonych spadochroniarzy...” ... mnie nie będą chcieli, cholera...

W korytarzu dzwoni telefon... — To do pana, panie Tadziku! — woła właścicielka domu... — Tadek, tu Witold Swianiewicz. Czytałeś? — Czytałem. Spotkamy się na Marble Arch przy wyjściu z kolejki. — Nic więcej nie mówiliśmy. Nie było potrzeby. Nie widziałem go od 3 miesięcy, ale wiedziałem natychmiast, o czym mówi. Słyszałem, że na wiadomość o powstaniu wystąpił na wielkim wiecu w Portsmouth i wygłosił płomienną mowę. Witold?! Nieśmiały, zaskorupiony Witold! Nie mogłem sobie tego wyobrazić.

Wybiegłem z domu zapinając czołgowy kombinezon z wyprzedaży, w którym jeździłem na motocyklu. Wyglądało to dość wojskowo. Może zrobi lepsze wrażenie na tych facetach. Motocykl gnał przez miasto. Moja duma. Najwspanialsza rzecz, jaką miałem w życiu. Zostało mi jeszcze trzy miesiące dodatkowej pracy przy zmywaniu talerzy, żeby go spłacić. Moja gaża „juniora” w biurze projektów nie wystarczała na takie luksusy. Kładłem się na wirażach wyćwiczonym, płynnym ruchem. Jeszcze kilka zgrabnych przewinień pomiędzy wolniejszymi samochodami i precyzyjnie kontrolowany poślizg do samych stóp Witolda. Stał niecierpliwie przy krawężniku. Chuda, niezgrabna postać. Jak zwykle natychmiast wpadł „w krok” ze mną i od razu zanurzył się w pasjonującym wywodzie. Przy mnie był zawsze rozmowny. Jak zwykle zacząłem powoli wydłużać krok. Nawet w tym mo-

mencie nie mogłem powstrzymać się od zażartowania z niego. Witold automatycznie wydłużał krok dostosowując się do mnie. Pograżony w wywodzie nie zauważał, że powoli wydłużamy krok coraz bardziej. W końcu szliśmy groteskowo długimi krokami wzbudzając zdumienie przechodniów. Groziło nam zrobienie „szpagatu” na trotuarze, zanim się w końcu zorientował. Jak zwykle wściekł się wtedy. „Kurwa mać! Przestań się wygłupiać!”.

Artykuł w gazecie nie podawał adresu. Po kwadransie systematycznego przeszukiwania ulicy znaleźliśmy. Na schodach do ciasnego biura jakiejś firmy kłębił się tłum młodych ludzi. Przepchałem się autorytatywnie. Mój kombinezon i czerwony beret pomagały wyrażnie. Pełen optymizmu rozgarnąłem studenciaków stłoczonych przy biurku, za którym zaafierowany, spocony mężczyzna wyrozumiałe ale stanowczo odmawiał im wpisu na listę ochotników. Zażądałem informacji. Po raz pierwszy mój obcy akcent był mi pomocny... Powiedział, że nie spodziewali się takiego oddźwięku i nie są w stanie nic obiecać. Na razie spisują tylko wyszkolony personel z pierwszeństwem dla spadochroniarzy i komandosów. Kłamałem jak z nut. Mam szkolenie w klubie spadochronowym w Polsce. Przysposobienie wojskowe. Znam broń rosyjską. Płynnie mówię po rosyjsku. Jako Polak łatwiej dogadam się z Węgrami niż Anglicy (?). Uwierzył mi! Studenci patrzyli z zawiścią i rozżaleniem jak spisywał mój adres... Kazał czekać. Żadnych konkretnych zobowiązań.

Wyszedłem przygnębiony. Witold stał w grupie młodych ludzi. „Mówią, że tu gówno będzie. Podobno na Elizabeth Street organizuje się studenckie bataliony ochotnicze”. — Pojechaliliśmy natychmiast. Znowu tłum młodych ludzi. Studenci. Jakiś 40-letni prawnik w garniturze w prążki. Za stołem militarnie wyglądający człowiek uprzejmie ale autorytatywnie poddaje mnie egzaminowi. „Ile pocisków wchodzi do pepeszy?”. Odpowiadam poprawnie, pomimo że tak naprawdę to w życiu z pepeszy nie strzelałem. Gawędy byłych partyzantów przy ogniskach harcerskich w latach powojennych nie poszły na marne. Pytania na temat czołgu T 34. Coś tam wiem. Zawsze więcej niż angielscy studenci... Patrzą na mnie z rosnącym poważaniem.

Przyłgnąłem. Do dziś nie wiem, jak się organizacja nazywała i czy w ogóle miała jakąś nazwę. Zbieramy pieniądze na ulicach na zakup broni. Stoimy z puszkami na Soho i nagabujemy klientelę eleganckich francuskich restauracji, w których nikt z nas nigdy nie był. Dają chętnie. Dają też przechodnie, taksówkarze. Kurwy-rogowki obrażyły się, że ich też nie prosimy... „Przecież my też ludzie”. Czuję się wzruszony i pokrzepiony.

W naszym „biurze” kotłuje się tłum. Ochotnicy, sympatycy, ciekawscy. Wielu przynosi pieniądze. Niektórzy cały tygodniowy, a nawet miesięczny zarobek. Masa dobrych rad i oryginalnych pomysłów. Jacyś weterani hiszpańskich brygad międzynarodowych życzą nam powodzenia. Patrzą na nas z nostalgią, poważaniem i chyba jakimś smutkiem. Jakiś staruszek przytaskał całą kolekcję zabytkowej broni siecznej i z zażenowaniem przeprosza, że to wszystko co może nam dać. „W walce wręcz może się przydać — mówi niepewnie. — A najlepiej to spieniężyć. Możecie osiągnąć całkiem wysokie ceny”.

Wiec w Hyde Parku organizowany przez nas. Tysiące ludzi. Potem marsz demonstracyjny przez miasto i w kierunku ambasady sowieckiej. Policja pośpiesznie zamyka żelazne bramy do „Alei Milionerów”, gdzie mieści się ambasada. Usiłujemy sforsować bramę. Przybywają posiłki policji oraz policja konna. Anglicy przepychają się dość energicznie z policją, ale nie walczą z nią. Szacunek dla policyjnego munduru hamuje ich przed użyciem siły naprawdę. Witold i ja wyróżniamy się agresywnością i inspektor policji na koniu wskazuje nas grupie szturmowej policjantów, żeby nas wyłuskali z tłumu i aresztowali. Musimy dawać nura w tłum. Zdejmuję mój czerwony beret. Nic więcej nie możemy osiągnąć, bo ciżba wprawdzie hałasuje i napiera, ale unika prawdziwej konfrontacji. Tłum przyciska jakąś drobną dziewczynę do kraty parkanu. Słyszę krzyk. Zapieram się energicznie i z jakimś dużym dokerem robimy jej trochę luzu. Odwraca się z podziękowaniem. JILL!!! Fala żalu, gorczy i tkliwości odbiera mi głos. „Tadziniek”, mówi cicho. W jej ustach brzmi to jak zawsze ciepło i egzotycznie. Bez słowa biorę ją za rękę. Wraca ze mną na Elizabeth Street. I zostaje.

W „biurze” działa Jania Potocka, energiczna, zdecydowana. Jest nas trójka Polaków w tej masie Anglików. We trójkę z Witoldem domagamy się konkretnej akcji. Dni upływają i może być za późno. Pogłoski o bogaczach, którzy są gotowi dać znaczne sumy na zakup broni. Podobno ktoś znalazł dojdzie do zakupu. Wiemy, że nasz wkład militarny nie robi większego wrażenia na Armii Sowieckiej, ale jesteśmy przekonani, że jeśli większa grupa Brytyjczyków znajdzie się na Węgrzech, a zwłaszcza jeśli część z nas zginie lub dostanie się do niewoli, to poruszy to opinię publiczną do tego stopnia, że rząd brytyjski będzie musiał się zaangażować. Uchwalamy, że w pierwszym rzucie wyślemy trzy osoby. Pomoże to w mobilizowaniu większych pieniędzy na broń. Zawsze będzie można mówić, że niektórzy z nas na-

prawdę już tam są. Natychmiast zgłaszam się jako ochotnik do trójki. Zgadza się. Mamy jechać do Austrii następnego dnia. Proszę Janię o sprzedaż motocykla, moich książek, ubrania i drobiazgów i przekazanie pieniędzy na fundusz zakupu broni.

Jadę do konsulatu austriackiego po wizę. Austriacy sympatyzują, ale nie wierzą, że teraz akurat bezpaństwowiec polskiego pochodzenia chce pośpiesznie wybrać się do Austrii w celach krajoznawczych. Mówią, że zabroniono im dawania wiz młodym mężczyznom. Wracam do „biura” i przekonuję ich, że pojedą do Niemiec i dołączę do grupy w Austrii przez zieloną granicę. Po godzinie wybucha awantura. Jeden z moich współtowarzyszy protestuje przeciwko mojej kandydaturze na kozła ofiarnego twierdząc, nie bez słuszności, że mój udział niepotrzebnie komplikuje i tak skomplikowaną wyprawę. „Komitet” decyduje zastąpić mnie kim innym. Wybrany zostaje Peter Pierce, montażysta filmowy. Suchy, żylasty, ekspert judo. Moje rozgoryczenie nie ma granic. Żeby mnie uspokoić proponują mi, żebym został oficjalnym „oficerem szkoleniowym” organizacji i dają solenne słowo, że pojedą w pierwszej następnej grupie. Teraz mam przeprowadzić selekcję ochotników, żeby odsiać niedorajdy i gówniarzy. „Trójka” znika tajemniczo po wyposażeniu się w wojskowe buty, kamuflażowe mundury, plecaki itp. Wszystko zakupujemy w sklepach ze sprzętem z demobilu. Gorzko zazdroszczę skurwysynom.

Odbieram Jani klucz od motocykla i jadę z Johnem Brownem załatwiać jakieś sprawy. Gniew i frustracja biorą górę nad rozsądkiem i jadę po wariacku. John milczy z tyłu i tylko trzyma się mnie jak pijawka. Po dojechaniu widzę, że jest bardzo błądy. Musiałem go naprawdę przestraszyć. Czuję się głupio. Zachowałem się jak szczeniak.

Na piątek wieczorem zamawiamy dwa autokary od sympatyzującej firmy, która wynajmuje je nam po kosztach własnych i wzywamy pierwszych 100 ochotników z listy na test. Stawia się znacznie więcej co się nawet dobrze składa, bo mogę od razu narzucić autorytatywny ton całej wyprawie. Poza tym z mety powstaje atmosfera konkurencji. Grzecznie ale stanowczo spławiam nadliczbowców a trzech upartych po prostu każę wyrzucić z autokaru. Młody sierżant rezerwista wykonuje polecenie bez wahania. W nocy dojeżdżamy do dzikich wrzosowisk i od razu narzucam ostre tempo marszu. Po paru godzinach śpiemy w jakiejś kotlinie i przed świtem zrywam ich znowu. Dwu opiera się przed wstaniem. Ucinam dyskusje i zostawiam ich. Jeden się

obraża i zostaje, drugi dołącza biegiem. Przez cały dzień maszerujemy ostro z krótkimi przerwami. Kilku odpadło. Będą musieli sami znaleźć sobie drogę powrotną do Londynu. W nocy zaczyna padać deszcz. Nocujemy zziębnięci i podmoknięci, ale nastrój jest dobry. Przeważa uczucie dumy, że jednak wytrzymują. W niedzielę duża grupa po prostu ustaje. Rozstajemy się. Są zażenowani i przepraszają. Resztę gonię dalej bez miłosierdzia. Wytwarza się atmosfera zaciętej wytrwałości. Oszukuję, ukradkiem jem tabletki glukozy i wciąż żyłuję tempo. Zmęczenie zaczyna zmywać z moich podopiecznych powłokę angielskiej rezerwy i dobrych manier i bardziej wydatne cechy wypływają na wierzch. Obserwuję bacznie i w myśli odfajkowuję tych najbardziej zdeterminowanych, zdyscyplinowanych i bystrych. Zdaję sobie sprawę, że jest to prymitywna metoda selekcji, ale świadomie zdaję się na instynkt. Innej metody po prostu nie mam.

Na punkt spotkania z autokarami dochodzimy późną nocą z niedzieli na poniedziałek. Jesteśmy wszyscy bardzo zmęczeni. Sprawdzam listę i odfajkowuję. Mam 14 takich, z którymi poszedłbym wszędzie i około 30 „prawdopodobnych”. W autokarze wszyscy natychmiast zasypiamy. Budzę się na Elizabeth Street. Szybko myję się i przebieram i jadę wprost do pracy.

Po południu szef wzywa mnie i ojcowskim tonem zwraca mi uwagę, że moje pozazawodowe zaangażowania odbijają się na mojej pracy. Tłumaczy mi, że jestem sam w obcym kraju i przede wszystkim powinienem myśleć o zapewnieniu sobie bytu. Niech ideałami zajmują się ci, których na to stać. Ci co mają tu rodziny, które im pomogą przeżyć w razie potrzeby. Wiem, że mi dobrze życzy i przepraszam go bez przekonania. Rozstajemy się wiedząc, że nikt nikogo nie nawrócił.

Wieczorem jadę na Elizabeth Street żeby złożyć raport z testu. Potem padam i śpię przez 10 godzin.

Objężdżamy co lepsze puby i zbieramy pieniądze na broń. Kierownicy na ogół chętnie pozwalają na zbiórkę. Klientela daje szczerze, zwłaszcza późnym wieczorem, po kilku kolejkach. Kilkakrotnie pytają nas, gdzie można się do nas dołączyć. Awantura Sueska wchodzi nam w paradę. Benzyna jest racjonowana i mój przydział nie wystarcza mi na wszystkie rozjazdy. W pewnym momencie po prostu staję. W jakimś pubie ktoś pozwala mi na odsyfonowanie benzyny z baku jego samochodu. To jest naprawdę szlachetny gest. Przy powszechnym głodzie benzyny wielu wołałoby dać krew.

Znów piątek. Jedziemy autokarami z nową, większą grupą. W sobotę dołącza do nas Polak. Kapitan. Były partyzant. Ubрани w kuse, wyszarżane palto i wellingtony. Proszę go, żeby na postoju powiedział chłopakom kilka słów prawdy. Zgadza się chętnie. Skromny. Poważny. Po godzinie intensywnego marszu dostaje skurczu w łydce i jest tym strasznie upokorzony. Żal mi go. Starzec. Ma co najmniej 30 lat. Wytaczam trasę marszu dużym łukiem i każę mu iść po cięciwie, żeby go oszczędzić. Wellingtony to nie obuwie na marsze.

Spotkamy się po południu. Zarządzam postój. Rozsiadamy się wygodnie na poboczu wysokiego wzgórza. „Kapitan” rzuca wezwanie tym w grupie, którzy mają wyszkolenie wojskowe. Wybieramy dwóch i ci wraz z „kapitanem” biegną na porośnięte wrzosem zbocze przeciwnieległego wzgórza. Będą demonstrować niewidoczne czołganie się na wrzosowisku. My mamy zgadywać, gdzie każdy z nich jest. Na mój gwizdek będą wstawać, żeby się pokazać. Siedzimy jak w teatrze. Daję znak. Cała trójka daje nura we wrzosi. Dwaj Anglicy zostawiają po sobie ślad jak motorówki na jeziorze. „Kapitan” znikł. Na gwizdek wyłania się w zupełnie niespodziewanym miejscu. Powtarzamy eksperyment kilka razy z identycznym rezultatem. Ochotnicy patrzą na „kapitana” z nieukrywanym szacunkiem. Twardo akcentowanym angielskim wygłasza krótką pogadankę o realiach wojny partyzanckiej. Jest świadomie brutalny. Widzę kilka pobladłych twarzy. Ciekaw jestem, czy ktoś zacznie rzygać. Kończymy wystąpienie wezwaniem do tych, którzy spodziewali się wojny według konwencji międzynarodowych, aby się wycofali. Nie zgadzam się na dyskusję. Niech każdy podejmie decyzję samodzielnie. Widzę po twarzach, że odpadnie co najmniej 1/3. Lepiej teraz niż przed ruskim czołgiem. Reszta wyprawy według poprzedniego szablonu. Mam dalszych 23 „pewnych”.

W poniedziałek po południu wyrzucają mnie z pracy. Szef mówi, że to dla mojego dobra. Żebym się opamiętał. Widzę, że mu naprawdę przykro. Na pożegnanie daje mi 5 funtów na broń. Pół mojej tygodniówki! A jednak...

Z Węgier złe wiadomości. Boję się, że zanim się wygrzebiemy będzie po wszystkim. Prasa angielska zajęta kryzysem sueskim. Podejrzewam, że w naszym Komitecie są ludzie, którzy starają

się opóźnić nasz wyjazd. Peter Pierce zjawia się na Elizabeth Street. Wściekły. Nigdzie nie pojechali. Wysłano ich potajemnie do ośrodka szkoleniowego ochotniczej rezerwy wojskowej gdzie zblatowani instruktorzy dali im intensywny kurs bojowy w tajemnicy przed dowódcą ośrodka. Jest na wpół głuchy, bo tyle amunicji wystrzelał, ale wścieka się, bo twierdzi, że to tylko taktyka opóźniająca. Nie wiemy kogo podejrzewać. Odrywamy się od Elizabeth Street. Jest nas około 15 osób, w tym Jania, Shirley i Węgierka Gita Kovaks. Peter, najstarszy z nas wszystkich i najpoważniejszy, przejmuje dowództwo. „Komitet” nie chce dać nam żadnych pieniędzy ani adresów ochotników. Po awanturze wychodzimy.

Shirley, mała sekretarka w grubych okularach, oddaje nam swój stary, rozklekotany samochód — dorobek jej życia. Sprzedajemy mój motocykl i wysyłamy Gitę i Petera na rozpoznanie do Austrii. Mają wybadać możliwość zakupu broni i nawiązać kontakt z walczącymi Węgrami. Podobno są tacy co kursują pomiędzy Austrią a Węgrami.

Zamieszkujemy zbiorowo w wynajętej ruderze, żeby oszczędzić wydatków. Znajduję pracę jako pomocnik barmana i zarobki wkładam do wspólnej kasy. John Brown mieszka z rodziną, ale przynosi nam połowę swojej tygodniówki. Jania i Shirley mają jakieś prace. Inni różnie.

Peter i Gita wracają. Nie możemy od nich wyciągnąć co właściwie osiągnęli. Robią tajemnicze miny, ale są widocznie przygnębieni. Z Węgier coraz radsze oznaki cporu. Zgłasza się do nas jakiś Węgier. Okazuje się, że służył w SS w czasie wojny. Tłumaczy, że to było Waffen SS i to podobno nie było takie złe. Peter chce go zabić.

U sąsiadki w telewizji oglądamy tłumy uchodźców z wypalonymi flagami węgierskimi. Płacząc śpiewają hymn węgierski. Mówią, że już po wszystkim w całym kraju. Gita płacze. Jania stoi twarzą do okna. Mały, zadziorny starszy strzelec-rezerwista Stokes klnie głośno i ordynarnie. Poeta-oxfordczyk Chris Cunningham siedzi blady, zmęczony i jakby nie rozumiejący co się dzieje.

Wychodzę z pokoju i kładę się na mojej prymitywnej pryczy twarzą do ściany. Fotografia Jill przypięta do ściany pinetkami pływa mi i rozmazuje się. Słyszę skrzypnięcie drzwi i szybko zasłaniam mokrą twarz ramieniem.

Tadeusz JARZEMBOWSKI

NOWOŚĆ

DR W. DZIKOWSKI

„JAK DBAĆ O SVOJE SERCE”

Dlaczego człowiek współczesny żyjący pod stałym wpływem emocji, napięcia, zdenerwowania i przepracowania jest narażony na powstanie nadeisnienia, choroby wieńcowej, cukrzycy, otyłości i miażdżycy?

Książka ma na celu przekazanie w jak najprzystępniejszej formie informacji o problemach, które fascynują nie tylko świat lekarski. Jest jedną z nielicznych pozycji tego typu w światowej literaturze medycznej.

Cena F.F. 90,00; \$ 16,00 — wraz z przesyłką.

Do nabycia u wydawcy:

Caldra House Ltd., Box 5
23 Coleridge Street, Hove, Sussex BN 3 5AB, England

Czeki lub International Money Order prosimy przesyłać
na nazwisko autora.

Wiersze

Henryk SKWARCZYŃSKI

WYGNANIEC

*kiedy walczył z Persami nie myślał
że przyjdzie mu opuścić rodzinny kraj
i zostać filozofem nie wiedział też o tym
kiedy opity winem bawił swymi pieśniami
przygodnie napotkanych wędrowców
gdy poczęty zawodzić go nogi i ramiona
osiadł w mieście Elei pozostając wygnańcem
któremu przyszło ujmować się za rodakami
przed obcym mu narodem w dziwacznie
brzmiącym w ich uszach języku
któż dziś pamiętać może o Ksenofaniesie*

Henryk SKWARCZYŃSKI

Krzysztof SMOCZYK

OGŁOSZENIE

*początkującemu poecie oferuje
moje nocne miasto
jego wzdętą mającą półprzutomną twarz
pokrytą rozdrapanymi przez złe sny
pęcherzami neonowych świateł
z których wyciekają strużki kolorów
i jego oddech zawieszony odstąpię
pełen nieprzetrawionej wódki
i trujących szczątków gazet*

*nade wszystko polecam mu właśnie to miasto
które przyjmuje od nas nocą
w każdym swoim zaułku mocz i zwierzenia
i na ściany czynszowych kamienic
występują ciemne plamy
zarysowują się kontury
powstają wciąż nowe śmiałe szkice
do nieocenzurowanej mapy
zbiorowej duszy*

*początkującemu poecie
w mieście moim wynajmę
cztery ściany niepokoju
poduszkę odwróconą na bezsenną stronę*

1981

Krzysztof SMOCZYK

Adam ZAGAJEWSKI

SŁOWNIK

*Lance, proporce, szable i konie,
konie, brzytwy, klocki, proporce,
kobiety, zielone ciepłe lampy, rozmowy
które płoną i żółty popiół książek.
Pani modli się tylko po francusku.
Nad etażerką nieruchoma jak koliber
smagła tatarska Matka Boska.
Duże towarzystwo. Dzieci wysyła się
do ogrodu. Wódka gorzka jak piotun.
Stary Testament dowcipów. Przeszywająca
wieczność śmiechu. Jabłka i czereśnie.
Chleb. Odbierzcie im to wszystko,
to nic, morze śródziemne lekkomyślności,
zwykłe życie, które ma zaledwie smak wody,
odbierzcie im szelki, sznurowadła
i paski, atrament i pióro,
płótno i papier i żelazo,
zabierzcie im usta i ręce,
oczy i język, będą mężczyźni
jak mosiądz i stal.*

ON PISZE

*On pisze chłodne wiersze. On
pisze śniegiem a nie krwią.
Nie zna się na doskonałości
i nie wie, że nawet wieczność
składa się z ciała i duszy,
dokładnie tak samo jak my,
przy czym jego dusza jest
ciałem wieczności a wiersz
zachowuje się jak duch. Niech
płacze, póki nie zamarzną łzy.*

ZDRAJCA

*Widziałem go w telewizji, uczynne
elektrony szatkowały jego siwe
włosy, polodowcowy nos i zwykłą
fajkę. Wywiadom dwóch mocarstw
służył z niesymetrycznym zapąłem.
Żonie był wierny, zdradził króla
(honoru elektrony nie dostrzegły).
Zjadła go nuda, ta sama która
żywi się tobą i mną, ponieważ
zdradzał byty zbyt widzialne.*

Adam ZAGAJEWSKI

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

WOJNA O POKÓJ

Spokojnie przyjąłem wywiad dziennikarza radia belgijskiego z p. Zagladinem, członkiem KC z Moskwy i ekspertem Breżniewa od propagandy na Zachodzie. Radio belgijskie przyzwyczało mnie już i uodporniło na najgorsze, więc nie zdziwiłem się, kiedy p. Zagladin najpierw pochwalił pacyfistyczne manifestacje na Zachodzie, a potem wytłumaczył Belgom różnicę między marszami pokoju w Brukseli i Moskwie. W Moskwie — powiedział poważnie — takich marszów nie ma, bo odwrotnie niż w Belgii czy NRF, masy pracujące miast i wsi w ZSSR najzupełniej zgadzają się z polityką partii i rządu. Nie zdziwiłem się też, kiedy okazało się, że mój *confrère* z radia nie miał na ten temat nic do powiedzenia, ani nawet temu, że w licznych wywiadach jakie przeprowadziła z p. Zagladinem prasa belgijska, nie wspomniano nawet — zapewne aby nie urazić drogiego gościa — ani o Afganistanie, ani o prawach człowieka.

Nie zareagowałem kiedy, w odpowiedzi na pacyfistyczne manifestacje na Zachodzie, nadeszło echo z NRD. Pięciu wybitnych fizyków wysłało, za pośrednictwem wielkich agencji światowych, apel przeciw amerykańskim rakietom w Europie. Nie wywołał rumieńców na mej twarzy ani fakt, iż tych pięciu panów tworzy *ausgerechnet* „komitet im. Einsteina” (nie pytając go o zgodę), ani to, że spotkali się w „Domu Einsteina” w miejscowości... Caputh pod Poczdamem, ani nawet to, że jednym z sygnatariuszy jest niejaki Klaus Fuchs, który za szpiegostwo i przekazanie Rosji zachodnich tajemnic atomowych został skazany w 1950 roku w Londynie na 14 lat więzienia i może dziś podpisywać apele o pokój tylko dzięki temu, że został na czas ułaskawiony przez Brytyjczyków (apel następny będzie podpisany przez Guillaume'a).

Nie wzruszyłem się także treścią dwóch audycji religijnych, może dlatego, że jestem agnostyk. Najpierw w BBC wysłucha-

łem opowiadań grupy wierzących (po protestancku) kobiet brytyjskich, świeżo po powrocie z ZSSR, gdzie napotkały wyłącznie matki i siostry sowieckie pragnące pokoju i dające temu wyraz w znakomitej angielszczyźnie. Brytyjskie *ladies* wybierały się właśnie na manifestację pacyfistyczną, oraz na objazd Wielkiej Brytanii aby popierać jednostronne rozbrojenie, albowiem naturalnie ze strony kobiet jakie spotkały w Rosji nie może grozić światu żadne niebezpieczeństwo.

Pokój nie jest monopolem chrześcijan, więc z przyjemnością dowiedziałem się, że Allah też jest przeciw amerykańskim rakietom. Abdułła Kołonow, mułła z Tadżykistanu, powiedział TASS'owi, że „sowieccy muzułmani potępiają plany ograniczonej wojny atomowej prezydenta Reagana, modlą się o pokój i wyrażają radość, iż ZSSR tak odważnie stara się ratować świat od katastrofy nuklearnej”.

W nurcie wołającym o pokój nie mogło zabraknąć dziennikarzy. Bez zdziwienia przeczytałem apel obradującego w październiku w Moskwie zjazdu Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy. Zjazd wzywa moich kolegów z całego świata do „pisania prawdy i obrony pokoju u naszego boku”, co ma polegać — jak wynika z dalszych słów apelu — na demaskowaniu „kłamstw o rzekomej agresywności ZSSR i państw socjalistycznych”. Szczerość i wiarygodność tego apelu potwierdził fakt, iż organizatorzy odmówili wizy i nie wpuścili do Moskwy przedstawiciela innej, nie związanej z „ruchem pokoju” federacji dziennikarskiej. Był nim bowiem dziennikarz izraelski, którego obecność w Moskwie „mogłaby poirytować dziennikarzy arabskich jeszcze pod wrażeniem zamordowania w Rzymie p. Abou Szachara, rzecznika prasowego Organizacji Wyzwolenia Palestyny i sekretarza generalnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Palestyńskich”. Fakt, iż Izraelczykowi odmówiono wizy *zanim* zamordowano (ciągle zresztą nie wiadomo przez kogo) Szachara, świadczy ponadto, iż do walki o pokój dziennikarze z Moskwy włączyli także siły nadprzyrodzone. Albo, że wiedzieli z góry o zamachu, co też może być orężem pokoju.

To wszystko, jak powiedziałem, zniósłem bez większych wzruszeń. Krew mnie dopiero zalała, kiedy wysłuchałem przemówienia p. Anthony Benna, lidera lewackiego skrzydła *Labour Party* i jednego z proroków jednostronnego rozbrojenia Wielkiej Brytanii. Otóż, ponieważ żaden szanujący się polityk nie może dziś wygłosić przemówienia bez poruszenia sytuacji w Polsce, Benin też, jak się to mówi, „nawiązał”. Powiedział mianowicie, iż tak jak naród polski mężnie przeciwstawia się sowieckim presjom, tak naród brytyjski powinien przeciwstawić się naciskom Stanów Zjednoczonych.

Mniejsza o cynizm polityczny. Tak zwany perfidny Albion nie do takich drobnostek nas przyzwyczaił. Chodzi natomiast o beczelność salonowego bolszewika, który między *drink'em*, *lunch'em* a *five o'clock tee* porównuje siebie do sytuacji ludzi

ryzykujących kilka razy dziennie — nie utratę spacerku po Hyde Parku — a po prostu życie. P. Benne tak mówi jakby po pacyfistycznej manifestacji nie wypoczywał w wytwornym klubie, a musiał stanąć na godziny w kolejce po ochłap mięsa, jeżeli już nie po chleb, jakby mu groził nie *weekend* w angielskim *country*, a gułag, i jakby to nie Krasnaja Armia manewrowała od roku wzdłuż granic Polski, a tylko USA Army szykowała się od miesięcy na zlikwidowanie siłą jego frakcji w coraz bardziej ogłupiałej i już rozbitej *Labour Party*.

To nie jest margines

To za sprawą p. Benna doszedłem do wniosku, iż warto sprawę pacyfistycznych marszów przyjrzeć się z bliska. W końcu, w mojej własnej Brukseli, gdzie tylko sport albo żądanie podwyżki płac mogą zgromadzić kilkadziesiąt tysięcy ludzi na ulicy, maszerowało, w fatalną pogodę, ponad 200.000 osób. W Bonn — gdzie w końcu nie wszyscy zapomnieli jeszcze rozmaitych partei-tagów i innych „spontanicznych” manifestacji mas — maszerowało i krzyczało ponad 300.000 osób.

Komite organizacyjny manifestacji bońskiej grupował 800 organizacji, „Kobiety skandynawskie dla pokoju” liczą 500.000 członkiń i zorganizowały marsz z Kopenhagi do... Paryża. „Międzykościelna Rada Protestancka” w Holandii zmobilizowała w wojnie z rakietami ponad 20.000 aktywistów, rząd holenderski, zanim jeszcze pokazał się w parlamencie, już upadł z powodu raketowego pospolitego ruszenia. W Belgii protestantów jest niewielu, ale Kościół katolicki nie był nieobecny. W marszu w Brukseli widać było sutanny i stroje zakonne, konferencja pastoralna biskupów belgijskich ogłosiła apel antyrakietowy.

W Bonn wśród manifestujących widać było mundury *Bundeswehry*. Trzech generałów stanęło przeciw amerykańskim rakietom. Generał *Bundeswehry* Bastian podał się do dymisji na znak protestu przeciw projektowi instalowania rakiet USA na terenie NRF, francuski admirał Sanguinetti kroczy na czele krucjaty pod hasłem „tylko USA mogą rozpętać wojnę atomową”, generał włoski Pasti, były wysoki dowódca Paktu Atlantyckiego, znany aktywista ruchu antyamerykańskiego, jest związany oficjalnie z Włoską Partią Komunistyczną i jego opinie bywały tak prosowieckie, że żenowały nawet... Berlinguera.

Tego typu ruch nie powinien i nie może być traktowany jako zjawisko marginesowe. W trakcie kampanii wyborczej w Belgii, żaden z kandydatów (oni znają swych wyborców), nawet nie poruszy spraw międzynarodowych. To nikogo tutaj nie obchodzi. Wyjątek stanowiła manifestacja pacyfistyczna. Grupa obywateli badana przez *Le Soir* wymieniła manifestację w Brukseli jako największe wydarzenie międzynarodowe, przed Polską, Afganistanem, czy nawet przysłowiowym Salwadorem.

Można ubolewać, że hasła są jednostronne, że nieśmiało żą-

dania likwidacji zagrożenia sowieckiego ginęły w powodzi hasel antyamerykańskich, że niektórzy mówcy mówili tak, jakby recytowali wczorajszą *Prawdę*, ale przecież ogromna większość manifestantów składała się z czytelników nie *Prawdy*, a *Le Monde'u*, *Soir'u* czy *Frankfurter Allgemeine* i *La Stampa*, ze słuchaczy nie warszawskiej telewizji, a BBC i ZDF.

Na czele manifestacji nie szli przywódcy komunistyczni czy agenci ZSSR. Tak było w Paryżu i tylko tam manifestacja skończyła się kląpą. W pierwszych szeregach parady pacyfistycznej w Bonn, Brukseli czy Rzymie kroczyli postawie socjaldemokratyczni, przedstawiciele partii rządzących w krajach należących do NATO.

I to jest właśnie problem. Dlaczego kiedy ekspansjonizm i imperializm ZSSR tak bardzo wzrósł, kiedy ZSSR jest w Afganistanie, Angoli czy Kambodży, kiedy rakiet amerykańskich jeszcze nie ma, a rakiety sowieckie już są, dlaczego to właśnie USA są celem ataku i symbolem zagrożenia, dlaczego Reagan był łącznym negatywnym bohaterem marszów w Brukseli, a nazwisko czy karykatura Breżniewa nie pokazały się ani razu?

Nie ulega kwestii, iż Moskwa stara się manipulować i wykorzystywać ruch pacyfistyczny dla swych własnych, nie pacyfistycznych celów, ale nie ulega też kwestii, że taka odpowiedź nie tłumaczy wszystkiego. Z bardzo wielu przyczyn. Oto niektóre z nich.

Miękka Europa

Po pierwsze, Europa zachodnia zmiękła. Dwa pokolenia zachodnich Europejczyków żyły w całkowitym pokoju, z czego pierwsze w warunkach ogromnego dobrobytu. Drugie pokolenie wie co to bezrobocie i kryzys, ale nikomu, albo prawie, nie prowadzi się gorzej, a wielu prowadzi się lepiej.

Poczucie, że pokój i dobrobyt Europa zawdzięcza istnieniu NATO i *credibility* jego wojskowej riposty, powoli zanikło. Poczucie bezpieczeństwa należy dziś do rzeczy zrozumiałych — i danych — samych przez się. Nastąpiła swoista „desensibilizacja” (nie mam polskiego odpowiednika) społeczna wobec spraw obroby, zanik zainteresowania, a w końcu zanik poczucia odpowiedzialności za własny los. Młodzie kojarzą dziś demokrację z kryzysem i bezrobociem, niewielu czyta gazety, jeszcze mniej interesuje się Wschodem, nie wierzą, że tej demokracji warto bronić, a nawet za nią płacić.

Jest to rdzewienie tym szybsze i tym bardziej zrozumiałe, że cywilna część NATO jest faktycznie zmonopolizowana przez rozleniwionych biurokratów, nie dbających w ogóle o tzw. *image* przymierza, niezdolnych do przekonania podatników — zwłaszcza młodych — o znaczeniu istnienia sojuszu. Od kilku lat, przy okazji tzw. kolokwiów, prowadzonych z udziałem agentów za-

borczego imperializmu, starałem się ich przekonać, iż NATO powinno mieć własną propagandę, umieć się sprzedawać, przekonać demokratycznych wyborców o własnej użyteczności. Lekceważono to, było to wszak w mniemaniu atlantokratów samo przez się zrozumiałe, najzupełniej niewątpliwe. Rezultat: badanie przeprowadzone przez *New Society* w 1980 roku wykazało, iż 52 % Brytyjczyków nie potrafi nawet rozwiązać inicjałów NATO i tylko 12 % wie co to jest *Cruise*.

Po drugie, gwałtowna dyskusja o broni atomowej, program zbrojeniowy Reagana, filmy, diagramy, polemiki techniczne i hermetyczne, ale przenoszone często przez cynicznych polityków na grunt wyborczy na poziom gminy, wywołały kolosalny strach przed atomem. Przejawia się on w opozycji wobec planów energii atomowej, ale przede wszystkim wobec broni nuklearnych. Hasło *better red than dead*, lepiej czerwony niż martwy, zrobiło zawrotną karierę. To jednak nie Moskwa przekonała francuskiego pisarza Herve Bazin do okrzyku „Najważniejsze żeby zostać przy życiu” i do wejścia w skład Światowej Rady Pokoju, o której zależności od Kremla Polakom nie trzeba przypominać.

Napoleon powiedział, że Niemcy są najbardziej pokojowym narodem na świecie. Ostatnie dwa wieki nieco osłabiły to przekonanie, ale teraz znowu Bonaparte miałby rację, przynajmniej w odniesieniu do zachodniej części Niemiec. Oczywiście, nie należy się dziwić, że Niemcy nie chcą wojny. Każda wojna toczyłaby się na ich terytorium, każda byłaby bratobójczą. Ale Niemcy, także młodzi, nie powinni zapominać, że mają wobec Europy pewne zobowiązania. Nie należy obarczać młodych Niemców winą za zbrodnie ich ojców, ale powinni oni przynajmniej tak postępować aby, po tym jak ojcowie wpakowali świat w dwie straszne wojny, teraz synowie nie pakowali Europy w nowe nieszczęście — uległość wobec ZSSR i to bez próby oporu nawet.

Nie mam pretensji, że Niemcy nie chcą umierać na wojnie, nikt tego nie chce. Pytanie jak chcą żyć? Na kolanach? Jakiego chcą pokoju, czy takiego jaki mają, mimo przegranej wojny, w Bonn, czy takiego jak w Kabulu, Pradze czy Berlinie Wschodnim?

Pan Eppler, poseł socjaldemokratyczny do Bundestagu, był minister w rządzie Brandta, kroczył w pierwszym szeregu manifestacji pacyfistycznej w Bonn i przemawiał na wiecu. „Nasz ruch pokoju — powiedział p. Eppler — ma na celu obronę interesów Niemiec. Nie chcemy umierać w obronie interesów amerykańskich”. Moi niemieccy koledzy powiedzieli wtedy, że Eppler nie reprezentuje nikogo, że ambicja go ogłupiała. Powiedziałem na to, że być może, ale że w pochodzie pacyfistycznym obok Epplera kroczyło jeszcze 5 posłów SPD-owskich wśród około 50.000 członków SPD. Czyżby wszyscy zgłupieli z ambicji?

Według badań przeprowadzonych przez *American Enterprise Institute* w 1981 roku, tylko 25 % zachodnich Niemców uważa,

że wolności należy bronić nawet za cenę wojny. 48 % mieszkańców NRF jest gotowych akceptować reżym komunistyczny jeżeli będzie to jedyny sposób uniknięcia wojny. 40 % przebadanych Francuzów woli neutralność od sojuszu Atlantycznego, co nie jest dziwne, jeżeli się zważy, że 63 % Francuzów pozostałoby na uboczu konfliktu między ZSSR i USA, przy czym tylko 22 % wypowiedziało się za bezwarunkowym w takiej sytuacji przemyśleniu z Amerykanami. Vichy — *connais pas!*

Badania opinii publicznej nie stanowią, jak wiadomo, ewangelii, nie należy do nich przywiązywać zbyt wielkiej wagi, ale manifestacje pacyfistyczne wykazały, iż wyniki tu przytoczone (są jeszcze inne, nie mniej wymowne), odpowiadają nastrojom mieszkańców zachodniej Europy.

Nic przecież bardziej przerażającego i zastanawiającego, niż 50.000 tłum wyjący antyamerykańskie hasła w cieniu berlińskiego muru. Ta zbiorowa amnezja ludzi mogących żyć i manifestować w wolności o kilka metrów od koszmarną granicę największego gułagu, to zbiorowe ogłupienie mieszkańców amputowanej części miasta, oddychającego wyłącznie dzięki pomocy narodu, którego prezydent wykrzyknął w obliczu takiego samego tłumy (ale wtedy wyjącego inne hasła) i w cieniu tego samego muru: „*Ich bin ein Berliner*”, jest najbardziej fascynującym świadectwem pomieszania pojęć w zachodniej Europie.

Po trzecie, kiedy rósł rozumiały strach przed wojną atomową, malał niemniej rozumiały strach przed Związkiem Sowieckim. Według cytowanych już wyżej badań, w marcu 1981 roku, a więc w ponad rok po inwazji na Afganistan, w okresie manewrów sowieckich mających rzucić Polaków na kolana, zdecydowana większość obywateli pięciu państw zachodnich, które wyraziły zgodę na zainstalowanie rakiet amerykańskich, „nie wierzyła aby Rosja zagrażała Zachodowi w ciągu najbliższych 5 lat”. Tylko jedna piąta Anglików, a mniej w innych państwach, wyraziła rzeczywiste zaniepokojenie możliwością sowieckiego ekspansjonizmu.

Pytanie było być może niezręcznie sformułowane, tzw. szary człowiek musiał odpowiedzieć przez „tak” czy „nie”, chociaż wolałby może wyrazić bardziej zniuansowaną opinię, ale na poziomie polityków trend kapitulacyjny ma już bardzo groźne konsekwencje. Najbardziej drastyczne jest tu stanowisko *Labour Party*, która opowiedziała się za zasadą jednostronnego rozbrojenia. Pan Harrington, wicemayor Londynu, znany z działalności „pokojowej” jeszcze z lat 50-tych, z czasów słynnego lorda Russella, oświadczył, że „nie uważa ZSSR za potencjalnego agresora”. Skoro tak, to nie ma nic dziwnego w stanowisku panów Foota i Benna. Ci przywódcy *Labour Party* — dzięki którym Wielka Brytania ma już dwie partie socjalistyczne — zachowują się tak, jakby nie wiedzieli, iż żadne państwo nie powinno bazować swego bezpieczeństwa na poglądzie, że jego przeciwnik wyznaje i szanuje takie same jak ono zasady moralne, tak jakby

nie wiedzieli, że rozbijając się jednostronnie nigdy jeszcze żadnemu państwu nie udało się narzucić pacyfizmu jego sąsiadom.

Panowie Foot i Benn oraz inni uważają, iż jednostronne rozbrojenie Wielkiej Brytanii da przykład innym państwom. Być może, że da, już dało przykład Belgii i Holandii, ale nie da przykładu Rosji. Po cóż by Moskwa miała się rozbrajać, kiedy robią to jej przeciwnicy, a o to przecież jej właśnie chodzi.

Gaffy ludzi prezydenta

Po czwarte, bardzo wiele elementów polityki amerykańskiej posiada aspekty co najmniej dwuznaczne. Nie da się ukryć faktu, że dostęp do guzika rakiet atomowych zainstalowanych na terytorium Europy posiadają wyłącznie Amerykanie. Europejczycy, którzy ponoszą ryzyko sowieckiego ataku przewencyjnego, czy odwetu z powodu odpalenia czy po prostu stacjonowania rakiet amerykańskich, nie mają faktycznie nic do powiedzenia w sprawie ich użycia. Brak współodpowiedzialności prowadzi do braku zainteresowania. I do nieodpowiedzialności.

Od dawna trwa dyskusja na temat tzw. podwójnego klucza, to znaczy zagwarantowania państwom zachodnioeuropejskim głosu w sprawie odpalenia rakiet, ale na razie drzwi do guzika są nadal otwarte tylko dla Amerykanów. Pewnie, trudno im się dziwić. Prowadzić narady z politykami Belgii czy Holandii w chwili gdy trzeba będzie podjąć decyzję o atomowym strzale, broń nas Boże od takiej chwili i od takich konsultacji.

Wyjście polegałoby oczywiście na utworzeniu Europy z własną europejską polityką zagraniczną i z własną europejską polityką obronną. Europa na razie nie ma czasu na takie głupstwa jak wypracowanie wspólnej obrony demokracji, zajęta jest bowiem bratobójczą wojną o wino, pietruszkę i wieprzowinę. I to ma porwać młodzież?...

Dzisiejsza zachodnia Europa stanowi konglomerat małych duperelowatych nacjonalizmów, skutych ponadto kajdankami interesów już nie nawet krajowych, co gminnych. Kiedy trzeba się z tego jakoś wytłumaczyć, wtedy politycy, którzy nie chcą umierać za interesy amerykańskie, a tylko robić swoje własne interesy, uśmiechają się dwuznacznie i wyciągają swoją dwururkę.

Pierwsza lufa wskazuje na Francję, która nie należy do woj-skowej struktury NATO. Zapominają oni tylko, co taka swoboda kosztowała i kosztuje, jaki jest budżet wojskowy Francji.

Z drugiej lufy wypęta nieufność do Ameryki, nieraz zresztą podsycana przez samych Amerykanów. Reagan nie należy do bardzo wielkich mężów stanu, robi gaffy jak normalny człowiek. Tak było kiedy lekkomyślnie wspominał o możliwości konfliktu nuklearnego na terenie Europy bez objęcia nim Stanów Zjednoczonych. Jest to oczywiście bzdura, każdy atak na zachodnią

Europę, gdzie stacjonuje 400.000 żołnierzy amerykańskich, stanowi atak na USA, tak zresztą jak o tym mówi układ NATO i wszystkie inne zobowiązania. Tak było także, kiedy Haig wspominał — zupełnie nie wiadomo po co — o możliwości atomowego „strzału ostrzegawczego” w wypadku groźby zmasowanego ataku konwencjonalnych wojsk ZSSR. Wypowiedzi Reagana i Haiga były niezręczne, niepotrzebne, nie wносиły niczego nowego do doktryny NATO, ale kiedy Waszyngton się zorientował, było już oczywiście za późno i gaffy poszły w świat. Reszta była dziecinnie prosta, propaganda pacyfistyczna szalała przez kilka dni, Reagan i jego lokalna wojna, Haig i jego ostrzegawczy „strzał”, nie schodziły tygodniami z pierwszych stron gazet. Na dodatek, niezręczne i nieudolne *dementi* amerykańskie pomogły w hecowaniu tłumów. Lokalna wojna Reagana i „strzał” Haiga, tak jak „żuk colorado” w latach 50-tych, płaczą się we wstępnikach i wieczowych przemówieniach.

Gaffy amerykańskie zdarzają się ponadto w najgorszych momentach. Ślepy strzał Haiga, *dementi* Weinbergera, kłótnia z Allenem, itd. nastąpiły w chwili, kiedy wydawało się, że dwie afery (łodzi podwodnej w Szwecji i rubli na działalność pokojową w Danii — za chwilę do nich wrócimy), ujawniają kulisy *love story* między Moskwą a pokojem i rozbrojeniem. Niezdar na i bezsensowna gadanina ludzi prezydenta w Waszyngtonie, zaślepionych sprawami wewnętrznymi Stanów i rozróbami w Białym Domu, zniweczyła w dużym stopniu demaskatorski efekt sowieckich wpadek.

Do tego dochodzi aspekt tzw. moralny, jeżeli słowo to ma jeszcze jakieś odniesienie do polityki międzynarodowej. Stany Zjednoczone potrafią lepiej niż tysiące pacyfistów naruszyć swój własny autorytet i zrelatywizować zaufanie świata. Np. poprzez regularne ujawnianie co kilka miesięcy maglowych sporów w łonie administracji, przede wszystkim między doradcą Reagana, Allenem a sekretarzem Stanu Haigiem. Jakaż może być *credibility* szefa dyplomacji amerykańskiej, jeżeli prezydent USA musi co jakiś czas ogłaszać, że ma do niego zaufanie i że pogłoski o maglu to zwykłe plotki.

Przed wszystkim jednak Amerykanie nie mogą się pozbyć stosowania podwójnej miary wobec tego samego zjawiska, w USA i za granicą. Reagan zniósł — jak pamiętamy — embargo zbożowe nałożone przez Cartera na Rosję za karę po Afganistanie, albowiem wymagał tego interes farmerów z Arizony czy Nebrascy, a potem — bezskutecznie naturalnie — domagał się w imię wielkiej strategii odrzucenia przez Europę propozycji zakupu syberyjskiego gazu. Teraz, jeszcze gorzej. Od małych czy średnich narodów zachodniej Europy Reagan domaga się ponoszenia ryzyka związanego ze stacjonowaniem rakiet bez prawa współdecyzji, ale sam nie był w stanie przekonać mieszkańców znacznie słabiej zaludnionych stanów Utah czy Montana, pozabawionych Wenecji czy Bruges, bez większych zabytków kultury i historii, aby zgodzili się ukryć u siebie balistyczne rakiety MX.

Pinochet czy Bonaparte

I tu dochodzimy do części artystycznej, to znaczy do interesu Związku Sowieckiego. Jest to interes oczywisty i zrozumiały. Moskwa to rozumie i gra jak Sarasate.

Po pierwsze, na Zachodzie strach przed atomem jest tak wielki, iż nikt nie pamięta już o Afganistanie. Chwileczkę, nie tylko o Afganistanie. Tylko 10 % zapytanych zachodnio-europejczyków było zdania, iż inwazja Polski powinna stanowić przeszkodę w negocjowaniu z Moskwą porozumień ograniczających pułap atomowy w Europie. Sowiecka gra na psychologii odniosła więc już w Europie kolosalne sukcesy, ale naprawdę jest to tylko środek do celu.

Albowiem, po drugie, celem całej strategii sowieckiej jest utrzymanie generalnej przewagi wojskowej nad Zachodem. Jest to zagadnienie kompleksowe i skomplikowane, stanowi temat bardzo długich opracowań i narad wszystkich możliwych sztabów. Opcja wojskowa ZSSR wychodzi z zasadniczego założenia, że stosunki międzynarodowe polegają przede wszystkim na stosunku sił. Jeżeli tak, to przewaga wojskowa determinuje wszystkie inne przewagi. Z tego rodzą się bardzo poważne wnioski i bardzo poważne konsekwencje dla polityki ZSSR wobec całej reszty świata.

Fakty bowiem potwierdzają tę teorię. Jest to zresztą jedyna dziedzina, gdzie praktyka sowiecka jest zgodna z teorią. I jedyna dziedzina, gdzie ZSSR odniosła i odnosi zasadnicze sukcesy. Wojsko stanowi jedyną siłę nowoczesną i sprawnie (na pozór) funkcjonującą w ZSSR. Po bankructwie gospodarczym (43 miliony ton zboża ZSSR zakupi w USA w roku rolnym 1981-1982) i po krachu ideologicznym (np. Polska), wojsko stanowi jedyny bilet wizytowy ZSSR na świecie. Niektórzy badacze — np. Cornelius Castoriadis („Devant la guerre”, wyd. Fayard) — wyciągają z tego wniosek o tworzeniu się w ZSSR nowej kasty i ewolucji społeczeństwa sowieckiego w kierunku „stratokracji” (od *stratos*-wojsko), mającej zastąpić u władzy obecną biurokrację partyjną. Castoriadis wychodzi ze znaczenia jakie ma dziś ta część społeczeństwa sowieckiego, która pracuje dla przemysłu wojskowego i dla wojska.

Można się spierać o elementy tej analizy, ale nie ulega kwestii — choć trudno to udowodnić — że kasta wojskowa odgrywa zasadniczą rolę w przygotowywaniu, jeżeli nie wprost w decydowaniu o formach i treści nieuniknieniu bliskiej sukcesji na Kremlu.

Stąd także wcale nie uboczny aspekt przejścia przez generała Jaruzelskiego całej formalnej władzy w Polsce. Zgoda Kremla na ten swoisty polsko-czerwony bonapartyzm może właśnie wynikać z zainteresowania skutkami, politycznymi i psychologicznymi, takiej operacji w warunkach totalno-komunistycznej struk-

tury państwowej. Bonaparte czy Pinochet na Kremlu, może to w Polsce właśnie (po raz nie wiadomo który) odbywa się próba generalna...

Pięć minut czasu...

Reperkusje „stratokratycznego” wyboru są znacznie poważniejsze w dziedzinie polityki międzynarodowej. Podczas gdy USA poczynawszy od lat sześćdziesiątych zaczęły redukować ich program wojskowy, a zwłaszcza nuklearny, ZSSR wstrząśnięty między innymi porażką w kryzysie kubańskim, nadał swemu programowi wojskowemu a zwłaszcza nuklearnemu ogromne przyspieszenie. W ciągu lat 70-tych budżet wojskowy USA zmalał z 9 % PNB (produkt narodowy brutto) do 5 %, a budżet wojskowy ZSSR się podwoił. Podczas gdy USA sparaliżowane były syndromem powietnamskim, ZSSR wydawał trzy razy więcej od Stanów Zjednoczonych na zbrojenia, przesunął granice imperium aż po Angole, Etiopię i w końcu Afganistan, zbudował armię konwencjonalną (absurdalne słowo w kontekście kolosalnej potęgi sowieckiej), której Europa nie mogłaby „w razie co” niczego podobnego w tej samej kategorii przeciwstawić.

Poczynawszy od roku 1977, Moskwa przystępuje do najpoważniejszej fazy operacji: instalowania takiego systemu rakietowego, który by przekształcił mieszkańców Europy w zakładników, umożliwił szantaż wojskowy, a co za tym idzie polityczny. To jest właśnie tajemnica rakiet SS XX. W ciągu czterech lat pojawiło się ich u zachodnich brzegów ZSSR około 250 (nie mówiąc o Chinach), każda o trzech głowicach atomowych, kilkanaście razy potężniejszych od bomby z Hiroszimy. Do tego dochodzą powoli instalowane rakiety SS XXI, XXII i XXIII. Mniejsza o detale. Stosunek sił dziś w Europie ma się jak 4 do 1 na korzyść ZSSR.

W 1970 roku prezydent Pompidou zwiedzał bazę kosmonautów w Baikonurze. W pewnym momencie Breżniew zaproponował mu aby nacisnął mały guzik. Po 5 minutach Breżniew powiedział: „Gdyby nie nasze urządzenia kontrolne, to w tej chwili Paryż zniknąłby z powierzchni ziemi”.

Od tej chwili wiele się zmieniło i czas przelotu rakiety się skrócił, a Europa ciągle nie ma na to riposty.

Z tej sytuacji zrodziła się decyzja NATO z grudnia 1979. Zakładała ona podwójne podejście do problemu. Z jednej strony przewidywała zainstalowanie poczynawszy od roku 1983 na terenie 5 państw: NRF, Włoch, Anglii, Belgii i Holandii 108 rakiet typu Pershing i 464 typu Cruise, stanowiących w przybliżeniu równowagę dla systemu SS XX, mogących razić terytorium ZSSR w takim mniej więcej stopniu i tempie, co sowieckie rakiety w stosunku do terytorium zachodniej Europy. Z drugiej strony, wrażliwe na opinię publiczną, zaniepokojoną atomem i osłabioną kryzysem gospodarczym, rządy NATO proponowały sowietom

otwarcie negocjacji na temat redukcji, a nawet likwidacji arsenałów atomowych na tzw. teatrze europejskim.

Moskwa natychmiast otworzyła ogień zaporowy. Jej punkt widzenia sprowadzał się do twierdzenia, że eurorakiety amerykańskie zachwieją równowagą wojskową w Europie, którą zainstalowanie SS XX pozwoliło jej uzyskać. Inaczej mówiąc pojawienie się rakiet amerykańskich w państwach Europy zachodniej zwińnęłoby równowagę i spowodowałoby nowy wyścig zbrojeń. To po pierwsze. A po drugie zamieniłoby kraje stacjonujące rakiety w cel sowieckiej riposty.

Kiedy ponadto prezydent Reagan ogłosił swój program zbrojeń mający doprowadzić do zmniejszenia, a potem likwidacji wojskowej przewagi ZSSR, w Moskwie zawrzało. Cała strategia Moskwy polegająca na hipotezie, że można wygrać w Europie wojnę bez wojny i walki, że można szantażem SS XX doprowadzić do kapitulacji i finlandyzacji (to pojęcie wyrządza szkodę Finlandii, która się przynajmniej biła, ale innego nie ma) Europy zachodniej, że można w każdym razie tak zneutralizować Europę zachodnią, żeby przestała się liczyć na scenie teatru wojennego oraz izolować USA, ta cała strategia zaczęła się sypać. Aby powstrzymać ten proces, Moskwa ma do wyboru, nie licząc nuklearnego ataku prewencyjnego — to znaczy wojny światowej — dwie drogi, oddzielnie ale raczej razem.

Po pierwsze, może podjąć wyścig zbrojeń. Senator Church, przewodniczący komisji spraw zagranicznych, którego widziałem w jego drodze powrotnej z Moskwy, powiedział Breżniewowi, a było to tuż po wyborze Reagana, że „tego wyścigu wy nigdy nie wygracie”. Rosjanie są chyba o tym przekonani. 5-letni program unowocześnienia amerykańskiego arsenału nuklearnego będzie kosztować 200 miliardów dolarów, czyli 10 razy cały francuski, stosunkowo duży, budżet wojskowy na rok 1981. Nowy bombowiec B-1 kosztuje 200 milionów dolarów sztuka. Na „Cruise” Rosjanie jeszcze nie mają obrony.

To nie są orzeszki. Rosyjska ofiarność i zdolność wyrzeczeń też gdzieś mają granice. Zwłaszcza, że obiecana poprawa stopy życiowej jest ciągle na horyzoncie, daleka i nieuchwytna. Rosja prowadzi kolosalny program zbrojeń, ma największe zakłady produkcji czołgów i samolotów, największe stocznie wojskowe itd. Ale ma też największe słabości technologiczne (patrz fiasko „Konkordzkiego”), elektroniczne, komputerowe itd. I musi karmić Kube, Afganistan, Wietnam itd.

Śladem żuka Colorado

Stąd druga droga do ratowania *status quo* czyli przewagi, a mianowicie podsyćcie na Zachodzie nastrojów rezygnacji, fatalizmu („po co się zbroić — powiedzieli mi w Kopenhadze — i tak nas zajmą w 24 godzin”), a przede wszystkim pacyfizmu,

mającego zablokować wykonanie decyzji z grudnia 1979, to znaczy uniemożliwić zainstalowanie Pershingów i Cruise.

Decyzja podjęcia „ofensywy pokoju” jest o tyle bardziej uzasadniona, że raz się już pięknie udało. W 1977 roku Moskwa potrafiła przy — trzeba to powiedzieć — owocnej współpracy prezydenta Cartera, zablokować produkcję bomby neutronowej i to przy użyciu absurdałnego hasła o nieludzkiej, kapitalistycznej broni niszczącej ludzi, ale nie dobra materialne, tak jakby inne bomby, te np. z Afganistanu, były komunistyczne czyli ludzkie. Co prawda Cartera już nie ma, a jest mniej uczuciowy Reagan, ale za to sytuacja socjalna w Europie jest znacznie gorsza, politycy bardziej wrażliwi, pacyfizm bardziej w modzie.

Otóż, bez manicheizmu, trzeba stwierdzić, że stanowisko Moskwy wobec ruchu pacyfistycznego nie wynika z ewangelii i angelologii, a z przekonania o tym, iż ruch ten dobrze służy, obiektywnie czy subiektywnie, interesom ZSSR. Pomińmy tu kampanie o apel sztokholmski, czy wspomnianego już „żuka Colorado”, pomińmy także te wszystkie tanie i tradycyjne już zagrania, jak np. akcja cerkwi prawosławnej w urabianiu zachodnich środowisk kościelnych, jak udział „uczonych”, np. psychiatrów sowieckich w naradach na temat „rola nauki w obronie pokoju”. Przejdźmy do fazy aktualnej.

Kampania pacyfistyczna nabrała bardzo swobodnego i nieprzypadkowego przyspieszenia w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Za pismem codziennym *Times*, podam październikowy jedynie kalendarzyk zajęć niektórych instytucji, które cały swój czas poświęciły ostatnio zwalczaniu rakiet amerykańskich: Światowa Rada Pokoju — na Węgrzech, Światowa Federacja Kobiet — w Pradze, Światowa Federacja Związków Zawodowych — w Bukareszcie, Światowa Organizacja Dziennikarzy — w Moskwie, zachodni aktywiści ruchu pokoju — w Koszycach w Czechosłowacji. Wszystkie te zebrania kończyły się apelami do opinii światowej miłującej pokój o banicję amerykańskich rakiet z Europy, żaden z apeli nie wzywał jednak do pacyfistycznej manifestacji na Placu Czerwonym, żaden nie wspominał o tym, że Pershingi mają nadejść (if any) w 1983 roku, ale że SS XX są już na wyrzutniach.

W tych warunkach można ale nie należy się dziwić, że dali się na to nabrać naiwni działacze rozmaitych kościołów, że maszerują matki i dzieci, ojcowie i synowie. Nikt nie zapytał „a co tam panie w Kabulu”, nikt — choć sobie wszyscy teraz wycierają usta Wałęsą — nie zapytał, dlaczego armia czerwona nie schodzi z granic Polski i dlaczego Kreml bez przerwy straszy Polaków. Nikt nie zastanowił się nad tym jak się to dzieje, że podczas gdy zachodni Niemcy żyją od 20 lat z 7.000 rakiet amerykańskich na ich terytorium, co ich obroniło przed losem braci z NRD, to nagle 108 Pershingów jeszcze nie istniejących, już im spędza sen z oczu i każe wołać *Amerika raus*.

Bywało, iż w chwilach ciężkich kiedy żadną miarą, choć się bardzo staram, nie potrafię moim słuchaczom lub czytelnikom

wytłumaczyć co to gułag i nie potrafię im wytłumaczyć, że należy się starać go uniknąć, nachodziła mnie straszna myśl o tym, że byłoby jednak dobrze gdyby Europa zachodnia została na trzy miesiące okupowana przez armię czerwoną. Na szczęście była to zmara, bo kto widział czerwoną okupację tylko przez trzy miesiące? Teraz mam nawrót koszmarów. Kiedy patrzyłem na przemawiającego Epplera, a przede wszystkim na manifestację pod murem, wymarzyłem sobie (tfu, precz maro) że jakiś prezydent amerykański wykrzyknął „Ich bin kein Berliner”...

Na zwierzęcym folwarku

Jak to jest możliwe? Jest to rezultat wielu czynników, składa się nań i wyrachowanie Rosjan i naiwność Amerykanów, depolityzacja Zachodu, bezsilność Wschodu. Nie chciałem w tym poważnym felietonie mówić o nadużyciach czy wprost kantach i przekupstwie tzw. „działaczy”, ani o podróżach do ZSSR na koszt „gospodarzy”, o trybunałach pokoju ferujących wyroki (nigdy przeciw ZSSR) w luksusowych miejscowościach turystycznych (za czyje pieniądze?), o roli zachodnich partii komunistycznych — np. francuskiej. Partia ta jest, jak wiadomo, w rządzie prezydenta Mitteranda, stojącego na stanowisku, że Pershingi są niezbędne dla przywrócenia równowagi strategicznej w Europie, sama jednak zwalcza projekt NATO, nie kryjąc swego poparcia dla celów strategicznych ZSSR.

Nie mogę jednak przemilczeć sposobu w jaki się psuje królestwo duńskie. W listopadzie, tuż po fali spontanicznych manifestacji pokojowych, wydany został dyskretnie ale stanowczo z Kopenhagi sekretarz ambasady ZSSR, p. Merkułow. Nie jest to sensacja, codziennie jakiś dyplomata lub dziennikarz sowiecki zostaje skądś tam wydany. Tym razem jednak powód jest oryginalny.

Pan Merkułow finansował mianowicie duńską działalność na rzecz pokoju. Pisarz duński p. Petersen oraz jego żona artystka-ceramik, brali po prostu ruble w dewizach za inspirowanie, organizowanie i firmowanie ruchu pokoju, manifestacji antyrakietowych itd. Nie wiadomo dlaczego policja duńska wkroczyła akurat w ów listopadowy dzień, skoro — jak sama podała — panowie Petersen i Merkułow spotykali się dokładnie 23 razy w ciągu półtora roku. Niektórzy obserwatorzy twierdzą, że policja nie zdzierżyła, kiedy spółka Merkułow-Petersen zorganizowała manifestację na rzecz bezatomowej strefy w Skandynawii w chwili kiedy „*Whiskey on the rocks*”, czyli sowiecka łódź podwodna z bronią atomową na pokładzie naruszała granice neutralnego i bezatomowego sąsiada, pchając się w najbardziej tajne koryto neutralnej bazy wojskowej na styku Szwecji z Bałtykiem, tym — jak proponuje Moskwa — morzu pokojowi.

Sztokholm przekonał się wtedy o trzech rzeczach. Po pierwsze, że mimo zapewnień o szacunku dla pacyfistycznego neutra-

lizmu, Moskwa gwałci bez wahania tę neutralność, kiedy jej interes tego wymaga. Po drugie, że neutralny, najbardziej nowoczesny i suwerenny system obronny Szwecji jest do kitu, bo Łódź która teoretycznie powinna była zostać wielokrotnie zniszczona zanim dotarła w samo serce systemu obronnego floty szwedzkiej, została przypadkowo — tylko dzięki temu, że wpadła na mieliznę — odkryta przez skromnego rybaka, który szukał nie „Whiskey 137” a po prostu śledzi. I w końcu, że gdyby nie inni „rybacy” i inny parasol, to szwedzka neutralność nie uchroniłaby Szwecji od absolutnie niczego.

Ponieważ mowa o rybach, to pozostawmy na zwierzęcym folwarku. W 1948 roku jeden z największych malarzy i największych wówczas poputczyków namalował pięknego gołębia, afisz Kongresu Pokoju we Wrocławiu — symbol do dziś — choć Picasso zmienił już dawno zdanie — światowego ruchu pokoju.

Gdyby Picasso dziś żył i miał namalować nowy afisz, to nie figurowałby na nim gołąb, a prawdopodobnie baran...

BRUKSELCZYK

Pisane 10 listopada 1981

Korespondencja z Rzymu

WSZYSTKIE POLSKIE DROGI PROWADZĄ DO RZYMU

Na początku listopada br. nałożyły się w czasie dwie polskie imprezy. Tą zbieżność, której przecież można było uniknąć, spowodowała nie tylko trudności organizacyjne. Środki masowego przekazu nie mogły nadać równocześnie stosownego rozgłosu tej polskiej, pokojowej inwazji. Pierwsza impreza: „Kolo-kwium międzynarodowe o wspólnych chrześcijańskich korzeniach narodów Europy”, patronowane przez Papieski Uniwersytet Laterański i KUL (na 200 z górą uczestników — połowa Polacy z różnych ośrodków uniwersyteckich). Druga — uroczyste przekazanie Papieżowi Domu Polskiego, ufundowanego przez Polonię światową (24 komitetów krajowych zbiórki — 75 % funduszy zebranych w USA).

„Kolo-kwium” czyli sympozjum — zbiorowa refleksja nawiązująca bezpośrednio do apelu Papieża z Gniezna (3 czerwca 1979) o dowartościowanie wkładu „zapomnianych ludów słowiańskich” do kultury chrześcijańskiej — było na pewno dobrym pomysłem. Udział polskich uczonych był jednak rozdęty na niekorzyść in-

nych krajów Wschodniej Europy. Co prawda uczeni z Pragi, Bukaresztu, Budapesztu i Sofii nie odpowiedzieli na zaproszenie, bądź też nie otrzymali paszportu. Wypełnili tę lukę emigranci, którzy zapuścili korzenie na Zachodzie: Czesi — 10, Słowacy — 14, Litwini — 2, Rosjanie — 8, Ukraińcy — 4. Strona zachodnia była bardzo słabo reprezentowana i wyłącznie przez katolickich, głównie włoskich i francuskich uczonych. Zabrakło Niemców. Skończyło się na monologu w polskim gronie. Zwrócił na to uwagę prof. Kłoczowski:

„To sympozjum międzynarodowe nabrałoby całkiem innego wymiaru gdyby w nim wzięli udział uczeni marksistowscy włoscy, francuscy i hiszpańscy, którzy dali wielki wkład do dialogu pomiędzy chrześcijanami i socjalistami w Europie. Ich wystąpienia miałyby duże znaczenie w chwili jaką przeżywamy” (*Unità* z 9 listopada 1981).

Na okrasę zaproszono Rogera Garaudy, pogrobowca marksizmu (zamiast Leszka Kołakowskiego, który niestety nie mógł przyjechać), obracającego się wciąż w klatce ideologicznej, mimo usiłowań zrewidowania eurocentrycznej formy dialogu pomiędzy chrześcijaństwem i marksizmem (przy pomocy Konfucjusza!) Wszyscy oczekiwali w podnieceniu na „pojedynek” Kołakowskiego z ks. Tischnerem, który, wobec innego rozmówcy, zastosował unik. Zamiast replikować na „wyzwanie” Garaudy’ego, zajął się „polskim kryzysem pracy”. Temat niewątpliwie frapujący. We wprowadzeniu do prelekcji tak m.in. uzasadnia ten wybór:

„Na polski kryzys pracy można patrzeć tak, jak na wypadek drogowy: kierowca nie uważał, więc ma za swoje, ale polski kryzys nie jest wypadkiem drogowym. Polska jest dziś jak książka pisana szyfrem: kto potrafi postawić jej rozumne pytanie (odwołał się przedtem do Hegla — uwaga moja), temu także rozumnie odpowie. Na dzisiejszą sytuację Polski nakłada się zarówno tysiącletnia historia chrześcijaństwa, jak i najnowsza historia faszyzmu, historia wojny i historia marksizmu. Trochę za dużo jak na jeden raz. W Polsce ukazuje się, jak w zwierciadle, wielkość i nędza Europy. Sprawa sytuacji pracy w Polsce daje do myślenia... Ekonomia to ostatecznie także część kultury... Dla ludzi Europy wschodniej prawdziwy koniec wielkiej wojny jeszcze nie nastąpił. Fakt ten ma sens nie tylko polityczny, lecz również kulturowy, a nawet etyczny”.

Na swoją obronę, takiego a nie innego ustawienia sympozjum i składu uczestników, włoscy organizatorzy (ks. Biffi, rektor Uniwersytetu Laterańskiego i dynamiczny ks. Levi, wicedyr. *L'Osservatore Romano*) wytoczyli m.in. argument, że jest to pierwsze tego rodzaju przedsięwzięcie w dziejach papieżstwa. Rzeczywiście fakt bez precedensu. Chodziło o usunięcie nagromadzonego osadu i nieporozumień, o próbę przewyciężenia podziałów także religijnych, nie tylko politycznych, o przygotowanie terenu dla nowej fazy w stosunkach Wschód-Zachód. I stąd w tym spotkaniu — stanowiącym jedynie pierwszy krok na drodze do jedności Europy — świadomie wyznaczony, przegnatiający głos Polski jako kraju, gdzie „istnieje jedyny wolny uniwersytet ka-

tolicki od Łaby do Pacyfiku", kraju, gdzie dokonuje się „eksperyment” doniosły nie tylko dla obszaru Europy wschodniej, ale i dla całego świata.

Nie sposób przebrnąć w krótkim sprawozdaniu przez zwały tekstów: 17 referatów na plenum i ponad 200 „komunikacji” w ramach 12 *carrefours*, grup roboczych. Tylko słabe echa niektórych referatów przedostały się na łamy prasy. Najwięcej miejsca poświęcono wystąpieniom profesorów Gieysztor, Kłoczowskiego i Kieniewicz. Niestety wcale nie znalazł rezonansu znakomity tekst biskupa Ignacego Tokarczuka, odczytany przez jego bliskiego współpracownika ks. A. Kustrę. Znakomite były wystąpienia Słowaków, prof. Jaroslava Pelikana z Uniwersytetu Yale w USA i prof. M. Novaka „O perspektywach europejskiej akcji kulturalnej na rzecz jedności w pluralizmie” oraz ks. prof. Karela Skalicky'ego, Czecha z Uniwersytetu Laterańskiego. W diagnozie obecnego „kryzysu świadomości europejskiej” (tytuł referatu), Skalicky widzi konkretną możliwość wyjścia poprzez analizę znaczenia tego co dzieje się w Polsce, a co może nadać rozmach procesowi integracji europejskiej. Mówiąc w wydźwięku o zjawisku polskim, stwierdza, że po klęsce wszelkich prób zreformowania komunizmu „od góry” czyli „poprzez inspirację rewizjonizmu marksistowskiego”, jedyna droga prowadzi poprzez ruch oddolny, masowy. Skalicky twierdzi, że ostatnie procesy przeciwko katolickim działaczom w Czechosłowacji, reakcje oskarżonych i echa w kraju świadczą o tym, że tylko inspiracja moralna i religijna może — za przykładem polskim — odblokować sytuację.

Nieżył był udział Rosjan: Andronikov, Siniawskij, Vagin, Sołżenicyn nadesłał telegram*, a w przemówieniu na audyencji dla uczestników sympozjum Jan Paweł II wymienił Sołowiewa obok Pascala, Newmana i Norwida, którzy zrozumieli, że „należy dać człowiekowi poczucie znaczenia i kierunku jego egzystencji. Europa potrzebuje Chrystusa, jego posłania miłości i przebaczenia”. Papież uznał, że sympozjum rzymskie mające „program i walor naukowy” nie może pozostać na płaszczyźnie czysto akademickiej. Należy poszukiwać także duchowych podstaw Europy w celu znalezienia platformy spotkania pomiędzy różnymi napięciami i nurtami myśli po to by uniknąć dalszych tragedii. W zakończeniu Papież przytoczył słowa „wielkiego Słowianina

* Im dalej kroczyliśmy po mrocznym wąwozie dwudziestego wieku a szczególności dziesięcioleci odchodzą w dal, tym wyraźniej widzimy, że losy świata w minionych trzech stuleciach są częścią jednego groźnego procesu, utraty Boga przez ludzi. Nie rozpraszając uwagi na pojedyncze polityczne szczególności dnia dzisiejszego i poszczególne kraje, widzimy już tuż koło nas przepaść, w którą może bezpowrotnie runąć cała cywilizacja chrześcijańska. Nam, którzy to rozumiemy, pozostaje szukać naszych ostatnich możliwości i zjednoczyć wysiłki: głośno mówić o niebezpieczeństwie i wyzywać do zapobiegania mu.

Aleksander SOŁŻENICYN

Vermont, 27 października 1981

Fiodora Dostojewskiego, który zmarł 100 lat temu w Petersburgu”. Oto słowa Dostojewskiego z „Biesów” zacytowane przez Papieża: „Sama nauka nie zaspokoi nigdy wszelkich ideałów i pokoju człowieka. Źródło życia i wybawienia z beznadziejności dla wszystkich ludzi, warunek *sine qua non* i gwarancja dla całego świata, zamykają się w słowach: *Il verbo si è fatto carne* (Słowo stało się ciałem)”.

Do międzynarodowego sympozjum, jak również do ostatnio poświęconej w grotach Bazyliki Watykańskiej nowej kaplicy patronów Europy, świętych Benedykta, Cyryla i Metodego, Jan Paweł II nawiązał bezpośrednio nazajutrz, tzn. 7 listopada, w czasie audyencji dla Polonii Światowej. Odpowiadając na powitalne przemówienie kongresmana Klementa Zabłockiego, Papież powiedział, że oba te fakty:

„... mają za zadanie bardziej wszechstronne spojrzenie na te wartości, jakie współtworzyły i współtworzą Europę, jej kulturę, jej duchowy profil oraz wydobycie wkładu wnoszonego przez wielkie, szlachetne narody słowiańskie. To także powinno rzucić światło na to, czym ma być ów Dom, jaki w dniu dzisiejszym mi ofiarujecie — i co w nim ma się dokonywać. Niechże tedy Ośrodek, który za łaską Bożą inaugurujemy, odczytuje z całym realizmem w kontekście historii i naszych czasów wszystkie znaki, w których wyrażają się potrzeby Kościoła i chrześcijaństwa w Polsce, *potrzeby polskiej kultury oraz oczekiwania innych... Niech wychodzi naprzeciw wszystkim kulturom innych narodów, które służą człowiekowi i pomagają mu określić jego właściwe miejsce we własnym narodzie i świecie*”.

Papież podziękował fundatorom Domu, kierując słowa uznania pod adresem Kardynała Jana Króla oraz Klementa Zabłockiego, „którzy w dzieło to zaangażowali swój autorytet i włożyli weń tyle serca i pracy”. Wymienił ponadto dwóch fundatorów, „którzy mają wielki udział”: Edward Piszka i Harry Johna.

W uroczystościach przekazania Papieżowi nowej polskiej placówki wzięli udział członkowie Rady Głównej Episkopatu z Prymasem, Arcybiskupem Józefem Glempem na czele, Kardynał W. Rubin, przewodniczący Rady Administracyjnej Domu oraz rektorzy polskich Misji Duszpasterskich z różnych krajów, kilkudziesięciu delegatów 24 komitetów zbiórki i kilkaset osób reprezentujących polonijne środowiska z całego świata. Prymas Polski, witając Papieża na audyencji, zaprosił go w imieniu Konferencji Episkopatu do Polski na uroczystości Jubileuszu Jasnogórskiego w sierpniu przyszłego roku. Papież na to publiczne, formalne zaproszenie, odpowiedział „w sposób jak najbardziej osobisty”, czując się „zaproszony od dawna”. Nie ulega wątpliwości, że sprawa ponownego przyjazdu Papieża do kraju była uzgadniana na najwyższym szczeblu w Warszawie.

Duże wrażenie na gościach ze skupisk Polonii wywarło wystąpienie Prymasa Polski na spotkaniu w Domu Polskim (po obiedzie dla około 250 osób i przed wizytą Papieża). Ks. Prymas, wyrażając uznanie i wdzięczność dla Polonii za jej pomoc dla kraju, wymieniał między innymi Ligę Katolicką od dawna czynną

w tej dziedzinie („dzięki niej mogłem kształcić się w Rzymie”). Poruszając „bolesną sprawę” nowej fali emigracji z kraju, „szukającej lepszego życia” (porównał ją do „odrzuconego kamienia” z Ewangelii), w której jest wielu ludzi wykształconych, podkreślił zadanie utrzymania jej więzów z krajem. Mówiąc o sytuacji w ojczyźnie i kryzysie gospodarczym, powiedział m.in.:

„Wiele rzeczy się łamie... ziemniaki gniją bo nie można ich parować z powodu przerw w prądzie, brakuje energii elektrycznej, bo brakuje węgla... Mięso idzie na czarny rynek, bo za pieniądze nie można dostać... Kościół nie może namawiać robotników by dali się wyzyskiwać... ludzie są zmęczeni... Jakkolwiek władza, choć niedołężna, lepsza taka niż chaos... Potrzeba szacunku wobec bliźniego (cytuje z notatek — D.M.). Kościół angażuje się ponieważ kryzys gospodarczy ma również charakter moralny. Kościół broni naród przed zniszczeniem”.

Po poświęceniu Domu Polskiego Papież krótko przemówił (zwrócił uwagę Jego dobry wygląd i nastrój), stwierdzając, że nie może nic na to poradzić, iż dom nazwano jego imieniem. Musi więc przyjąć dar w taki sposób, w jaki zostaje ofiarowany, choć „osobiście bardzo bym pragnął, ażeby nosił on imię na przykład błogosławionego Maksymiliana Kolbe albo imię Kardynała Stefana Wyszyńskiego”. Mówiąc jak sobie wyobraża funkcję tego domu, który ma służyć nie tylko pielgrzymowaniu w znaczeniu religijnym, oświadczył, że pragnie żeby służył także:

„...pielgrzymowaniu naszej kultury, żeby określał punkty jej wyjścia i dojścia, żeby wyznaczał wszystkie punkty jej spotkania z kulturami, tradycjami, z historiami, w obrębie jednej wielkiej kultury, tradycji, historii, która jest kulturą chrześcijańską, tradycją chrześcijańską, historią Kościoła, a także historią ludzkości. Temu ma w sposób szczególny służyć ten dom. Myślę, że określając w ten sposób jego celowość, odpowiadam życzeniu ofiarodawców”.

Jeszcze w czasie audycji, poruszając działalność nowego ośrodka kultury chrześcijańskiej, poszukującego „najwłaściwszej dla siebie drogi”, Jan Paweł II powiedział: „stoją przed nim szczególnie doniosłe i trudne, bo nowe zadania”.

Czy nowa placówka kulturalna sprostą powierzonym jej funkcjom? Niektórzy intelektualisci katoliccy nie ukrywali wątpliwości, a nawet obaw. Zobaczmy jak się sprawy rozwijają. Wielkie „święto wszystkich Polaków i wszystkich tych ludzi na całym świecie, którzy w jakiś sposób wywodzą swój rodowód znad Wisły” — jak się wyraził Papież — powinno spowodować radykalną zmianę psychologicznego klimatu przeżywania tego pontyfikatu i dotąd stosowanych metod, polegających niestety na niepokornym braku konsultacji i płytkim triumfalizmie. Tymczasem wielu delegatów Komitetów Zbiórki na Dom Polski oraz Rady Koordynacyjnej Polonii Świata (obradującej tu w dniach 9 i 10 listopada) domagało się energicznie założenia biblioteki i czytelnicy z wydawnictwami ukazującymi się na emigracji. Jeśli ten ośrodek ma rzeczywiście stać się miejscem przepływu

myśli chrześcijańskiej i wszelkich jej nurtów, to dalsze zwleknięcie z realizacją tego postulatu byłoby czymś zupełnie niezrozumiałym i pobudzającym do smętnych wniosków. Na razie, na uroczyste otwarcie Domu, urządzono wystawę fotograficzną — doskonale zresztą wykonaną — o podróżach apostołskich Papieża. Za tabliczką *Biblioteca*, pozostałą po dawnym właścicielu na drzwiach do obszernego pomieszczenia, wieje grobowa pustka.

Dominik MORAWSKI

Pisane 11 listopada 1981 r.

NEW BOOK IN ENGLISH

WHO'S WHO IN POLAND

Price US \$ 90.00.

For Further information write to:

Professional Translators and Publishers
2333 Dundas St. West, Suite 205
Toronto, Ont. M6R 3A6. Canada.

NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA NOWA

urządziła w Paryżu pierwszą wystawę wydawnictw niezależnych: NOWA, SOLIDARNOŚĆ, ABC, KOS, KRAK, która miała miejsce w dniach 21-26 listopada 1981 w KSIĘGARNI POLSKIEJ (123, Bd Saint-Germain, 75006 Paris)

a następnie w dniu 28 listopada 1981 została przeniesiona do BIBLIOTEKI POLSKIEJ (6, Quai d'Orléans, 75004 Paris), w której pozostanie na stałe.

Sprawy i troski

Czy powrót Polski do Bretton Woods?

W dniu 10 listopada rząd PRL w Warszawie złożył wniosek o przystąpienie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i do Banku Rekonstrukcji i Rozwoju, tzw. Banku Światowego. Ściśle mówiąc, chodzi nie o „przystąpienie”, ale o powrót Polski do tych zachodnich instytucji, utworzonych bezpośrednio po drugiej wojnie światowej, których założycielem był również ówczesny rząd emigracyjny w Londynie. Członkostwo w obu tych instytucjach PRL wymówiła 14 marca 1950 pod naciskiem Moskwy, w okresie tzw. „zimnej wojny”.

W dniu w którym piszę te słowa trudno jest jeszcze przewidzieć, czy i w jakiej formie członkostwo to będzie restytuowane i jakie wynikną z tego korzyści. Są jednak pewne szanse. Sprawa jest na pewno ważna. Wiąże się przede wszystkim z problematyką uregulowania zadłużenia PRL¹, ale ma również szerszy aspekt natury ogólnopolitycznej.

Sugestie włączenia się Polski do wspomnianych instytucji od dawna wyrażane były w polskiej prasie emigracyjnej², częściowo również w prasie krajowej. Również europejscy wierzyciele w dotychczasowych pertraktacjach o konsolidację długów stale naciskali w tym kierunku.

Instytucje Bretton Woods

W tym kontekście warto przypomnieć, co reprezentują te instytucje, jakie są ich zadania i działalność. Historia ich sięga do konferencji ekonomicznej z lipca 1944 roku w Bretton Woods,

New Hampshire, USA. Jeszcze przed zakończeniem wojny zachodni alianci próbowali ustalić zasady nowego porządku finansowo-gospodarczego w skali światowej i wytyczyć drogi i środki powojennej odbudowy. Po długich dyskusjach uznano konieczność częściowego odejścia od przedwojennego systemu i zaakceptowano w pewnym stopniu ideę kontroli wymiany walut i bilansów płatniczych. Układ w Bretton Woods był zasadniczo kompromisem między koncepcjami lansowanymi przez J. M. Keynesa, reprezentującego wówczas „British Treasury” i Mr. White'a z „American Treasury”³. Realnym rezultatem było utworzenie Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego.

Międzynarodowy Fundusz Walutowy (IMB — *International Monetary Fund*) powołany został do życia 27 grudnia 1945. Ma swoją siedzibę w Waszyngtonie i liczy około 100 państw-członków. Jego zadaniem, w bardzo ogólnym ujęciu, jest poparcie współpracy międzynarodowej na odcinku monetarnym i w handlu międzynarodowym oraz pomoc finansowa dla zachowania równowagi bilansów płatniczych krajów członkowskich.

Kraje przystępujące do Funduszu dokonywują wpłat częściowo w złocie, częściowo w walucie własnej (nie jestem pewien, czy ten przepis stale jeszcze obowiązuje). Wpłaty dają uprawnienie nie tylko do głosu, ale i do odpowiednich pożyczek z Funduszu. Państwo-członek otrzymać może pomoc kredytową w obcej walucie, płacąc walutą własną i zobowiązując się do odkupienia tej własnej waluty z reguły w ciągu 3-6 lat. Musi tak działać, aby w tym czasie osiągnąć równowagę bilansu płatniczego. Kredyty nie mogą być użyte na cele militarne, czy też na rzecz ekspansji gospodarczej. Członek otrzymujący pomoc zobowiązany jest dokładnie informować władze Funduszu o stanie gospodarki i bilansu płatniczego. Podlega więc dość rygorystycznej kontroli. W razie specyficznych trudności może korzystać z odpowiednich fachowych porad.

Międzynarodowy Bank Rekonstrukcji i Rozwoju (IBRD — *International Bank of Reconstruction and Development*), założony został też w grudniu 1945 roku dla dwóch celów: pomocy finansowej w odbudowie zniszczeń wojennych i pomocy dla krajów w rozwoju gospodarczym. Obok pomocy finansowej Bank prowadzi również dział porad gospodarczych i technicznych, szczególnie w zakresie planów długofalowych. Fundusze kredytowe pozyskiwane są od akcjonariuszy, głównie jednak pochodzą z emisji pożyczek w krajach zachodnich. Obligacje Banku, choć czasem mniej oprocentowane, są poszukiwanym papierem lokaty kapitałów.

Bank Światowy zdał dobrze swój egzamin. Odegrał i odgrywa nadal poważną rolę w pomocy finansowej, zwłaszcza dla krajów Trzeciego Świata. Międzynarodowy Fundusz Walutowy pod względem stabilizacji porządku monetarnego zawiódł pokła-

1. Patrz *Kultura* Nr 10 i 11/1981.

2. M.in. w doskonałym, rzeczowym artykule Zbigniewa M. Fallenbuchla, *Kultura* Nr 12/1980; również mój artykuł w londyńskim *Tygodniu Polskim* Nr 13 z 28. 3. 1981.

3. Alan Gilpin, *Dictionary of Economics Terms*, trzecie wydanie 1972.

dane w nim nadzieje. Zresztą nie z jego winy. Nie jest tu miejsce na odnośne rozważania. Nawiasowo niech mi wolno będzie tylko zaznaczyć, że nadzieje te zawiódł również utworzony w 34 lata później i wprowadzony w życie w dniu 13 marca 1979 Europejski System Walutowy (EMS) po eksperymencie „systemu węzowego”. Przypadająca w tym roku druga rocznica EMS przebiegła w ciszy, a dokonane ostatnio w ramach Europejskiej Wspólnoty *realignements*, dewaluacja liry włoskiej i franka francuskiego z załamaniem się i innych walut, przypieczętowały nieudolność i tego systemu. Jak długo na Zachodzie istnieć będzie rozdziewiek między polityką gospodarczą „monetarzystów” i „fiskalistów-keynesistów”, a na Wschodzie scentralizowana gospodarka planistyczna ignorująca rolę pieniądza — tak długo panować będzie w świecie bałagan monetarny z przykrymi dziś konsekwencjami kryzysu, zahamowania wzrostu gospodarczego na Zachodzie i Wschodzie i rosnącego jawnego lub utajonego bezrobocia.

Korzyści dla Polski

Aczkolwiek Międzynarodowy Fundusz Walutowy zawiódł oczekiwane nadzieje w sensie stabilizacji światowego porządku monetarnego, to jednak stale jest on jeszcze poważnym źródłem pomocy dla krajów w trudnościach płatniczych. W dniu zgłoszenia wniosku PRL o przystąpienie do Funduszu, zmanifestował on swą żywotność przyznaniem dużego kredytu Indiom w wysokości 5,8 mld dolarów, co stanowi 1/6 ogólnych płynnych środków Funduszu.

Powrót Polski do MFW, jeśli zostanie zaakceptowany, pozwoliłby — jak pisał Zbigniew M. Fallenbuchl w nr 12/1980 *Kultury* — uzyskać pożyczkę na dogodniejszych warunkach niż pożyczki ze źródeł prywatnych dla pokrycia obecnych trudności w bilansie płatniczym i przefinansowania zadłużenia, a członkostwo w Banku Światowym mogłoby otworzyć dostęp do nowych długoterminowych kredytów rozwojowych na korzystnych warunkach. Ułatwiłoby to niewątpliwie sfinalizowanie pertraktacji i konsolidację około 20 mld dolarów zachodnich długów PRL, państwowych i bankowych, z zapadłością w roku 1982 i w latach następnych. Około 6 mld długów z zapadłością w roku 1981 (w połowie państwowe i w połowie bankowe), uregulowano już w tegorocznych układach, o czym pisałem w poprzednich numerach *Kultury*.

Przynależność do Funduszu i Banku, dałaby i inne jeszcze korzyści. Kraje członkowskie mają dostęp do ekspertyz, które są stawiane do dyspozycji. Szczególnie ważne dla Polski — jak słusznie podkreśla Fallenbuchl — byłyby konsultacje w sprawie rynków zbytu, techniki handlowej jakiej należy używać na różnych rynkach i w ogóle pomocy w sprawie rozwijania eksportu na Zachód.

Perspektywy

Piszę w trybie warunkowym „mogłoby” i „ułatwiłoby”, gdyż sprawa przyjęcia PRL do obu instytucji Bretton Woods na pewno nastroży jeszcze wiele trudności. Suma wpłaty (z jakich fundusów?), kwota uprawnień do pożyczki, jej wysokość i oprocentowanie muszą być wynegocjowane, nie mówiąc już o przedłożeniu wymaganych dokładnych informacji i bilansów płatniczych, co jest „piętą achillesową” komunistycznej gospodarki.

Według Mariana Krzaka, ministra skarbu PRL, udział PRL w MFW przewidywany jest w wysokości 600 do 700 mld dolarów; 75 % tej kwoty ma być wpłacone w złotych. Przyjmując tę wpłatę jako podstawę do uprawnień kredytowych, maksymalny plafon możliwego kredytu — jak można przypuszczać — wyniesie około 3 mld dolarów. Polityka finansowa Funduszu przewiduje ten maksymalny plafon w wysokości 450 % uprawnień. Wspomniany kredyt dla Indii 5,8 mld. dol. wynosi 251 % uprawnień. Kredyt 2 do 3 mld. dol. pozwoliłby PRL na spłatę krótkoterminowych zobowiązań wobec Zachodu. Decyzja nie będzie łatwa, gdyż Międzynarodowy Fundusz Walutowy działa dziś pod naciskiem wielu państw potrzebujących pilnie pomocy.

Mimo tych trudności można żywić nadzieję, że wniosek PRL będzie pozytywnie załatwiony. Będzie on niewątpliwie poparty przez zachodnie kraje europejskie. Stanowisko Amerykanów nie jest jeszcze (przynajmniej do dnia w którym piszę te słowa) sprecyzowane. Administracja prezydenta Reagana zasadniczo przeciwna jest dziś udzielaniu kredytów ze źródeł publicznych krajom o niestabilizowanej gospodarce, a w szczególności krajom komunistycznym. Wolałaby rozwiązywać nagromadzone trudności w drodze układów z bankami i prywatnych inwestycji. Stany Zjednoczone wstrzymały się też od głosu przy decyzji kredytu dla Indii.

Kraje komunistyczne, z wyjątkiem Rumunii*, nie są członkami Funduszu i Banku Światowego. Olbrzymie zadłużenie na Zachodzie i niemożność uzyskania pomocy Związku Sowieckiego w twardej walucie, skłaniają i inne państwa do związania się z tymi instytucjami. Mechanizm Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej wyraźnie zawodzi. Chcąc nie chcąc, Sowiety muszą iść na koncesje i pogodzić się z wnioskiem polskim. Na 10 dni przed złożeniem tego wniosku przez PRL również Węgry zgłosiły swe przystąpienie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Świata. Węgierska Republika Ludowa jest niewątpliwie w znacznie lepszej sytuacji niż PRL; ma większe szanse, gdyż gospodarka funkcjonuje lepiej i kraj od dawna przygotowuje się do reformy walutowej i wymienialności forinta.

Z punktu widzenia narodu polskiego i sytuacji ludzi w kraju żałować należy, że wniosek PRL o przystąpienie do instytucji

* oraz Jugosławii i Chin.

Bretton Woods złożony został tak późno, w momencie, gdy na Zachodzie osłabło zaufanie do dyskutowanej od lat ale nie urzeczywistnionej reformy gospodarczej. Administracja warszawska ciągle była zastraszona groźbami Moskwy i nie mogła się zdobyć na śmiałe posunięcia.

Jeszcze w dniu 18 sierpnia tego roku Józef Czyrek, minister spraw zagranicznych PRL, w czasie wizyty w Bonn i rozmowy z Genscherem sceptycznie odnosił się do sugestii przystąpienia do Funduszu Walutowego. Mówił na konferencji prasowej, że Polska należy do innego systemu gospodarczego i systemu powiązań politycznych, stąd też członkostwo w zachodnich organizacjach jest trudne. Dziś Czyrek przemawia już innym językiem. W rozmowach w Wiedniu w dniu 10 listopada powiedział, że wnioski o przystąpienie do Międzynarodowego Funduszu Walutowego nie stoi w sprzeczności z polskimi zobowiązaniami wschodnioeuropejskimi. Partnerzy RWPG (Komekonu) zostali w tej sprawie poinformowani.

Wszystko to — trawestując niemieckie powiedzenie — nie robi jeszcze zupy tłustą. Podstawowym warunkiem poprawy sytuacji gospodarczej w kraju, pomyślnego rozwikłania problemu długów, a w tym kontekście również pozytywnego ustosunkowania się do wniosku przystąpienia do instytucji Bretton Woods, jest szybkie ustalenie natychmiastowych środków zaradczych i długofalowego, wiarygodnego planu reformy. Ważnym elementem tego programu jest konieczna zmiana systemu płac i cen, jako pierwszego szczebla do reformy monetarnej *stricto sensu* (ustalenie wewnętrznej i zewnętrznej wartości złotego polskiego). *Ceterum censeo*: bez tej reformy wszelkie plany przemian w strukturach organizacyjnych, tzw. „konwersja przemysłu”, samorząd przedsiębiorstw i inn słuszne postulaty, nie przyniosą pożądanego rezultatu wobec niemożności właściwego rachunku ekonomicznego, leżącego u podstawy wszelkiej racjonalnej gospodarki.

Zurych, 13 listopada 1981

Janusz RAKOWSKI

Akcja pomocy dla Polski (2)

STANY ZJEDNOCZONE

Pomoc rządowa

1980

1. 641 mln \$ kredytów Commodity Credit Corporation na zakup zboża, nawozów sztucznych itd.

2. Rozszerzenie uprawnień na połów ryb w wodach Alaski.

3. Odroczenie płatności długów.

Ogółem oficjalna pomoc USA dla Polski w postaci kredytów i dostaw żywności wyniosła w 1980 roku, według obliczeń Departamentu Stanu, 741 mln \$.

1981

1. 731 mln \$ nowych kredytów, a mianowicie:
 - a) 585 mln \$ na zakup żywności. Kredyt udzielony przez Commodity Credit Corporation.
 - b) 20 mln \$ Export Import Banku na zakup artykułów przemysłowych.
 - c) 71 mln \$ w postaci przetworów mlecznych sprzedanych Polsce za złotówki.
 - d) 55 mln \$ w postaci ziarna kukurydzianego.
2. Ponadto Stany Zjednoczone odroczyły o rok spłatę 86 mln \$ kredytu Commodity Credit Corporation, którego płatność przypadała w pierwszej połowie 1981 r. oraz spłatę 381 mln \$ długów (tę ostatnią odroczone w ramach multilateralnej umowy o odroczeniu terminów płatności długów polskich).
3. Ponadto rząd Stanów Zjednoczonych wyasygnował 25 mln \$ na artykuły dla dzieci, które zostaną rozdzielone przez CARE wśród 90.000 polskich dzieci.
4. Organizacji Catholic Relief zezwolono na zakup nadwyżek przetworów mlecznych po cenie 5 c za faktyczną wartość 1 \$.

Ogółem wartość pomocy Stanów Zjednoczonych dla Polski wyniosła w roku 1981, według danych z 20. 9. 1981, 1,2 mld \$.

W Waszyngtonie podpisany został 27. 10. 1981 kontrakt z amerykańskim Ministerstwem Rolnictwa USA na dostawę do Polski: 10.000 t masła, 10.000 t witaminizowanego mleka w proszku i 8.000 t żółtego sera, z przeznaczeniem dla placówek i zakładów dziecięcych znajdujących się w gestii polskiego Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Dostawy rozpoczną się na przełomie listopada i grudnia br. Wartość ich, ok. 29 mln \$, opłacona zostanie w złotówkach.

Pomoc Kongresu Polonii Amerykańskiej*

KPA zebrał w okresie od sierpnia do 11 września 1981 — 1.231.391,84 \$. W sumie tej zawarte jest 500.000 \$ zebranych podczas telewizyjnej akcji w Stanie Illinois. KPA spodziewa się z tej akcji dalszych 500.000 \$, co da sumę 1.731.391,84 \$.

W Buffalo N.Y. zebrano w czasie dwugodzinnej akcji telewizyjnej (objęła ona również Toronto) 205.000 \$. Po zakończeniu programu wpłynęło dalszych 110.000 \$.

W stanie Illinois czterogodzinny telewizyjny program pomocy dla Polski, obejmujący swym zasięgiem 44 stany, dał ponad 1.000.000 \$.

Dostawy żywności

Żywność przesyłana do Polski przez KPA adresowana jest na Episkopat polski.

* Dane z 20. 9. 1981, według Biuletynu KPA.

Dotychczas dostarczono:

	<i>ogólna waga</i>	<i>wartość</i>
3.000 paczek żywnościowych	30.000 funtów	37.740 \$
Hurtem do prywatnych instytucji (z Londynu)	35.708 funtów	15.000 \$
11.000 paczek po 23 funty każda, dostarczonych do Katowic przez CARE ..	253.000 funtów	100.000 \$

Towary gotowe do wysłania:

15.000 paczek żywnościowych po 14 funtów każda	210.000 funtów	168.400 \$
80.000 funtów czyli 38 ton żywności dostarczonej ciężarówkami z Londynu na ręce instytucji kierowanych przez Episkopat, w tym:		
— mleko w proszku dla niemowląt ..	4 t	
— cukier	8 t	
— ryż	8 t	
— olej słonecznikowy	8 t	
— margaryna	4 t	
— pożywki dla dzieci, zupy i cukierki		60.000 \$
Ogółem: 608,708 funtów żywności wartości 381.140 \$.		

Ponadto KPA zamierza nabyć wspólnie z Catholic Relief 2.200.000 funtów przetworów mlecznych po cenie ok. 5 c za funt za ogólną sumę 11.000 \$.

Z organizacją CARE KPA zawiera porozumienie dotyczące dostaw żywności za sumę 100.000 \$. Ponadto CARE ustaliła z Polską, że przez najbliższych 12 miesięcy będzie wysyłała do Polski po 50.000 paczek miesięcznie.

Ogółem KPA dostarczył do Polski do połowy października 1.381 ton żywności wartości 481.140,00 \$.

L e k a r s t w o

Na prośbę „Solidarności” KPA podjął się koordynacji działań Banku Leków dla Polski. Wszystkie przesyłane leki są własnością „Solidarności”, a rozdzielaniem ich zajmuje się związkowa Komisja Zdrowia. Na terenie USA KPA współpracuje z organizacją Project Hope. Dotychczas przekazał tej organizacji sumę 70.000 \$. Łączna wartość leków jakie Project Hope prześle do Polski wyniesie ok. 1 mln. \$.

KPA wysyła dotychczas do Polski leki i sprzęt medyczny wartości 801.210,38 \$. Wiele spośród nich to dary firm farmaceutycznych Komisja Zdrowia KPA wyłoży dalszych 250.000 \$ na zakup niezbędnych leków, które częściowo zostaną nabyte z nadwyżek Armii Amerykańskiej po cenie 6 c za faktyczną wartość 1 \$.

Według informacji Departamentu Stanu w dniach 20-24. 10. br. dostarczono do Polski 2.565 ton mleka w proszku, 664 tony mrożonych indyków i 113 ton odżywek dla dzieci, pochodzących z darów prywatnych.

KANADA

Według informacji z *Herald Tribune* z 30. 10. br. Kanada zwiększyła przyznane Polsce kredyty na zakup zboża z 500 mln \$ c. do 1,23 mld \$ c. (informacja rządu kanadyjskiego).

Do końca października br. na Fundusz Pomocy dla Polski wpłynęło — według oficjalnych danych Zarządu Głównego K.P.K. — \$ can. 527.700, ponadto otrzymano jako dar leki wartości \$ c. 125.000. Wysłano już do Polski żywność za sumę \$ c. 381.300 oraz leki za \$ c. 266.00, w tym 2 tony tranu, co stanowi trzymiesięczną kurację dla 14 tys. dzieci. Ponadto wysłano żywność za sumę \$ c. 46.500 — dar Polonii Australijskiej.

WŁOCHY

Rząd włoski udzielił PRL nowej pożyczki w wysokości 5,52 mln \$ na zakup włoskich produktów rolnych.

FRANCJA

Secours Catholique we Francji w ciągu października br. wysłał do Polski po raz piąty — ciężarówkami — 100 ton żywności. Żywność ta została dostarczona do Poznania, Lublina, Szczecina, Wrocławia i Pelplina.

ZSSR

PAP podaje, że ZSSR dostarczy Polsce 30 tys. ton mięsa wieprzowego i wołowego. Dostawy mają być dokonane w bieżącym roku. Ze względu na trudności transportowe w PRL, ZSSR podejmuje się dostarczyć mięso bezpośrednio do wskazanych miejsc własnym taborem samochodowym. Transakcja będzie rozliczona w rublach. PAP podaje wykaz pomocy ze strony ZSSR, a mianowicie: kredyty wolnodewizowe w wysokości 190 mln dolarów na zakup surowców i żywności w krajach zachodnich; 465 mln \$ na spłatę bieżących długów w bankach zachodnich i na niezbędne zakupy surowców, leków i in.; 10-letni kredyt w rublach transferowych na dodatkowe zakupy sowieckich surowców, maszyn rolniczych i artykułów spożywczych. Niedawno miała miejsce dodatkowa pomoc (PAP nie podaje szczegółów) w postaci dostaw zbóż, ryżu, ryb, papierosów, zapalek itp. PAP wybija fakt, że w ZSSR są wielkie trudności w zaopatrzeniu w mięso i że Związek Sowiecki importuje znaczne ilości z krajów strefy dolarowej.

„Z waszych ust miód pic” — jak mówi rosyjskie przysłowie.

Sąsiedzi

„Kartki z kalendarza” Maksima Tanka

Niedawno trafił mi do rąk wydany w 1977 roku w Warszawie pod powyższym tytułem dziennik w tłumaczeniu polskim wybitnego poety białoruskiego Maksima Tanka z lat 1935-1939. Dziennik ukazał się w wydawnictwie „Książka i Wiedza”. Przekładu dokonał Stefan Atlas.

Maksim Tank (prawdziwe nazwisko Auhien Skurka), urodzony w 1912 roku w chłopskiej rodzinie we wsi Pilkaścyna (Pilkow-szczyzna) w powiecie wilejskim na Wileńszczyźnie, jeszcze w młodości wybił się na czoło poetów zachodniobiałoruskich. Rozgłos zdobył nie tyle dzięki swemu dużemu talentowi poetyckiemu, ile raczej dzięki temu, że miał już za sobą wyrok sądowy i więzienie na Łukiszczach w Wilnie. W więzieniu wespół z innymi skazanymi poetami białoruskimi wydał 6 numerów rękopiśmienenego konspiracyjnego pisemka *Kraty*, w którym — jak pisze autor przedmowy do polskiego wydania „Kartek kalendarza”, Florian Nieuważny — „zapoczątkował swój życiorys poety rewolucyjnego... Wilno było literackim i politycznym uniwersytetem Maksyma Tanka”. W Wilnie był związany z grupą „Poprostu”. Był też członkiem komsomołu i KPZB. W Wilnie zostały wydane drukiem jego wczesne utwory: debiutancki tomik wierszy „Na etapach” (w 1936, skonfiskowany przez władze), tomy wierszy „Żuravinavy čviet” (Kwiat żurawiny, 1937) i „Pad mačtaj” (Pod masztem, 1938) oraz poemat „Narocz” (1937, skonfiskowany).

Przez cały dziennik, którego autor dużo miejsca poświęca wyrażaniu swych uczuć i myśli o poezji i literaturze, opisuje szarżę swego życia na wsi w ojcowskiej chacie i na przemian w Wilnie, gdzie nieraz nie ma grosza na chleb, pisze o swoim udziale w działalności konspiracyjnej, czerwoną nicią przewijając się szczere chyba wówczas uwielbienie ZSSR, potępienie faszyzmu, rządów sanacyjnych w Polsce, aparatu policyjnej przemocy, niesprawiedliwości społecznej oraz niechęć do białoruskich dzia-

łaczy społeczno-narodowych, szczególnie do katolickich chadeków, negatywnie ustosunkowanych do komunizmu i Sowietów, niszczących ogniska kultury białoruskiej i jej działaczy w ówczesnej BSSR. Zadziwia zaślepienie czy raczej przymykanie oczu na gwałty sowieckie, świadczące o szeroko zakrojonej akcji ujarzmiania i wynarodowiania narodu białoruskiego. Bo przecież Maksim Tank nie mógł o tym nie wiedzieć, czytając chociażby niekomunistyczną prasę zachodniobiałoruską, nie mówiąc już o polskiej. Na pewno wiedział o przymusowej kolektywizacji gospodarstw chłopskich, masowych aresztowaniach i deportacji ludności. Tank siedział w polskim sanacyjnym więzieniu na Łukiszczach w Wilnie nie za swoje wiersze, które wprawdzie były często konfiskowane, lecz za swoją *działalność* konspiracyjną. Natomiast białoruscy poeci i pisarze na Białorusi sowieckiej byli prześladowani za swoją *twórczość*. Właśnie w trzydziestych latach, w których Maksim Tank prowadził swój dziennik, jego bracia-poeci po drugiej stronie ryskiej granicy byli okrutnie prześladowani. Najwybitniejsi z nich, najbardziej utalentowani zostali w latach 1933-1937 przez władze sowieckie aresztowani i wywiezieni do łagrów, przeważnie na Kołymę. Większość nigdy stamtąd nie powróciła. Z 42 poetów figurujących w drugim tomie wydanej w Mińsku w 1961 roku (w końcu chruszczowskiej „odwilży”) trzutomowej „Antologii poezji białoruskiej” więcej niż połowa poniosła śmierć w GUŁagu, o czym oczywiście ani w niej, ani w Białoruskiej Sowieckiej Encyklopedii ani słowkiem się nie wspomina. Tylko sześciu z nich wróciło po śmierci Stalina do swego rodzinnego Mińska. Maksim Tank, dzisiejszy prezes Związku Literatów BSSR, oczywiście doskonale o tym wie. To mu jednak nie przeszkadza dziś zapewniać o „swobodzie twórczości w ZSSR”. „My, sowieccy pisarze — pisze — tworzymy w nadzwyczaj sprzyjających warunkach, w zdrowej moralnej i politycznej atmosferze, przy wszechstronnym poparciu naszego rządu, naszej myśli społecznej i naszych organizacji twórczych”.

Ale wróćmy do jego „Kartek kalendarza”. Maksim Tank, chociaż psioczy w nich na wileńskich białoruskich chadeków, drukował przed wojną swoje utwory w wydawanym przez nich w Wilnie białoruskim czasopiśmie literacko-naukowym *Kałošsia* (Kłasy). Redaktorowi *Kałošsia* J. Šutovičovi wiele zawdzięcza. Wiele również zawdzięcza często wspominanemu przez niego w dzienniku „wujowi Ryhorowi” (znanemu przed wojną w Wilnie działaczowi białoruskiej kultury muzycznej Ryhorowi Šyrmie), który komunistą ani rewolucjonistą nie był. Nie od rzeczy będzie tu przytoczyć jego zapis w dzienniku z dnia 20 lipca 1937 roku:

„Razem z wujem Ryhorem odwiedziliśmy Pawła Prokopieniego, który przyjechał z Włoch na gościnne występy. Zatrzymał się w hotelu 'Europa', w ogromnym jak stodoła i bardzo nieprzytulnym pokoju, z oknami na ulicę Niemiecką, gwarną i hałaśliwą, pełną przeróżnych straganów, handlarzy.

Jeszcze nie zdążyliśmy się z nim przywitać, gdy zaczął wymyślać Szalapinowi, który niedawno występował w sali miejskiej:

— I po cóż go diabli noszą po świecie? Głosu już nie ma, a bierze się do śpiewania. Lepiej by siedział na miejscu i uczył nas, młodych.

Potem zaczął opowiadać o sobie. Urodził się w biednej chłopskiej rodzinie. Był pastuchem, gońcem w cyrku, bezrobotnym. Pieszo powędrował do Warszawy. Nocował, gdzie popadło, nawet pod mostami. Pewnego razu udało mu się dostać do Jana Kiepury. Śpiewak zainteresował się nim i zabrał ze sobą do Wiednia. Tam na jakimś konkursie za wykonanie 'białoruskiej' pieśni: 'Wańka parień był prielестnyj...' otrzymał dyplom i złoty medal. Z Wiednia pojechał do Włoch, gdzie później przez kilka lat występował w Mediolanie i w rzymskim radio.

Ofiarował mi swoją fotografię. Stoi na niej obwieszony aż do pępka orderami otrzymanymi od króla Wiktora Emanuela (Kawalerski Krzyż Włoskiej Korony), od papieża (Order Świętego Jerzego), od rządu polskiego... Nawet samemu trudno mu wyliczyć wszystkie swoje krzyże i medale i przypomnieć sobie, od kogo i za co je otrzymał.

— Wczoraj — opowiadał — zaczął mnie na Górze Zamkowej jakiś gimnazjalista i pyta, czy jestem bokserem? — Jestem bokserem — odpowiadam. — A z kim pan walczył? — Z samym Janem Kiepurą! — zarechotał.

Zdrowy jest jak byk. Chwalił się, że jak dmuchnie, to gasi świeczkę zapaloną w drugim końcu pokoju. Z zawiścią mówił o innych sławnych śpiewakach, a wśród nich i o swoim sąsiedzie, Michale Zabejdie-Sumickim¹.

— Co wy mi tam gadacie o wielkiej kulturze jego śpiewu! Jak ja zaśpiewam w mojej wsi, to Michała nikt w jego rodzonej chacie nie usłyszy.

Rzeczywiście, głos ma jak trąba jerychońska — niski, soczysty. Dał mu Bóg talent, ale rozum, jak widać, poskąpił. Bardzo trudno z nim rozmawiać. Ma się wrażenie, że nie słucha, co się do niego mówi, i dlatego wciąż przeskakuje z jednego tematu na drugi. Ni z tego ni z owego zaczął wychwalać wileńskie prostytutki:

— Ależ macie tu dziwki!

Spojrzałem na wuja Ryhora. Zmieszał się i nie wiedział, gdzie oczy podziąć. Próbowalem zmienić temat, ale Prokopien wciął gadał albo o babach, albo o pijaństwach z różnymi dygnitarzami.

Wuj Ryhor przyniósł mu kilka białoruskich pieśni, ale ten ogier-medalista odmówił ich wykonania i oświadczył, że zaśpiewa je tylko wówczas, kiedy Białorusini zapłacą mu za koncert... Przy pożegnaniu — widocznie zorientował się, że palnął głupstwo, żądając od nas zapłaty — począł się usprawiedliwiać:

— Tylko nie myślcie sobie, że ja się wszystkiego, co ojczyste, wyrzekłem. W moim paszporcie wyraźnie napisano, że jestem Białorusinem... Zaraz wam pokażę, sami możecie się przekonać...".

Poeta odwiedził kilka razy Warszawę. Píše w dzienniku

1. Michał Zabejda-Sumicki, znany w okresie międzywojennym białoruski śpiewak operowy tenor. Występował w mediolańskiej La Scali i w latach trzydziestych w Operach Warszawskiej i Poznańskiej. Firma „Odeon” w Warszawie nagrała w owym czasie na płyty białoruskie pieśni ludowe w jego wykonaniu. Obecnie mieszka w Pradze czeskiej.

(zapis z 2 lipca 1939 roku) o swoim wieczorze literackim w Białoruskim Towarzystwie Oświatowym przy ulicy Świętokrzyskiej. Ale nie wspomina o tym, że na prośbę aktywnego działacza tego Towarzystwa Piotra Łastówki (Łastauki), niekomunisty i nawet nie lewicowca, lecz szczerego patrioty białoruskiego, Melchior Wańkowicz urządził jego wieczór literacki w Związku Literatów Polskich, który się odbył następnego dnia, 3 lipca. Pod tą datą czytamy w dzienniku:

„Kiedy szedłem dzisiaj na spotkanie do Związku Literatów Polskich, który mieści się przy ulicy Pierackiego 16 m 8, muszę się przyznać, denerwowałem się bardziej niż kiedykolwiek. Bałem się, jak mnie tam przyjmą. To, co wiedziałem o tym związku, nie dodawało mi otuchy. Na jego czele stoją ludzie o jawnie profaszystowskich sympatiach, bliscy kręgom oficjalnym, i białoruski poeta jest dla nich na pewno jakimś kresowym, egzotycznym zjawiskiem. Wieczór miał się zacząć o wpół do szóstej. Przyszedłem piętnaście minut wcześniej. Powitał mnie sam pan prezes Goetel — człowiek średniego wzrostu, sprawiający wrażenie sytego kupcyka, któremu interes przynosi dobre dochody. Zapoznał mnie z obecnymi tam polskimi pisarzami.

Na początek recytowałem wiersze przełożone na polski przez Jaworskiego i Putramenta, a potem zacząłem mówić w swoim ojczystym języku. Nie wiem, czy słuchacze dobrze mnie rozumieli, bo w czasie przerwy ktoś zapytał: 'A co to znaczy *nie warta tużyć*?' Kiedy mu wytłumaczyłem, Melchior Wańkowicz, który wyrósł na Białorusi (na Słuczczyźnie)³ i doskonale zna nasz język, zażartował: 'Kolega dobrze zrozumiał *nie warta tużyć* jako nie warto tu żyć'. Na wieczór, nie wiadomo po co, przyszedł również znany ukraiński nacjonalista — poeta E. Małaniuk. Ofiarował mi swój tomik 'Pierścień Polikratesa'. Spotkałem się tam również z bardzo oryginalnym poetą i skromnym człowiekiem, Kamilem Weintraubem. Podał mi dwa zbiory swoich wierszy: 'Wrogi czas' i 'Próba powrotu'. Goetel zagadnął (nie wiem, od kogo się o tym dowiedział), za co skonfiskowano mój pierwszy tomik 'Na etapach', i wypytywał o białoruskich pisarzy znajdujących się w Wilnie: interesował się, jakie wydajemy gazety i czasopisma. Rozmowa z nim nie kleiła się i byłem bardzo wdzięczny Wańkowiczowi, który mnie i jeszcze kilka osób zaprosił do siebie na obiad.

W nocy długo nie mogłem zasnąć. Zacząłem czytać ofiarowane mi przez Wańkowicza 'Szczeniące lata'. Wydaje mi się, że teraz w Polsce wielu odczuwa sentyment do naszego języka, kultury. Ale do prawdziwego zainteresowania się problemem białoruskim — jeszcze bardzo daleka droga”.

„Wyzwolenie” Zachodniej Białorusi przez sowiecką Armię Czerwoną w pamiętnym wrześniu 1939 roku zastaje Tanka w rodzinnej Pilkowoszczyźnie. 10 października wyjeżdża do Wilna na wezwanie sowieckiego naczelnika Tymczasowego Zarządu miasta J. Klimowa. W Wilnie czeka na niego w mieszkaniu narzeczonej i towarzyszk z pracy konspiracyjnej Luby Asajewiç zaproszenie na wieczór literacki „z udziałem zasłużonych poetów białorus-

2. Nie warto się smuć.

3. Jest nieścisłe. Melchior Wańkowicz wprawdzie urodził się i wyrósł na Białorusi, ale nie na Słuczczyźnie, lecz w powiecie ihumieńskim na Mińszczyźnie — W.B.

kich — Piatrusia Brouki, Piatra Hlebki". Wieczór odbył się w sali teatru „Lutnia”. Tank wystąpił „jako jeden z ostatnich” z recytacjami fragmentów z „Naroczy” i nowego wiersza „Witajcie, towarzysze!”. Niezadługo zaczął pracować w redakcji sowieckiej gazety w języku białoruskim *Vilenskaja Prawda* (Prawda Wileńska), która ulokowała się w gmachu „Kuriera Wileńskiego, lecz wkrótce w związku z przekazaniem Wilna niepodległej jeszcze wówczas Litwie wraca do Pilkowszczyzny. „Przyznam się, że szkoda mi było opuścić Wilno, miasto, z którym się żyłem, z którym związane jest tyle różnych wspomnień”, pisze w dzienniku. 25 października przyjeżdża do Wilejki, dokąd przeniósł się z Wilna zespół redakcyjny *Vilenskaj Praudy*. Tank pracuje w niej jako redaktor literacki.

Nie wdrożony jeszcze do pisania według socrealistycznego szablonu, nie nauczony gorzkim doświadczeniem, zapisuje w dzienniku z dnia 2 listopada 1939 roku:

„Wybieram się na budowę drogi Wilejka - Mołodeczno, żeby napisać reportaż lub wiersz do naszej gazety. Już kilka razy byłem na różnych odcinkach tej publicznej budowy. Podczas ostatniego wyjazdu zepsuł się nasz redakcyjny samochód i nocowałem w Krasnem, a stamtąd pociągiem, z przesiadkami i różnymi przygodami po drodze, dostałem się do domu. Mój reportaż z tej podróży redaktor odrzucił, bo nie ukazałem w nim „bezgranicznego entuzjazmu” budowniczych. A jakież mógł być tam entuzjazm, kiedy właśnie lał lodowaty deszcz i na całej trasie było tylko kilka furmanek, które zwoziły kamień. Może i nowy mój reportaż czeka taki samy los. W żaden sposób nie mogę uchwycić tego czegoś nieuchwytnego, co daje reportażom innych współpracowników naszej gazety zielone światło na jej szpaltach, choć mało co z tego pozostaje w pamięci”.

Wilejka, małe miasto powiatowe, które awansowało do rangi miasta obwodowego, jest przepełniona przybyszami z ZSSR. Dotkliwy brak mieszkań. „Mieszkamy w niewielkim pokoiku w trójkę: Kanauik, Milancewicz i ja. Mamy wszystkiego dwa łóżka, stół, etażerkę i jedno krzesło. Nic więcej w tym pokoju się nie zmieści. Śpię na stole. W podobnych warunkach mieszkają i Lu (Luba Asajewiç — W.B.), i Jędrychowscy, i Dembińscy, i Petrusiewiczowie, i Sztachelscy. Nic nie poradzisz — Wilejka to nie Wilno” — zapisuje 29 października w dzienniku. Z zapisu z dnia 18 listopada: „Dzwonili z redakcji *Połymia* (Płomień, białoruski sowiecki miesięcznik literacki wychodzący w Mińsku — W.B.). Zamierzają dać w jednym z numerów wybór moich wierszy. Pytali, kogo bym im jeszcze doradził publikować z poetów zachodniobiałoruskich. W ogóle, o ile my jeszcze troszkę orientujemy się w radzieckiej literaturze białoruskiej, to nasi mińscy towarzysze aż do samego wyzwolenia prawie nic nie wiedzieli i nie słyszeli o wielu z nas”. 20 listopada: „Był u nas w redakcji Putrament. Powiedział mi, że proponowano mu pracę w *Wilejskiej Prawdzie*, ale po Wilnie nasze centrum obwodowe wydaje mu się takim głuchym kątem, że chyba tu nie zostanie. Woli wyjechać do Białegostoku lub do Lwowa, gdzie podobno przeby-

wa wielu polskich pisarzy. Poszliśmy razem na obiad do nowo otwartej stołówki koło kościoła. Umówiliśmy się, że wieczorem spotkamy się u Dembińskich”. Poprzez radość z „wyzwolenia” przebija w dzienniku smutek i szarzyzna dnia powszedniego. 26 listopada: „Napisałem kilka słabych, gazetowych wierszy. Stoję nad pustą studnią mojej poezji, z której — jak mi się wydaje — wyczerpałem wszystko do dna, i nie wiem, kiedy znowu napełni się żywą wodą. A może się nie napełni?...”.

Dziennik urywa się na zapisie z dnia 28 listopada 1939 roku, z którego dowiadujemy się, że Maksim Tank dostał telegram od Michasia Łyńkowa, prezesa Związku Pisarzy BSSR, wzywający go do Mińska.

Po drugiej wojnie światowej Maksim Tank został sowieckim partyjno-literackim dygnitarzem: deputowanym do Rad Najwyższych ZSSR i BSSR, laureatem najpierw stalinowskiej, a niedawno i leninowskiej nagrody literackiej, członkiem KC KP Białorusi i sekretarzem Związku Pisarzy ZSSR, bohaterem pracy socjalistycznej ZSSR, odznaczonym dwoma orderami Lenina, orderem Rewolucji Październikowej, czterema innymi orderami, medalami, złotym medalem „Obrońcy pokoju”. Jest też prezesem „republikańskiego” (w Republice Białoruskiej) komitetu Towarzystwa Przyjaźni Sowiecko-Polskiej. Chyba dlatego, że za przekłady na język białoruski niektórych utworów Mickiewicza, Słowackiego (od najmłodszych lat jest urzeczony polską poezją romantyczną) i Broniewskiego otrzymał nagrody literackie tego Towarzystwa i ZAIKS-u, a w dodatku do licznych odznaczeń, których ma aż nadto, został uhonorowany jeszcze krzyżem Polonia Restituta. Z myślą o Polsce napisał piękne wiersze „Chopin”, „Nad Morskim Okiem”, „Powrót Chopina”, „Oświęcimskie druty”.

Przed wojną, w latach trzydziestych, Maksim Tank przejął się krzywdą swych ziomków — nadnaroczańskich rybaków. Od niepamiętnych czasów jeziora Narocz, Miadzioł, Miasto, Dryświaty i wiele innych pomniejszych były żywicielami ludu w tej jeziornej krainie. Tamtejsi małorolni i bezrolni chłopcy z dziada pradziada utrzymywali się głównie rybołówstwem. I oto w 1932 roku, na mocy ustawy o upaństwowieniu rzek i jezior, jeziora zostały przekazane Dyrekcji Lasów Państwowych, która z kolei oddała je w dzierżawę prywatnemu towarzystwu akcyjnemu. W 1935 roku towarzystwo zabroniło chłopom-rybakom łowienia ryb własnymi sieciami. Rybacy zaś nie zechcieli pracować dla dzierżawcy. Wybuchł strajk, który zakończył się częściowym zwycięstwem rybaków. Tej oto „Burzy nad Naroczą”, jak wówczas wileńskie *Słowo* Cata-Mackiewicza nazwało wystąpienie nadnaroczańskich rybaków, Maksim Tank poświęcił swój poemat pt. „Narocz”.

Dziś Maksim Tank, gdy sam został (jak niegdyś Prokopieni) „obwieszony aż do pępka orderami”, nie przejmując się niedolą nadnaroczańskich chłopów-rybaków, których sytuacja jest obec-

nie o wiele gorsza niż wtedy, gdy pisał „Narocz”. Zmuszeni przez obcą sowiecko-rosyjską władzę do pracy nowopañszczyźnianej w znienawidzonych kołchozach i sowchozach, której nie mogą porzucić, tak jak nie mogą zastrajkować, wiodą nędzny, bez przeświadczenia nadziei na lepsze jutro, żywot. Marnując swój wielki poetycki talent, Tank występuje się dziś *rodnej partyi*: wystawia w swoich utworach „osiągnięcia budownictwa socjalistycznego”. Już go nie wzrusza smutny los nadnaroczańskich rybaków.

Natomiast rosyjski sowiecki pisarz Jurij Nagibin w swej powieści, napisanej w czasie chruszczowskiej „odwilży”, pisze o nich z sympatią i współczuciem.

Obok jeziora Narocz, na wschód od niego, oddzielone wąskim przesmykiem leży jezioro Miastrowo. Jeziora są połączone wąską krótką rzeczką, przepływającą przez przesmyk. Gdy przystany ze Wschodu, z centrali, nowy zarządca gospodarstwa rybnego, absolutnie niekompetentny, lecz za to partyjny Rosjani, dowiedział się od miejscowych rybaków, że węgorze z jeziora Miastrowo co roku jesienią odpływają rzeczką do Naroczy, a z Naroczy płyną dalej wypływającą z niej rzeką Naroczanką do Wilii, Wilią do Niemna i z jego wodami — do morza, strasznie się rozgniewał i walnąwszy pięścią w stół wykrzyknął: „Ja nie wypuszczę ich na kapitalistyczny Zachód”. I kazał rybakom zbudować drewniany jaz (zapórę) na rzeczułce, by „ani jeden węgorz ze Związku Sowieckiego nie mógł uciec za granicę”. Ale rybacy stanowczo odmówili wykonania jego głupiego zarządzenia, bo oni wiedzieli, czego nie wiedział tępy sobiepan zarządca, że węgorze, chociaż żyją w Naroczy, Miastrowie i w innych pobliskich jeziorach, na tarło płyną do morza. Wówczas najął cieślę, bohatera powieści, Rosjanina z kurskiego obwodu, który przejechał na Białoruś na zarobek. Gdy Rosjanin zbudował zapórę, zarządca kazał mu jej w nocy strzec, by rybacy jej nie zburzyli. I oto pewnej nocy ujrzał coś niesamowitego: tysiące węgorzy, przepływając do zapory, daremnie usiłowały się przez nią przedostać. A gdy zobaczył grupę rybaków z łodami i siekierami, którzy przyszli zburzyć zapórę, by węgorze mogły swobodnie płynąć do Naroczy, sam chwycił za łom i począł ją burzyć.

Po śmierci Stalina, w czasie „odwilży” i w okresie późniejszym, trwającym aż do 1977 roku, Tank po opublikowaniu swego wiersza „Cesarskie — Cesarzowi”, w którym wyraźnie oświadczył, że oddawszy z konieczności obowiązkową daninę Cesarzowi — Partii i jej politycznym wymogom, służy głównie Bogu poezji — prawdziwej, niepodległej żadnym dogmatom sztuce, napisał szereg utworów poetyckich na wysokim poziomie artystycznym na różnorodne tematy, nawet intymne. Ale w 1977 roku, w którym obchodzono 60-lecie Rewolucji Październikowej, „uchwalono” nową sowiecką Konstytucję i oficjalnie ogłoszono sformowanie narodu sowieckiego, zaczął znów służyć Cesarzowi pisząc wiele szablonowych, miernych wierszy na jego cześć. W wywiadzie udzielonym współpracownikowi mińskiego tygodnika *Litatura i Mastactwa* (Literatura i Sztuka) Uładzimirowi Anisko-

wiłowi z okazji uzyskania nagrody literackiej im. Lenina za rosyjski przekład (!) zbioru poezji pt. „Nadnaroczańskie sosny”, zamieszczonym w tym piśmie 5 maja 1978 roku pod wymownym tytułem „Uważam się za zmobilizowanego”, Tank powiedział:

„I my wszyscy, w tej liczbie również ja osobiście, uważamy się za zmobilizowanych jak najgłębiej odzwierciedlać życie narodu, jego bohaterskie czyny na wszystkich frontach twórczej pracy i walki o pokój, o urzeczywistnienie ogromnych planów naszej Partii”.

Włodzimierz BRYLEWSKI

W sowieckiej prasie

W Polsce wydarzenia biegną jedno za drugim: zjazd Solidarności, zmiana na stanowisku I sekretarza KC PZPR, spotkanie Jaruzelskiego, Głępa i Wałęsy... W Moskwie, jeśli sądzić po relacjach z polskich wydarzeń w prasie, nie dzieje się nic. Moskwa czeka, i jak na razie wbija swoim obywatelom do głowy wciąż to samo, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co naprawdę dzieje się w Polsce.

Dla sowieckich propagandystów wszystko jest jasne: cokolwiek dzieje się w Polsce, jest dziełem spiskowców. W stosunku do niedawnego jeszcze okresu widać pewną zmianę: od czasu gdańskiego zjazdu cała Solidarność zaliczana jest do spiskowców. Jak pisze Jurij Korniłow, polityczny komentator TASS-a, „maski zostały zrzucone”. Jego obszerny artykuł ukazał się w tygodniku *Tydzień* w rubryce „Za kulisami dywersji”. Artykuł nosi tytuł „Kto jest solidarny z Solidarnością” i wylicza zewnętrznych i wewnętrznych wrogów. Teza jest następująca: „dzisiejsza Polska jest obiektem aktywnego eksportu kontrrewolucji”. Dowody na poparcie tej tezy: „nieprzyjaciele socjalizmu” okazują pomoc „prowodyrom Solidarności”, którzy „rwą się do władzy”. Lista przyjaciół Solidarności czyli innymi słowy „nieprzyjaciół socjalizmu” zajmuje cztery bite kolumny tygodnika. Kogóż tu nie ma: Biały Dom, Kongres Stanów Zjednoczonych, Rada NATO, amerykańska centrala związków zawodowych AFL-CIO, Franz Joseph Strauss i Ziomkostwo Ślązaków, grupa „Il Manifesto”, która „flirtowała z włoskimi terrorystami” i „maoistowskie grupki na Zachodzie”. Spis nie pomija oczywiście obowiązkowych dyżurnych wrogów: radio Wolna Europa, która „specjalnym sztyrem przekazuje rozkazy dla polskiego podziemia” i „emigranci skupieni wokół pisma *Kultura* (Paryż), którzy

głośno objawiają swoje credo — poparcie dla procesu zmierzającego do likwidacji socjalizmu w Polsce”.

Tydzień to oficjalna tuba KGB. Jego stała rubryka „Za kulami dywersji” — jedyna taka rubryka w ZSSR — to organ departamentu dezinformacji. Istotne jest to dlatego, że wszystkie oskarżenia pod adresem Solidarności oparte są na „danych pochodzących z gniazda wroga”. J. Korniłow cytuje „czeskiego wywiadowcę I. Godica, który trzy i pół roku przepracował w środowiskach emigranckich na Zachodzie”. Kapitan Godic poinformował na konferencji prasowej w Pradze, że „amerykańskie służby specjalne i szereg innych organów USA” dawno już opracowały „długofalowy plan działań, zmierzających do obalenia socjalizmu w PRL”. Po „demaskacji wywiadowcy Godica” przychylny wydarzeń w Polsce są już jasne. Jeśliby ktoś miał jeszcze wątpliwości, J. Korniłow cytuje w swym artykule również wypowiedź pierwszego sekretarza amerykańskiej kompartii Gusa Halla: „wydarzenia w Polsce to jedno z ogniw ogólnej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, zmierzającej do zdobycia panowania nad światem”.

Następnym strzałem w antypolskiej kampanii był artykuł „A. Pietrowa” pt. „Solidarność rwie się do władzy” (*Prawda* z 13. X. br.). Licząc od sierpnia 1980, jest to czwarty artykuł podpisany pseudonimem „A. Pietrow”. Podpis ten oznacza, że artykuł wyraża oficjalny pogląd kierownictwa ZSSR. Tym razem „A. Pietrow” pisze znacznie ostrzej niż w poprzednich artykułach. Podsumowuje gdański zjazd, oskarżając „kierownictwo Solidarności” o to, że „śmiercionośnym uściskiem dławi gospodarkę, dezorganizuje rynek wewnętrzny i uniemożliwia zaopatrzenie ludności w artykuły i towary pierwszej potrzeby”. Choć „A. Pietrowowi”, jak widać, bardzo leżą na sercu potrzeby polskiej ludności, jeszcze bardziej go martwią żądania „rozprzestrzenienia zasady tzw. pluralizmu w politycznym życiu kraju”.

„A. Pietrow” jasno i niedwuznacznie oświadcza: „Zachowanie rewolucyjnych zdobyczy narodu polskiego nie jest tylko jego wewnętrzną sprawą. Sprawa ta dotyczy bezpośrednio żywotnych interesów wszystkich narodów i państw, które wybrały drogę socjalizmu”. „A. Pietrow” ponownie — z całą ostrością i jasnością — wyklada breżniewowską doktrynę ograniczonej suwerenności państw socjalistycznych, sformułowaną po raz pierwszy w 1968 roku. Na zakończenie „A. Pietrow” domaga się od komunistów polskich, aby „dali skuteczny odpór kontrrewolucji i jej imperialistycznym inspiratorom i wzmocnili pozycję socjalizmu w Polsce”.

W dwa dni po ukazaniu się artykułu anonimowego „A. Pietrowa” gazety sowieckie opublikowały wystąpienie głównego sowieckiego ideologa M. Susłowa na wszechzwiązkowym zjeździe kierowników katedr nauk społecznych. Zjazdy kapłanów ideologii sowieckiej odbywają się regularnie. Każdemu z nich patronują hasła kolejnej kampanii, którym przyświeca niezmiennie ten sam

cel. M. Susłow sformułował go w roku 1981 następująco: „Naczelnym zadaniem naszej socjologii jest głębokie rozpracowanie naukowych podstaw kształtowania nowego człowieka”. Wśród naczelnych zadań stojących przed socjologami w październiku 1981 główny ideolog wymienia wyjaśnienie wydarzeń w Polsce. Socjologdy — to znaczy kierownicy katedr marksizmu-leninizmu, naukowego ateizmu i nauk społecznych — przedmiotów obowiązkowych na wszystkich wyższych uczelniach — mają objaśniać wydarzenia w Polsce zgodnie z dyrektywą Susłowa: „Na przestrzeni długiego już czasu imperializm podejmuje tajne i jawne wysiłki, aby rozbić podstawy socjalizmu w PRL, zaostrzyć zjawiska kryzysowe, wychować i skierować do aktywnej działalności siły antysocjalistyczne, kontrrewolucyjne”. Objasnienie sytuacji w Polsce przywódcą socjologów sowieckich kończy następującym zaleceniem: „W związku z tym należy przypomnieć: socjalistyczna Polska, polscy komuniści, naród polski mogą niezachwianie liczyć na bratnią solidarność i poparcie Związku Sowieckiego i innych krajów członków Paktu Warszawskiego” (*Izwiestia* z 15. X. br.). Zwrot „należy przypomnieć” brzmi wieloznacznie: przypomnieć uczestnikom zjazdu, żeby przypomnieli studentom, czy też przypomnieć polskim komunistom, żeby przypomnieli narodowi polskiemu, że w imię „bratniej solidarności” winien się wyrzec Solidarności?

Wypowiedź Susłowa można różnie interpretować, nie należy jednak uważać za przypadek pewnej zbieżności w czasie — po „przypomnieniu” „A. Pietrowa” i M. Susłowa 18 października 1981 plenum KC PZPR zmieniło I sekretarza.

Pół wieku temu Mikołaj Bucharin, odkrywszy nagle, że władza w partii i kraju znajduje się w rękach I sekretarza KC Stalina, doszedł do wniosku, że dzieje ludzkości dzielą się na trzy okresy: matriarchat, patriarchat i sekretariat. Sowieccy przywódcy żyją nadal w epoce sekretariatu. Doszedłszy do wniosku, że w Polsce toczy się „pełzająca kontrrewolucja”, sterowana przez amerykańskie „organy”, nie przestają szukać człowieka, „sekretarza”, który zawróci partię i kraj do lipca 1980. Nie umiając i nie chcąc zrozumieć tego, co się w Polsce dzieje, wodzowie sowieccy nie umiają i nie chcą zrozumieć konieczności zmian, reformy systemu. Ostatnie chronologicznie oficjalne wypowiedzi o Polsce potwierdzają niezmienną pozycję Moskwy. Występując 6 listopada na uroczystym posiedzeniu z okazji rocznicy rewolucji październikowej, minister obrony, członek Biura Politycznego, marszałek Ustinow, wyraził się z żołnierską prostotą: „Wewnętrzna i zewnętrzna kontrrewolucja stara się zlikwidować socjalistyczny ustrój w Polsce, restaurować porządek burżuazyjny, oderwać Polskę od wspólnoty socjalistycznej i zmienić w ten sposób wynik drugiej wojny światowej i okresu powojennego. Do tego nigdy nie dojdzie”.

Defilada wojskowa na Placu Czerwonym, odbywająca się w dzień po cytowanym wyżej przemówieniu Ustinowa, miała za-

demonstrować, jakimi to środkami Związek Sowiecki może broń swoich zdobyczy z okresu drugiej wojny światowej i po niej. Defilada była jak zawsze nadzwyczajna i jak zawsze świadczyła o „dalszym wzroście i rozwoju”: zamiast 22-milimetrowego działa, pokazanego w zeszłym roku, pojawiła się 152-milimetrowa haubica wieżona na samochodzie. Lud pracujący Moskwy, który wyległ na Plac Czerwony w ślad za czołgami i artylerią, niósł transparenty, domagające się zakazu bomby neutronowej. Tak się składa, że jest to jedyny rodzaj współczesnej broni, którym Armia Czerwona jeszcze nie rozporządza.

Defilada wojskowa się skończyła i obywatele sowieccy wrócili do swoich zmartwień. Nawet jadąca uroczystie przez Plac Czerwony 152-milimetrowa haubica nie zastąpi kawałka kiełbasy. Sytuacja w Związku Sowieckim bezustannie się pogarsza. Wyniki wykonania planu za okres od stycznia do września 1981 (*Prawda* z 24. X. br.) były mało zadowalające, nawet jeśli wziąć pod uwagę magiczne talenty sowieckich statystyków. W szczególności zaś nie wykonano planu w dziedzinie produkcji żywności. M. Susłow przyznał, że „w rolnictwie rok ułożył się niefortunnie niełatwo”. W języku sowieckim „łatwo” znaczy „dobrze”, „niełatwo” zaś oznacza, że trzeba będzie kupić w przyszłym roku nie mniej jak 40 mln ton zboża.

Jednak nie słowo „ciężkie” charakteryzuje położenie w Związku Sowieckim w 1981 roku, w 64 lata po objęciu władzy przez Sowietów. Położenie w ZSSR nigdy nie było łatwe. Bywało nawet cięższe niż teraz — w głodowe lata 30-te, w głodowe lata wojenne i powojenne. Szczegółowość obecnej sytuacji polega na tym, że kryzys ma miejsce w latach pokoju, w warunkach niebywałego rozkwitu militarnego ZSSR. Szczególny charakter tego kryzysu, przede wszystkim żywnościowego — po raz pierwszy od wojny w wielu miastach wprowadzono kartki — polega i na humorystycznych środkach, jakie się przedsięwzięło, aby mu zaradzić. Obywateli sowieckich wzywa się do oszczędzania chleba; w 1982 roku wejdzie w życie ustawa „ograniczająca liczbę nieprodukcyjnych zwierząt domowych”, czyli psów i kotów. Obowiązująca norma: jeden pies lub kot na rodzinę. „Nieproduktywne” zwierzęta zostaną obłożone ciężkim podatkiem: za dużego psa — 200 rubli, za małego — 120. Średnia płaca wynosi ok. 150 rubli na miesiąc. Wreszcie środki sprawdzone: nasilenie „walki ze spekulacją i kradzieżą mienia społecznego”.

Od niedawna mnożą się w gazetach wiadomości o aresztowaniach i wyrokach na „drobnych złodziei”. Zważywszy, że i władza i obywatele kraju „dojrzałego socjalizmu” wiedzą, że nie sposób przeżyć nie naruszając przepisów, obywatele je naruszają, a władza przymyka oczy. Ale do czasu. Kiedy trzeba, tzn. kiedy kryzys w kraju przybiera szczególnie ostry charakter, zaczyna się „walka z kradzieżą mienia społecznego”, „ze spekulacją”, „z łapownictwem”. Dzięki tej walce widać jakby zarysy końca kryzysu — nazywa się po imieniu kozły ofiarne, tworzy nowe zastępy więźniów, wzmaga uczucie strachu i nieufności obywateli,

którzy przypominają sobie głęboką mądrość lat stalinowskich: im wcześniej, cię wsadzą, tym wcześniej wyjdiesz.

W wywiadzie udzielonym 12 października br. amerykańskiemu członkowi Kongresu John Leboutillier Aleksander Sołżenicyn tak odpowiedział na pytanie o życie w Związku Sowieckim: „Od 65 lat pracujemy niemal bezpłatnie. Od 65 lat pracuje w rodzinie i matka, i ojciec, a ich obie pensje nie wystarczają na utrzymanie rodziny. Płace jakie otrzymują nigdy nie przekraczają 10 % do 20 % wartości ich pracy. Wszystkie nadwyżki zabiera państwo, aby produkować broń i przygotowywać napaści na inne kraje świata. A my, kilka pokoleń już, głodujemy od 65 lat! To już prawie fizyczne zwyrodnienie! Wyniszczają nas alkoholem. Kobiety są obciążone ciężarem, jakiego nie mogliby unieść mężczyźni, obciążone w dwójnasób. Ostro spada ilość narodzin, rośnie za to śmiertelność dzieci. Jesteśmy wyniszczeni fizycznie i duchowo. Wyniszczeni fizycznie, bo przemysł wojenny działa bez wszelkiej ochrony środowiska; nikt nie kontroluje, na ile zanieczyszczone są wody i powietrze. Wyniszczeni duchowo, bo od 65 lat wmuszają w nas komunistyczne kłamstwo. To wszystko razem doprowadza naród do stanu bliskiego śmierci, śmierci duchowej i fizycznej. Zabito pamięć o naszej przeszłości, o naszej historii, a zwłaszcza o historii ostatniego stulecia... Wie Pan z czym bym to porównał? Kiedy w latach stalinowskich aresztowywano razem ojca i matkę, małe dzieci wysyłano do sierocinców, zmieniając im nazwisko, tak że już nigdy nie mogli się dowiedzieć, czymi są dziećmi, skąd pochodzą, jaka była ich przeszłość. W takiej sytuacji znajduje się nasz naród”.

Sołżenicyn odpowiadał na pytania związane z działalnością radiostacji nakierowanych na Związek Sowiecki: *Głosu Ameryki* i *Radia Swoboda*. Autor „Archipelagu GULag” ocenia pracę tych radiostacji bardzo krytycznie i tłumaczy to ugodowym stosunkiem Zachodu do Związku Sowieckiego. Politykę Roosevelta w latach 30-tych i 40-tych Sołżenicyn nazywa „wielką historyczną pomyłką”. Zarazem uprzedza, że USA i cały Zachód powtarzają dziś tę samą pomyłkę, okazując pomoc Chinom: „Przez jakiś czas Chiny będą Was chronić przed Związkiem Sowieckim, choć i to wątpliwe. Ale jeśli uzbroicie Chiny, to oddacie im w rezultacie drugą połowę świata...”.

Ale Chiny to dopiero przyszłe zagrożenie. W tej chwili główną groźbę dla świata stanowi Związek Sowiecki. Na pytanie, co myśli o podejrzeniach, że Kreml maczał palce w zamachu na papieża, Sołżenicyn odpowiada: „Co do jednego można nie mieć wątpliwości: że polski papież samym swoim istnieniem szalenie przeszkadzał i przeszkadza sowieckim komunistom”. Po czym Sołżenicyn dorzuca: „A że w ogóle światowy terroryzm sterowany jest przez Sowietów, nie budzi moim zdaniem wątpliwości”.

Przy całym szacunku dla wielkiego pisarza należy zauważyć, że TASS, oficjalna agencja prasowa Związku Sowieckiego, ofi-

cjalnie zdementował doniesienia prasy zachodniej o udziale Moskwy w zamachu na papieża. Nie wypadłoby nie wierzyć oficjalnym *dementi*, gdyby nie przypadek z sowiecką łodzią podwodną nr 137, która osiadła 27 października na mieliźnie w zakazanej strefie u brzegów Szwecji.

Epizod z sowiecką łodzią podwodną może służyć jako pokazowy model sowieckiej polityki zagranicznej a zarazem jako model polityki zagranicznej państw zachodnich. Związek Sowiecki już od dawna domaga się przekształcenia Bałtyku w „morze pokoju”. I od dawna uważa go za swoje wewnętrzne morze. Szwedzi niejeden raz odkrywali na swoich wodach terytorialnych cudze łodzie podwodne, ale się nie skarżyli: nie złapałeś złodzieja, to go nie ma. 27 października złodzieja złapano i okazało się — mało kto w to wątpił i przedtem — że to złodziej sowiecki. Wyjaśnienia sowieckich władz i kapitana łodzi nie były zbyt wynalazcze: łódź zbłądziła z powodu zepsutych urządzeń sterowniczych. Na to Szwedzi odparli, że to niemożliwe, bo nie sposób się dostać do zakazanej strefy przez labirynt fjordów bez instrumentów. Epizod poszedłby bardzo szybko w niepamięć, gdyby nie odkrycie, że zwykła łódź nr 137 była wyposażona w torpedy z głowicami nuklearnymi.

Sowieckie władze ani temu nie zaprzeczyły, ani nie potwierdziły, odpowiadając: sowieckie łodzie podwodne uzbrojone są w takie głowice, jakie im są niezbędne do wypełnienia ich zadań. Neutralni Szwedzi się zdenerwowali a organ szwedzkich socjaldemokratów *Aftonbladet* napisał nawet: „W ciągu jednej nocy Związek Sowiecki utracił nasze zaufanie”. To zresztą jest w reakcji Szwedów najciekawsze: czego by Związek Sowiecki nie zrobił, zaufanie Szwedów miał zapewnione, i oto pojawiła się łódź podwodna z głowicami nuklearnymi — i zaufanie utracił.

Władze sowieckie tymczasem milczały albo lekko się tłumaczyły w prywatnych rozmowach ze szwedzkimi dyplomatami dopóki łódź powodna tkwiła na mieliźnie w szwedzkich wodach. 6 listopada, w przeddzień wielkiego sowieckiego święta, szwedzkie holowniki odholowały nr 137 na międzynarodowe wody. 12 listopada TASS oświadczył, że rząd sowiecki „kategorycznie odrzuca” protest Szwecji, pozbawiony wszelkich „podstaw prawnych i faktycznych”. Mało tego, dyplomacja sowiecka przeszła do natarcia, oskarżając o wszystko prasę zachodnią i Amerykanów.

Można sobie z łatwością wyobrazić, że wkrótce Szwedzi odzyskają zaufanie do Związku Sowieckiego. Każda z torped w które była uzbrojona łódź nr 137 niosła głowicę siły równej bombie w Hiroszynie. Tak że nie ma się czemu dziwić. Kto w Europie pamięta na przykład, że równo dwa lata temu, w grudniu 1979 roku, sowiecka armia wtargnęła do Afganistanu?

Adam KRUCZEK

13 listopada 1981

Kronika niemiecka

W porcie bałtyckim Lubeka (RFN) 12 pasażerów polskiego statku turystycznego *Mazowsze* poprosiło o azyl. ■ Premierą nowego filmu Krzysztofa Zanussiego *Pokusa* zainaugurowane zostały pokazy jubileuszowego festiwalu filmowego w Mannheim; filmy polskie nie otrzymały żadnej nagrody. ■ W Zabierzowie pod Krakowem otwarto trzeci — obok Warszawy i Wybrzeża — skład konsygnacyjny zajmujący się sprzedażą używanych samochodów osobowych sprowadzanych głównie z RFN; roczne i dwuletnie pojazdy *Opel*, *Mercedes* i *Volkswagen* są sprzedawane wyłącznie za dewizy. ■ W Polsce przebywał z wizytą znany przemysłowiec i mecenas sztuki Peter Ludwig z Akwizgranu. Za wielki wkład w odnowę zabytków Krakowa wręczono mu medal nadany przez Prezydium Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. ■ Akcja charytatywna Kościoła ewangelickiego w ramach Programu zimowego *Das Diakonische Werk* wysłała do Polski artykuły żywnościowe na sumę 2,5 mln marek. ■ *Niezależna Oficyna Wydawnicza NOW-a* wydała w tłumaczeniu na język polski znaną pracę Hansa Mayera pt. *NRD — odwilż, której nie było*. Wydawcy *NOW-ej* piszą we wstępie: „O meandrach życia kulturalnego naszych zachodnich sąsiadów wiemy niewiele, podobnie jak w ogóle o NRD. Dążąc do wypełnienia luki w wiedzy o kulturze, historii i dniu dzisiejszym naszych sąsiadów, publikujemy kolejną pozycję, tym razem o Niemczech Wschodnich. (...) To jeden z pierwszych rekonesansów z krainy polskiej ignorancji o NRD ku kompetencji i wiedzy”. ■ Na 11-tysięczny kontyngent Polaków mogących, zgodnie z umową, uzyskać oficjalne zatrudnienie w RFN, pracuje w tym kraju tylko 9,5 tys. obywateli PRL. Oblicza się, że ok. 25 tys. Polaków pracuje w RFN nielegalnie. ■ Jak donosi zachodniemiecka agencja prasowa *DDD*, spośród 4.718 wniosków o zezwolenie na pobyt stały, złożonych przez Polaków w pierwszych 9 miesiącach br. (dwukrotnie więcej niż w całym roku ubiegłym) załatwiono pozytywnie zaledwie 18 %. Władze poszczególnych krajów podjęły zaostrzone kontrole mające na celu przeciwdziałanie zatrudnianiu osób nie posiadających oficjalnej zgody na wykonywanie pracy zarobkowej na terenie RFN. ■ Radiostacja *Głos NRD* rozpoczęła emisję audycji w języku polskim przeznaczonych dla słuchaczy w Polsce i Polaków pracujących w NRD. Audycje nadawane są codziennie (łącznie 160 minut programu). ■ Z wychodzącej w Niemczech Zachodnich *Braunbuch DDR* (*Brunatna Księga NRD*) dowiadujemy się, że obecny zastępca redaktora naczelnego organu *SED Neues Deutschland*, Günter Kertscher, wstąpił 1. 5. 1937 do *NSDAP*; nr legitymacji: 4 532 251. Był również członkiem *SA*. ■ Karl Corino wydał w *Fischer Verlag* wybór tekstów pisarzy emigracyjnych — *Autoren im Exil*. Polacy są reprezentowani esejami i artykułami Leszka Kołakowskiego, Tadeusza Nowakowskiego, Witolda Wirpszy i Józefa Wittlina. ■ W zachodniobermberskiej siedzibie *Deutscher Akademischer Austauschdienst* odbył się wieczór autorski Jarosława Markiewicza i Witolda Wirpszy (od stycznia przyszłego roku Wirpsza prowadzić będzie na *Wszechnicy Ludowej* w dzielnicy Wedding cykl wykładów poświęconych literaturze polskiej). ■ Michael Ende z RFN otrzymał tegoroczną nagrodę przyznaną w Warszawie podczas posiedzenia *Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka*. ■ Polacy w RFN domagają się, żeby *Polska Misja Katolicka* z siedzibą w Monachium-Freising (z dala od skupisk Polaków!), kierowana przez ks. prałata Stefana Leciejew-

skiego, publicznie wyjaśniła w jaki sposób doszło do zamknięcia polskiego internatu i sierocińca *Marianum* w Carlsbergu (Palatynat), placówki powstałej przed 25 laty dzięki staraniom śp. ks. prałata Juliusza Janusza, a obecnie straconej na skutek nieudolności i braku zaangażowania ze strony polskiego kleru w RFN. Fundatorzy *Marianum* zapytują, co stanie się z pieniędzmi po sprzedaży domu? ■ Ponad 3,5 tysiąca książek 300 zachodniemieckich oficyn wydawniczych grupuje otwarta w krakowskim *Palacu pod Baranami* — pierwsza tego typu w PRL — wystawa książek z RFN. Książki te — po obejrzeniu ich przez mieszkańców Krakowa, Lublina, Łodzi i Poznania — przekazane zostaną jako dar dla polskich bibliotek. ■ Na zaproszenie SPD-owskiej *Fundacji im. Friedricha Eberta* przybyła do Bergneustadt (Nadrenia-Westfalia) liczna delegacja z Polski (m.in. prof. Józef Barbag, prof. Władysław Markiewicz, dr M. Rzeszotarski, dr Jan Barcz, prof. Mieczysław Tomala, dr Jerzy Wojciechowski, no i oczywiście Marian Podkowinski) dla przedyskutowania sprawy rewizji podręczników historii i geografii. Realizacja 27 zaleceń *Wspólnej Komisji* przebiega w RFN bardzo opornie ze względu na prawn-administracyjną strukturę państwa federalnego, jakim jest RFN; *landy* rządzone przez chadeckie odrzucają zalecenia, argumentując, że polskie podręczniki są pełne *białych plam*, fałszów lub przeinaczeń historycznych. Sprawa ciągnie się w nieskończoność. ■ *Radio Pekin* i kolońska rozgłośnia *Deutsche Welle* podpisały porozumienie o wzajemnej współpracy i wymianie dziennikarzy. ■ Winfried Lipscher, rzecznik prasowy *Deutsches Polen-Institut* w Darmsztacie, w liście opublikowanym na łamach warszawskiej *Polityki*: „miesięcznik *Polska* nie tylko w bardzo piękny i mądry sposób prezentuje swój kraj, ale od lat przyczynia się do budowy mostów między narodami; również z narodem niemieckim”. Podobno wydawanemu w kilku językach miesięcznikowi grozi likwidacja. ■ Polscy konserwatorzy prowadzą prace w 12 obiektach na terenie RFN. W Essen, Düsseldorfie i Wiesbaden czynna była wystawa ilustrująca działalność *Pracowni Konserwacji Zabytków*. ■ Polonijno-zagraniczna firma *Konsumprod* uruchomiła w Warszawie punkt serwisowy *Grundiga*. W firmie tej można naprawiać za złotówki aparaty telewizyjne i radiowe *Grundiga*, natomiast nowa aparatura jest sprzedawana wyłącznie w „twardych” walutach. Np. kolorowy telewizor kosztuje 2 tys. marek RFN. Okres oczekiwania na zakupiony towar — 8 tygodni. ■ Wychodzący w Düsseldorfie *Ost-Wirtschafts-Report* pisze, że 13 polskich koksowni liczy sobie po 50 lat, 33 poniżej 20 lat, jedynie koksownia w Zdieszowicach posiada nowoczesne urządzenia. ■ Znana firma proszków i innych przetworów spożywczych — *Oetker* z Bielefeld, otworzy własne sklepy w Warszawie, Katowicach i Krakowie. ■ Wydawana w Hamburgu przez *Sozialistisches Osteuropakomitee Osteuropa-Info* (nr 3/1981) opublikowała wielostronicowy wywiad z działaczami krakowskiego NZS-u Andrzejem Mietkowskim i Wojciechem Sikorą. Rozmowę przeprowadził Reinhold Vetter. ■ *Odziały Wartownicze i Techniczne przy US Army* przeprowadziły zbiórki pieniędzy w ramach *Akcji Pomocy Rodakom w Kraju*. Od poszczególnych jednostek i osób prywatnych wpłynęło 23 tys. marek. Członkowie *Komitetu* zakupili artykuły żywnościowe po najniższych cenach i wysłali je ciężarówką do diecezji tarnowskiej, do dyspozycji ks. bp. Jerzego Ablewicz. ■ *Instytut Badania Prawa Sądowego* patronował pracy zbiorowej pt. *Przedawnienie i ściganie zbrodni przeciwko pokojowi, zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości w systemie prawa RFN* (Materiały z konferencji naukowej. Warszawa, 28. IV. 1980 r.), która ukazała się obecnie nakładem *Wydawnictwa Prawniczego* (str. 80, nakład 800 egzemplarzy). ■ Władze NRD wydalili do Niemiec Zachodnich (sic!) dwóch popularnych pianistów polskich Wacława Kisielskiego i Marka Tomaszewskiego za noszenie odznak *Solidarności* podczas koncertów. Duet *Marek i Wacek* jest bardzo

popularny w NRD. ■ W Berlinie Wschodnim przebywała delegacja *Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej* z przewodniczącym *Zarządu Głównego* Jerzym Jaskiernią. Delegacja przyjęta została przez członka *Biura Politycznego*, sekretarza *KC NSPJ*, Paula Venera. ■ *Koło Robocze „Polen berichtet in deutscher Sprache”* (Polska o sobie w języku niemieckim) wyda niebawem *Bibliographisches Jahrbuch Polen* (Polski Rocznik Bibliograficzny). Adres redakcji: Udo Kühn, Postfach 3843, D-6200 Wiesbaden. ■ Marii Wawrykowej *Dzieje Niemiec 1789-1871* zostały przychylnie omówione przez Gottholda Rhode na łamach hamburskiego tygodnika *Die Zeit*. ■ *Polska awangarda* w zachodniobermiejskiej galerii *Witte-Baumgartner*; wystawiono obrazy olejne i grafikę Bronisława Kierzkowskiego, Henryka Stażewskiego, Magdaleny Wiecek (rzeźby), Ryszarda Winiarskiego i Macieja Szankowskiego (collage). ■ Witold Wirpsza zamieścił w bońskiej *Die Welt* artykuł omawiający twórczość Kazimierza Brandysa z okazji 65-iej rocznicy urodzin autora. ■ Opowiadanie Marka Nowakowskiego *Trauergeleit* (*In paradysum*) zostało nadane w formie monologu przez *Westdeutscher Rundfunk*. Reżyseria: Horst H. Vollmer; tłumaczenie: Klaus Staemmler. ■ W bońskiej galerii *Wilhelm Böhrer-Haus* zaprezentowano dorobek malarski (głównie krajobrazy i martwą naturę) Oskara Perlina z Warszawy, 70-letniego malarza i językoznawcy. Perlin pracuje równocześnie nad słownikiem niemiecko-hispańskim. ■ W końcu października dokonano otwarcia uruchomionego przez prorożymowy *Związek Polaków „Zgoda” Domu Polskiego* w Recklinghausen, w Zagłębiu Ruhry. *Dom Polski* pomysłany jest jako siedziba władz „Zgody” oraz ośrodek działalności kulturalnej i oświatowej. *Związek Polaków „Zgoda”* jest najliczniejszą organizacją polonijną w RFN. Sympatyzujący z komunistami *Związek* skupia w swoich szeregach sporą liczbę najnowszych przesiedleńców z Polski, a także posiadaczy paszportów uchodźczych należących równocześnie do rozpadającego się *Związku Polskich Uchodźców w Niemczech (ZPU)*. ■ W ambasadzie PRL w Kolonii dokonano dekoracji działaczy *Związku Polaków „Zgoda”*. Złotą odznaką *Orderu Zasługi PRL* otrzymał b. wieloletni prezes „Zgody” inż. Ignacy Łukaszczyk. Srebrne: J. Kociołek, M. Pajda, St. Tomaczek oraz A. Wojtera. Odznaki *Zasłużony dla Kultury Polskiej* wręczono: R. Kaczmarkowi i Fr. Lengowskiemu. ■ W październiku br. przybyło do RFN 6.463 przesiedleńców z Polski (wrzesień — 5.722). W bońskim *Bundestagu* uchwalono szereg nowych ustaw, które znacznie utrudniają emigrantom — poza osobami z krajów bloku wschodniego — uzyskanie azylu politycznego i prawa do pracy. ■ Na początku listopada br. na czarnym rynku w Warszawie płacono za markę zachodniemiecką 240-250 zł. ■ Polska drużyna piłkarska, po zwycięstwie 3:2 w Lipsku nad reprezentacją NRD, awansowała do finałów mistrzostw świata w Hiszpanii. Po przegranym meczu wschodniemieccy kibice nagle wywiesili transparenty z napisem *Arbeit macht frei...* Widocznie faworyt w tym meczu był przygotowany na wszystko. Georg Buschner, trener NRD-owski jedenastki, został natychmiast wyrzucony z pracy. Tak ostre komentarze wymierzonych przeciwko tak ważnej we Wschodnich Niemczech dziedzinie życia społecznego jak jest sport nie spotykało się dotąd ani w prasie, ani w radiu i TV. ■ Wice-minister handlu zagranicznego Władysław Gwiazda stwierdził na posiedzeniu sejmowej *Komisji Handlu Zagranicznego*, że „najtrudniejszym i najbardziej rygorystycznym partnerem jest NRD. Nierytmicznie nadchodzące stamtąd części zamienne do maszyn rolniczych, produkty chemiczne i rynkowe dodatkowo komplikują naszą fatalną sytuację gospodarczą”. ■ Kontakty KIK-u we Wrocławiu z *Bensberger Kreis* z Dortmundu uległy dalszemu zacieśnieniu; odbyło się od 1973 roku pięć wspólnych seminariów, na zmianę we Wrocławiu i Dortmundzie. Na wiosnę br. *Bensberger Kreis* rozpoczął akcję pomocy żywnościowej dla Wrocławia. W czterokrotnych transportach

przywieszono w sumie 86 ton żywności, w tym ok. 20 ton ożywek dla niemowląt. Zupełnie świadomie pominięto w tej akcji pośrednictwo *Kurii Metropolitalnej*; ofiarodawcom chodzi o kontakt bezpośredni — każda parafia dortmundzka przysyła dary dla konkretnej parafii wrocławskiej. ■ Od maja br. *Niemiecki Czerwony Krzyż* prowadzi zakrojoną na wielką skalę pomoc żywnościową dla Polski. Od tej pory, głównie drogą morską na pokładzie wahałdowo kursującego statku *M/S Ciechocinek* dostarczane są do Polski dary w postaci żywności, lekarstw i odzieży. Podczas ostatniego pobytu delegacji *Niemieckiego Czerwonego Krzyża* w Polsce ustalono, że dalsza pomoc obejmować będzie nadal artykuły żywnościowe, ponadto lekarstwa i materiały opatrunkowe. ■ Na XXXIII Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie nad Menem na stoisku londyńskiego wydawnictwa *Polonia Book Fund Ltd.* zaprezentowano obok własnych publikacji nowości Instytutu Literackiego z Paryża i niezależnych wydawnictw krajowych, m.in. *NOW-ej*, *Krakowskiej Oficyny Studentów*, *ABC*, *Spotkań*, *Głosu i Wydawnictwa im. Konstytucji 3 Maja*. Ekspozowano ponadto publikacje NSZZ „Solidarność”. Szczególną atrakcją stoiska stanowiły koszulki z napisem *NOWA — FRANKFURT '81* i przywieszone dużo wcześniej znaczki „Solidarności” z różnych regionów (kupowali głównie Amerykanie, Anglicy i Niemcy); Wiktor Woroszyński podpisywał na stoisku *Powrót do kraju* (*Polonia Book Fund Ltd.*), *Literaturę* (*Instytut Literacki*) i rosyjskie wydanie *Snów pod śniegiem* (*Overseas Publications Interchange Ltd.*). ■ Przebywający od dwóch lat w RFN rosyjski pisarz Lew Kopelew został podczas Targów wyróżniony przyznaną mu przez Gildię Niemieckich Wydawców i Księgarzy Nagrodą Pokoju (25 tys. marek). Laureatem tej Nagrody był w 1977 Leszek Kołakowski. ■ W ciągu 12 miesięcy zachodniemiecka sekcja międzynarodowej organizacji *PAX-Christi* wysłała do Polski 25 tys. paczek żywnościowych oraz zaopatrzyła sierociniec w sprzęt różnego rodzaju o łącznej wartości 500 tys. marek. ■ Handel RFN-PRL: eksport zachodniemiecki zwiększył się w 1980 roku o 8 %, osiągając kwotę 2,7 mld marek, import z Polski zaś wzrósł o 13 %, do kwoty 2,5 mld marek. ■ Prof. Helmut Ridder, przewodniczący *Towarzystwa Niemiecko-Polskiego*, oświadczył na dorocznym kongresie we Frankfurcie n/Menem, że szeroko prowadzone w RFN akcje wysyłek paczek żywnościowych do PRL „służą określonym celom politycznym”. Spośród 18 oddziałów *Towarzystwa* jedynie 8 popiera kurs polityczny Riddera, ustalany przez *Niemiecką Partię Komunistyczną* i *PZPR* (por. *Kronika niemiecka*, *KULTURA* nr 10/1981, str. 121). ■ Wiesław Kęcik, wybitny działacz „Solidarności Wilejskiej”, po dłuższym pobycie w Szwecji, Belgii, RFN, Francji, Anglii i USA zamierzał powrócić do Polski tranzytem przez CSSR. W miejscowości Rozvadov po stronie czeskiej został cofnięty na teren RFN „ze względu na działalność polityczną”, tak to argumentowała czeska straż graniczna. Kęcik posiadał ważny paszport służbowy i jak wszyscy inni obywatele PRL nie potrzebował wizy tranzytowej. ■ *Landkarte schwer gebügelt* (*Krajobraz źle wyprasowany*) nosi tytuł zbioru wierszy młodych poetów polskich, wydane przez Petera Rainę w zachodniobermberskiej oficynie *Oberbaumverlag*. Poezje, m.in. Stanisława Barańczaka, Jacka Bierozina, Lecha Dymarskiego, Lothara Herbsta, Juliana Kornhausera, Ryszarda Krynickiego, Antoniego Pawlaka, Barbary Sadowskiej, Witolda Sułkowskiego, Leszka Szarugi i Adama Zagajewskiego, tłumaczyli: Karl Dedecius, Maria Kurecka, Peter Lachmann, Peter Raina i Witold Wirpsza. Wydawca nie zapominał o dokładnych notach biograficznych. Książkę zdołał zebrać grafik Heleny Szackiej-Bohle. ■ Diemut Majer wydała w *Harald Boldt Verlag* (Boppard 1981, str. 1050) *Fremdvölkische im Dritten Reich* (*Cudzoziemcy w Trzeciej Rzeszy*). Autorka poświęca wiele miejsca prześladowaniu i zbrodniom popełnionym na obywatelach polskich. Cenna praca została opracowana głównie

na podstawie dokumentów znajdujących się w *Federalnym Archiwum* w Koblencji. ■ W RFN przebywała delegacja NSZZ „Solidarność” regionu Mazowsze na zaproszenie centrali zachodniemieckich związków zawodowych DGB. Delegacją kierował przewodniczący Zarządu Regionu i członek Komisji Krajowej — Zbigniew Bujak. Była to pierwsza podróż oficjalna przedstawicieli „Solidarności” do RFN. Polscy solidaryści interesowali się szczególnie tzw. *ustawą o współdecydowaniu*, tj. formami współudziału załogi w zarządzaniu zakładem. Planuje się zorganizowanie specjalnego seminarium poświęconego tej sprawie. Ustalono założenie wspólnej Grupy Roboczej „Solidarność” — DGB, która ma koordynować współpracę obu organizacji związkowych. Centrala DGB udzieli „Solidarności” pomocy finansowej na zakup sprzętu radiofonicznego w związku z zamierzonym uruchomieniem własnej radiostacji. ■ *Seminarium Marksistowsko-Leninowskie* utworzone z byłego *Katowickiego Forum Partyjnego* wystosowało list otwarty do Ericha Honeckera i innych przywódców KDL-ów z apelem o „udzielenie poparcia i pomocy” polskim komunistom w ich walce z „siłami kontrrewolucyjnymi”. List został ogłoszony w organie SED *Neues Deutschland*. ■ Na zaproszenie SPD-owskiej Fundacji im. Friedricha Eberta przebywała w RFN grupa reżymowych propagandystów, m.in.: Daniel Luliński (*Trybuna Ludu*), Wiesław Nowakowski (*Redakcja Analiz Prasowych*), Andrzej Rajzacher (*Polska Agencja Prasowa*), Konrad Kaszewski (*Wydział Prasy KC PZPR*) i Marek Bierut (*Polska Agencja Informacyjna*). Szkoda, że zachodniemieccy podatnicy nie wiedzą, co o nich wypisują ci dziennikarze funkcjonariusze! ■ Polska Rada Narodowa w RFN urządziła w Kolonii wspólnie ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów zebranie informacyjne dla najnowszych uchodźców. Mgr Tadeusz Folek, wiceprzewodniczący Rady, udzielił informacji na temat sytuacji prawnej osób, których wnioski o azyl został odrzucony. Dr L. Nawrocki z Uniwersytetu w Kolonii mówił o problemach i zahamowaniach w procesie adaptacji do nowego środowiska i sposobach ich pokonywania. Tadeusz Podgórski (PPS) wygłosił referat na temat sytuacji w PRL i perspektywach jej rozwoju. Lucjan Kopera (PSL) zapoznał ponad 200 obecnych Polaków z pracą i celami *Skarbu Narodowego*.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika austriacka

Lato 1981 było rekordowym okresem najazdu „turystów” z Polski. Od kwietnia do końca września bież. roku przez Austrię przewinęło się 80 tys. Polaków. Około 20 tys. zatrzymało się w Austrii, podejmując (nielegalnie) pracę; 9 tys. spośród nich zwróciło się do rozmaitych organizacji i władz z prośbą o umożliwienie im emigracji. Ludzie ci pragną się osiedlić przede wszystkim w Ameryce, Australii, Kanadzie, Nowej Zelandii i Afryce Południowej. ■ Wobec natłoku kandydatów Ameryka, Nowa Zelandia i Kanada usprawniły procedurę imigracyjną: od pierwszego interview do wyjazdu upływają 3-4 tygodnie. ■ Ponieważ obozy przejściowe dla uchodźców nie są w stanie wszystkich pomieścić władze wydzierżawiły w Tyrolu, Karyntii i Górnej Austrii ponad 60 pensjonatów, w których umieszczają

wyjeżdżających (małżeństwa i rodziny wieloosobowe) na warunkach pensjonariuszy z pełnym wyżywieniem. Koszty pokrywają organizacje emigracyjne i rząd Austrii. ■ Procedura wyjazdu wymaga rozmów w Wiedniu. Ludzie wyjeżdżający do Wiednia z pensjonatów otrzymywali na drogę suchy prowiant. Niestety Polacy byli niezadowoleni z tego i w ambasadzie USA wyrzucili do koszu 200 paczek nawet nie rozpakowanych. Pracownicy ambasady i prasa amerykańska skomentowali ten fakt z oburzeniem. ■ Austriacy odnoszą się do uchodźców ze współczuciem i sympatią. Zorganizowano zbiórkę odzieży, pieniędzy itd. W Caritasie (zajmującym się rozdzielaniem darów) musiano jednak wywiesić karteczkę z przeproszeniem, że „nie dysponuje się odzieżą nową, a tylko używaną”, Polacy bowiem używanej odzieży nie przyjmowali. ■ W masie uchodźców trafiają się rozmaici ludzie. Był i amator, który wracał z urlopu we Włoszech najnowszym Mercedese z domkiem campingowym i łodzią motorową. Wyposażenie to wywoził z kraju legalnie. ■ Zdarzył się niemiły i budzący nieprzychylny komentarze wypadek, mianowicie grupka młodzieży zgłoszonej na wyjazd po trzech miesiącach pobytu w pensjonacie na koszt funduszu emigracyjnego podjęła decyzję powrotu, impertynencko dziękując „za miłe wakacje za darmo”. Ta forma wakacji na koszt Austrii nie przynosi sławy Polakom. ■ Australijczycy, którzy darzą Polaków dużą sympatią (dzieciństwo po wspomnieniach ojców walczących ramię w ramię z Polakami w drugiej wojnie światowej), opowiadają dowcip o emigrantach: W Australii wsadzono pod oddzielne klozce rozebranych do naga Polaka, Czecha i Węgry. Po miesiącu klozce podniesiono: Czech już nie żył. Węgier jeszcze siedział na krześle. Polak zaś przyzwicie ubrany, z fajką w zębach, sączył whisky, a obok słała pełną parą mała fabryczka... Dużo w tym uznania dla polskiej przedsiębiorczości. ■ Jak wynika ze statystyk policji, przedsiębiorczość ta ma jednak w Austrii często cechy przestępczości (która wzrosła wśród Polaków tego lata o 12 %-15 %). Na szczęście nie dotyczy to wszystkich. Np. na Kärntnerstrasse, w samym sercu Wiednia, tłum ludzi słucha starych tang z lat 20-tych. „Tango Milonga”, „Titina, ach Titina”, repertuar chóru Dana, Pogorzelska... Wszystko po polsku. Ludzie są zasłuchani, a futerał od skrzypiec pełen banknotów. To świetny „Kwartet polski” porwał Wiedeńczyków. Tutaj jest to uznana forma zarobkowania studentów. ■ Sztuka Romana Brandstaettera „Bolesław Pokutnik” została wystawiona we wspaniałej scenarii kościoła Minorytów w Wiedniu w dobrej obsadzie aktorskiej z Józefem Mainradem na czele; cieszyła się dużym powodzeniem, a w listopadzie weszła na ekrany telewizji austriackiej. ■ Claudia Matussek, młoda malarka i graficzka, wnuczka Polki podkreślająca swoje polskie pochodzenie, 30 października br. otworzyła swoim wernisażem „Mały warsztat” nową galerię w Wiedniu przy Langegasse 51. Prace jej cieszą się dużym powodzeniem, a ona sama wspólnie z dwiema przyjaciółkami ma zamiar stworzyć pracownię rysunku dla dzieci. ■ W Wiedniu otwarto przy Augartenstrasse nową polską restaurację z typowo polskimi przysmakami. Właścicielką jest Polka. Atmosfera domowa, ceny przystępne, muzyka ludowa i stare przeboje polskie z lat międzywojennych. ■ Na pchlim targu działa w każdą sobotę stoisko Komitetu Solidarności z „Solidarnością”. Komitet informuje o sytuacji w Polsce, podejmuje akcje zmierzające do nawiązania oficjalnej współpracy między związkami zawodowymi Austrii a „Solidarnością”, wydaje periodyk *Polen-Information* w języku niemieckim i *Polskie wiadomości* w języku polskim. Redaktorem jest Waldemar Stempowski, redaktorem odpowiedzialnym, właścicielem i wydawcą Heinz Laubreuter (1170 Wien, Kalvarienbergg. 46/12). Komitet organizuje akcje uliczne, imprezy kulturalno-artystyczne, prowadzi sprzedaż płyt (nagrania piosenek z 1980 r.), koszulek z emblematami „Solidarności”, emblematów, książek, gazet. ■ Staraniem oo. Zmartwychwstańców został odnowiony

kościółek polski i kaplica Sobieskiego na Kahlenbergu z herbami uczestników „Potrzeby wiedeńskiej” oraz freskami prof. Rosena ze Lwowa. W rocznicę odsieczy Wiednia odbyła się msza św. celebrowana przez Polaka, generała oo. Zmartwychwstańców z Chicago. W uroczystościach wzięło udział kilkaset osób. OO. Zmartwychwstańcy otworzyli w Wiedniu dużym nakładem kosztów ośrodek polski przy kościele polskim na Rennwegu. Ośrodek, który ma zasobną bibliotekę, salę widowiskową, jadalnię (i dobrze prowadzoną kuchnię) stał się skupiskiem Polaków. Księża prowadzą akcję duszpasterską na terenie Wiednia i całej Austrii oraz służą pomocą wyjeżdżającym. ■ Na terenie Austrii działa, jako duszpasterze, grupa polskich księży (ponad 60 osób), sprawowanych tutaj wskutek niedoboru księży austriackich. Księża pełnią obowiązki kapłańskie po niemiecku i po polsku. ■ W Wiedniu utworzony został Austriacko-Polski Komitet Obchodów 300-lecia Odsieczy Wiednia. Komitet ma charakter rządowy, w skład jego wchodzi członkowie rządów obu państw. Komitet podjął uchwałę wzniesienia w Wiedniu pomnika Jana III Sobieskiego. Pomnik stanie na jednym z największych placów wiedeńskich, przed kościołem Wotywnym. Obchody odbędą się w 1983 roku. ■ SPK Wiedeń podjęło wraz z SPK Linz i ZPGA Linz akcję zmierzającą do umieszczenia w katedrze św. Stefana w Wiedniu ocalałej po bombardowaniu sowieckim w drugiej wojnie postaci Jana III Sobieskiego na dawnym miejscu obok Innocentego XI i Leopolda cesarza Austrii. Austriacy nie umieścili rzeźby na właściwym miejscu, twierdząc, że przepadła w bombardowaniu, tymczasem stoi ona w katakumbach i niszczy. ■ Przyjazd papieża Jana Pawła II w 1983 roku do Wiednia (obchody 300-lecia odsieczy) nada tym uroczystościom światowy rozgłos i przy tej okazji będzie można łatwiej i szybciej załatwić wiele polskich postulatów. ■ Na światowy Zjazd Rady Koordynacyjnej Polonii w Rzymie wyjechał mgr Andrzej Balko, przewodniczący Rady Koordynacyjnej w Austrii. ■ Delegatem na światowy Zjazd SPK w Londynie został wybrany Jerzy Wandel, wieloletni (1939-1945) więzień obozów koncentracyjnych, b. prezes SPK Wiedeń. ■ Koło SPK w Linzu i Związek Polaków w Górnej Austrii prowadzą pod przewodnictwem W. Poszytki ożywioną działalność. Razem z lokalnym ośrodkiem polonijnym otworzyli nowy klub, urządzili wystawę „Katyń” oraz wycieczkę do Rzymu, na Monte Cassino, do Mediolanu i Florencji. ■ Filmy Wajdy „Człowiek z marmuru” i „Człowiek z żelaza” szły w kinach wiedeńskich przy wyprzedanej widowni, a następnie weszły na ekrany telewizji. Gombrowicza „Operetka” jest obecnie sensacją, po „Białym Małżeństwie” Różewicza. Mroźek od kilku sezonów nie schodzi ze scen. ■ Rycerze Maltańscy w Wiedniu przekazali do Polski kilkadziesiąt ton żywywek dla dzieci, żywności i leków. ■ Austriacka Organizacja Pomocy Dzieciom wysłała stale do Polski tony żywywek i lekarstwa, które przewozi własnymi samochodami.

Marian GOMUŁKA

Kronika kulturalna

Herling-Grudziński - emigracja heroiczna

Nie wozi się piasku na Saharę. Ani przedstawia pisarza czytelnikom, którzy towarzyszą mu od wielu lat. A takich, skoro mowa o Gustawie Herlingu-Grudzińskim, jest tu większość. Kiedy zgłaszałem moją kandydaturę do krótkiego zagajenia tego wieczoru poświęconego jego twórczości, chciałem więc tylko spłacić dług, jaki wszyscy zaciągnęliśmy wobec autora *Innego świata*, *Drugiego przyjścia* i *Dziennika pisanego nocą*, by wymienić tytuły, które zdają mi się najważniejsze. Chciałem wypowiedzieć publicznie o jego pisarstwie kilka myśli, które — choć powinny były być już dawno wypowiedziane — wypowiedziane chyba nie zostały, a jeśli nawet zostały — to nie dość głośno. Ale historia potrafi w naszych czasach wyprzedzać wszelkie zamiary, a nawet, choć rzadko, robić radosne niespodzianki. Nim doszło do dzisiejszego wielokroć przekładanego spotkania, w *Tygodniku Powszechnym* (z 19 lipca br.) ukazał się piękny esej Wojciecha Karpińskiego, który otwiera, miejmy nadzieję, perspektywę uprząstęczenia książek Herlinga czytelnikom w kraju i uczynienia z jego prozy przedmiotu studiów wyznaczających jej miejsce w literaturze polskiej drugiej połowy naszego wieku.

Kluczem do tej prozy jest dla mnie *Książe nieśmiony* z tomu *Drugie przyjście*. Wybór to osobisty, jak każdy wybór tego rodzaju, ale chyba nie całkiem bezzasadny. Umieszczone — z wyjątkiem zakończenia — w 1947 roku na Capri, opowiadanie ukazuje różne postawy zajmowane przez Włochów w czasach faszyzmu wobec faszyzmu. Na pierwszym planie — dwie postaci: książę Santoni, przez dwadzieścia lat dobrowolny więzień swego pałacu na Capri właśnie, nieprzejednany w sprzeczności ale dający mu wyraz tylko myślą i słowem wypowiadany prywatnie, oraz pisarz i polityk Battaglia, świeżo po powrocie z emigracji, którą

spędził w Anglii, zwalczając rządy Mussoliniego. Herling udziela swego pióra ich skłóconym racjom i przybliża je czytelnikom, co tym bardziej przejmującą czyni polityczną i życiową klęskę, która staje się udziałem obu emigrantów: wewnętrznego i zewnętrznego. Książę Santoni, po bezowocnej próbie oddziaływania na odradzające się włoskie życie publiczne, zamyka się ponownie w swej samotni, by wkrótce potem umrzeć. Przemówienie nad jego grobem wygłasza pojednany z nim ostatecznie Battaglia, również nie umiejący przystosować się do odnalezionego kraju i o którym literaci włoscy mówią, że „nie rozumie życia dzisiejszych Włoch i po dwudziestu latach emigracji pisze językiem dziwnie sztucznym i drewnianym”. Kwitnie natomiast inna postać wspomnianą kilkakrotnie w opowiadaniu: Ezio Malatesta, w czasach Duce pisarz dworski, acz z okresami głębokiej niechęci, po upadku faszyzmu wprasający się bez godności do obozu zwycięzców. Opuszczamy go bawiącego w gronie gwiazd filmowych z Cinecittà, podczas gdy w kawiarni po przeciwnej stronie ulicy siedzi przy swym stoliku samotny Battaglia.

Jest to więc z pozoru swojskie włoska historia, osadzona we włoskim pejzażu i z czysto włoskimi realiami. Jej bohaterowie są zresztą wzorowani na postaciach rzeczywistych: Malatesta — to, oczywiście, Malaparte; Battaglia — to po trosze znany historyk Gaetano Salvemini, po trosze zaś — pisarz i działacz socjalistyczny Ignazio Silone; książę Santoni — to Benedetto Croce. W całym opowiadaniu nie ma żadnej aluzji do Polski. A raczej jest tylko jedna, łatwa do przeoczenia: data umieszczona pod tekstem, 1956. Polska przypominała wtedy Włochy po upadku faszyzmu, a problemy Battaglii po powrocie z emigracji miały ostrość, jaką odzyskały ponownie w ciągu ostatniego roku. Herling pisał o Silonem-Salvemini, a myślał zapewne o sobie, pokazując z samowiednym okrucieństwem klęskę emigrantów, którzy bronili dawnych zasad i wartości moralnych, podczas gdy ludzie, przez sam fakt życia w nowym ustroju, stawali się po prostu inni niż byli poprzednio: zmieniali słownictwo, przyzwyczajenia, lojalności.

Odczytany z tej perspektywy, *Książe nieśmiony* nie jest już historią swojskie włoską. Należy raczej do polskiej literatury rozrachunkowej z okresu października 1956, z tą osobliwością wszelako, która stanowi o jego wyjątkowej pozycji, że rachunek jest tu wystawiany nie władzy lecz społeczeństwu. Ze pytanie dotyczy tego, za jaką cenę żyło się, robiło kariery, wydawało książki i spędzało przyjemnie czas w faszystowskich Włoszech — i w Polsce realnego socjalizmu w jego młodzieńczym i ludożerczym wydaniu. I tego, co zostało na trwałe w postępowaniu i myśleniu z nawyków urobionych w tym okresie. Są to pytania wybitnie przykre i których nie zadał, jak mi się zdaje, żaden pisarz polski poza Herlingiem; „literatura rozrachunkowa” była przesycona współczuciem autorów dla samych siebie i pełną okoliczności łagodzących. Ale w świecie Herlinga nie ma okoliczności łagodzących. A ucieleśniony w postaci Malatesty życiowy

* Zagajenie wieczoru autorskiego G. Herlinga-Grudzińskiego w Centre du Dialogue w Paryżu 25 września br.

punkt widzenia z właściwym mu premiowaniem umiejętności przystosowania się do warunków, jest konsekwentnie odrzucany przez całą jego twórczość w imię wierności zasadom i wartościom moralnym, której dochowanie jest jedynym zwycięstwem prawdziwie godnym tego miana. W tym sensie zwycięzcami moralnymi pozostają Santoni i Battaglia, jak pozostają nimi pokonani życiowo bohaterowie Conrada, dla których zwycięstwem jest samo spełnienie obowiązku.

Włochy i Polska. W prozie Herlinga obecne są dwa krajo-brazy, które nakładają się na siebie i przechodzą jeden w drugi. „Ginie się albo przynajmniej nijakieje bez miłości do miejsc zakreślonych wąskim rzekomo horyzontem” — pisze. Uczucie to odnajduje się zarówno w opisach Dragoniei, wioski na południu Włoch, z którego uczynił część obszaru należących odtąd do literatury polskiej, jak we wspomnieniach Kielecczyny, wracających niekiedy we śnie, niekiedy zaś przeświecających jak gdyby przez inne widoki. I odnajduje się je, przemieszane z odrazą, chwilami może nawet — nienawiścią, ale przytłumioną przez fascynację, w opisach Neapolu: ulic, mostów, cmentarzy, a zwłaszcza mieszkańców. Ale Włochy i Polska w pisarstwie Herlinga — to również dwie historie, z których, choć tak różne, wydobywa głębokie podobieństwa, jak właśnie w *Księżu nieśmiałym*. To przede wszystkim — faszyzm i socjalizm realny, dwie odmiany totalitaryzmu, który jest naczelnym tematem całej twórczości Herlinga.

Czytamy w *Dzienniku pisanym nocą*: „W przysłanym z kraju memoriale wciąż draży mnie jeden fragment. Mowa o repatriacji Polaków z ZSSR w latach 1957-1958, na mocy umowy Gomułka-Chruszczowa. Repatriacja ta, w przeciwieństwie do poprzedniej z lat 1945-1955, obejmowała także więźniów i zesłanych. Terenowe władze sowieckie sabotowały ją wyraźnie, toteż (piszą autorzy memoriału) 'do Polski wróciło wtedy tylko parę procent Polaków, około 50.000 ludzi, licząc razem wolnych, więźniów i zesłanych; reszta została na zawsze, gdyż teraz tylko jednostki jakimś cudem mogą wrócić; przed pięciu laty wrócił z obozu..., aresztowany w roku 1939 jako dwudziestoletni młodziwiec: cień człowieka, kręgosłup ma zgięty w pół, usta zamknięte, milczące, jest schorowany, zdziwaczały, nie chce nikomu dać swego adresu; pozostały mu tylko piękne rysy twarzy”.

Polski Sołżenicyn, — komentuje Herling — gdybyśmy takiego mieli, napisałby powieść o tym, co 'nie chce nikomu dać swego adresu'.

W tym *Dzienniku*, jakże powściągliwym gdy chodzi o sprawy osobiste, chwilami może aż nazbyt zdyscyplinowanym, na antypodach Gombrowicza, jest to dla mnie jeden z najbardziej wstrząsających zapisów. Rozumiem, że Herlinga drażyła i musiała drażyć wizja tego więźnia, który wychynął z jakiejś wyspy archipelagu Gułag: to przecież mógłby być on sam, gdyby nie wyrwał się z łągru, stawiając wszystko na jedną kartę i pode-

ując głódówkę. Taki mógłby być jego życiorys, gdyby nie zdołał opuścić na czas *Innego świata*, by następnie wystawić jego ofiarom pomnik godzien stanąć obok najwybitniejszych arcydzieł prozy rosyjskiej podejmujących ten sam temat, zaś w literaturze polskiej nie mający chyba żadnego odpowiednika. Po dziś dzień pamiętam moje pierwsze spotkanie z tą książką, ćwierć wieku temu w pewnym warszawskim mieszkaniu.

Moralizm Herlinga, jego aprobata dla postawy księcia niezlomnego, jego odmowa uznawania okoliczności łagodzących, słowem, jego bezwzględność, którą należy brać również w znaczeniu filozoficznym jako przeświadczenie, iż są nakazy obowiązujące każdego, zawsze i wszędzie — wszystko to jest zakorzenione w doświadczeniu *Innego świata* i w nieustannym pamiętaniu o jego istnieniu obok nas. To jego obecność określa naszą epokę i kształtuje jej znamienne rysy. To ona sprawia, że *Dziennik Herlinga jest pisanym nocą*. Jak postępować w świecie totalitarnym? Jak żyć w jego nieustannym sąsiedztwie? Cała twórczość Herlinga jest odpowiedzią na te pytania. W tym sensie, a dotyczy to zwłaszcza *Innego świata*, jest ona wielką polemiką z Borowskim, którego pisma i losy stanowią jak gdyby negatyw pism i losów Herlinga: powrót do kraju, zamiast wyboru emigracji heroicznej, i postawienie się na usługi stalinizmu zakończony samobójstwem. Można różnie czytać pisma Borowskiego; dla Herlinga są one, jak życie ich autora, przejawem moralnego nihilizmu. „Myślę, — pisze — że 1 lipca 1951 roku otworzył kurek od gazu, zrozumiawszy jasno, że jest przepalony do cna nicością absolutną, niezdolny już do szukania ratunku w niczym; ani w 'jadrze' ukrytym niegdyś głęboko w sobie samym, ani w wierze w Boga. Może tylko przemknęło mu przez głowę: okazuje się, że z dwójga złego znośniejsze jest 'nic' ofiar niż 'nic' prześladowców. Jego samobójstwo nie było męczeństwem lecz wyzwoleniem. I dowodem, który byłoby mu najtrudniej uznać, że istnieją jednak jakieś 'ludzkie wartości' i że nie takie to proste wyrzucić je na złom”.

Zapis ten pochodzi z 3 lutego 1976 roku i odsyła do noty napisanej na marginesie *Pożegnania z Marią* przed dwudziestu ośmiu laty. Nic nie ilustruje lepiej ciągłości myślowej i artystycznej pisarstwa Herlinga, tożsamości podejmowanej przezeń problematyki moralnej streszczonej w zdaniu z *Innego świata* przywołanym w *Dzienniku* i przytoczonym również przez Karpńskiego. Oto ono w pełnym brzemieniu: „Przekonałem się wielokrotnie, że człowiek jest ludzki w ludzkich warunkach, i uważam za upiorny nonsens naszych czasów próby sądenia go według uczynków, jakich dopuścił się w warunkach nieludzkich — to jakby wodę można było mierzyć ogniem, a ziemię piekłem”. Nie jest to pochwała relatywizmu moralnego lecz potępienie tych, którzy ujrawszy do czego ludzie są zdolni w warunkach nieludzkich wnoszą, iż wyczerpuje się w tym prawda o człowieku jako istocie zasadniczo niemoralnej, zespole czysto zwierzęcych odruchów. Herling przeciwstawia temu swe widzenie w

człowieku wartości, kruchej zapewne, zagrożonej przez historię — i przez przyrodę: temat niezwykle opowiadania *Gruzy w Kulturze* 7/8, 1981 — ale niemniej jednak realnej. I sprawiającej, że z dwojga złego lepiej być ofiarą niż prześladowcą.

Nie zdziwią się Państwo, jeśli stawiając kropkę nad „i” powiem na zakończenie, że uważam Gustawa Herlinga-Grudzińskiego za jednego z najwybitniejszych pisarzy polskich drugiej połowy XX wieku.

Krzysztof POMIAN

Wrzesień 1981

Zofia Romanowiczowa o sobie

Tak się złożyło, z najrozmaitszych powodów, że chociaż nie jest to pierwsza w życiu nagroda literacka, którą miałam szczęście otrzymać, po raz pierwszy wyróżnienie takie odbieram osobiście. Tym większa dla mnie emocja. Nagroda literacka to coś w rodzaju matury zdanej — jak sama nazwa wskazuje — z piśmiennego. Niektórym dane jest i na „piśmiennym” i na „ustnym” dobrze sobie radzić. Mnie, niestety, nie. We wszystkich egzaminach zawsze piśmienny ratował mnie z opresji, dodawał tyle zapasowych punktów, by ustny nie był całkowitą wpadką. Do tego stopnia, że któryś z moich ongiś profesorów sorbońskich, jak najlepiej do mnie na podstawie wyników z piśmiennego usposobiony, powiedział mi na ustnym: cóż pani tak przede mną drży, jak Esterka przed Cyrusem?

Aby więc nie drżeć dzisiaj jak Esterka przed całym aeropagiem Cyrusów, choć państwo przecież swoi, choć wiem, że mi życzliwi, przygotowałam sobie ściągaczkę. Ściągaczkę? Dzisiaj? Żeby powiedzieć: dziękuję? No, ale co robić, gdy należy się do kategorii Esterek, co wcale nie mija z wiekiem.

Dziękuję więc. Dziękuję w imieniu książki pod tytułem „Skrytki”. A równocześnie dziękuję w moim własnym imieniu, osobiście. Dlaczego takie rozróżnienie?

Gustaw Flaubert powiedział kiedyś: pani Bovary to ja. Czy mogłabym za nim powtórzyć: „Skrytki” — to ja? Dwa, trzy lata temu, gdy byłam w trakcie ich pisania, zapewne tak. Dziś — już nie całkiem. Nagrodę przyznaną tej książce odbieram więc niejako *per procura*, w imieniu czegoś, co owszem, przyszło na świat za moją przyczyną, ale co od tamtej pory prowadzi — powinno prowadzić — życie niezależne.

Raz mi się udał tytuł. „Skrytki” pełne są najrozmaitszych,

własnych i cudzych skrytek. Sądząc po reakcjach na nie, wydaje mi się czasem, że zmieściłam w nich nie jedną, a parę zupełnie rozmaitych książek. W każdej z nich tkwiłam, otwierały się przede mną w momentach twórczej łaski, zatrzaśkiwały się na długie okresy zwątpienia. Dziś nie potrafiłabym już ani ich zacząć, ani skończyć. To tak jak z domem, który się zbudowało. Przestaje należeć do architekta, choć nadal nosi jego nazwisko. Należy do tych, co w nim zechcą zamieszkać, do tych, co go własnym kluczem otworzą.

Wcale to nie znaczy, że się „Skrytek” wyrzekam. Przeciwnie, są dla mnie zachętą i talizmanem. Ta książka ma szczęście, ma nawet — co ważniejsze — szczęście w nieszczęściu. Ukazała się w momencie, gdy na nas wszystkich spadło tyle doraźnych wstrząsów i problemów, że wydawało się — napór aktualności odsunął na bardzo daleki plan tego rodzaju tematykę, właściwie pozaczasową. A jednak to właśnie „Skrytki” wprowadziły mnie znowu do kraju, po wielu latach cenzurowego zapisu i — jak to stwierdzam po relacjach i recenzjach — wcale tam nie są wyobcowane.

Już w czasie swego długiego i trudnego powstawania „Skrytki” miały szczęście. Podpierał je nieustannie i zachęcał do kontynuowania pracy nad nimi Tymon Terlecki, który przede mną w tę książkę uwierzył. Nie ma go tutaj, ale byłabym niewdzięczna, gdybym mu za to dzisiaj głośno nie podziękowała.

W naszych warunkach, tutaj, napisać książkę to jeszcze nic. Znaleźć wydawcę, to dopiero sztuka. Jeżeli „Skrytki” — jak stwierdzam — w czepku się rodziły, czeppek ten jest koloru tych oto okładek. Jerzy Giedroyc, przyjmując je do swej kolekcji, zrobił dla nich — i dla mnie — wielką rzecz.

No, a dzisiejsza nagroda? Jakiego więcej dowodu potrzeba na to, że mam ze „Skrytkami” szczęście?

Po tych szczerych, a dzięki mej ściągaczce nie jękających się podziękowaniach, niemniej szczerze zdumienie. Nie brońmy się uczuciu zdziwienia, ono ożywia.

Zastanówmy się: to nie jest taka zwykła rzecz, fakt, że dzisiaj, w półtora, w dwa pokolenia po wojnie, tutaj, na obczyźnie, wciąż jest Związek Pisarzy Polskich, że przyznaje nagrody, że ma komu i za co przyznawać nagrody literackie. Że jesteście, pisarze, że tworzymy, że mamy czytelników. Że poprzez wszystkie trudności, poprzez różnice bytowe, jesteśmy w kraju nie tylko odbierani, ale coraz bardziej pożądanymi i potrzebni. Przecież dawno powinno nas nie być.

Czynnikiem, podstawą, materią tego przetrwania jest język. Opuściliśmy ziemię, tak zdecydował los, pozostaliśmy w języku, w kulturze. Ta wspólnota ważniejsza jest od fizycznego obcowania.

Tutaj cytata olbrzymiej doniosłości, którą sobie kiedyś na gorąco wynotowałam, nie myśląc, że mi się przyda w takich jak dziś okolicznościach. Myślę, że Państwo ją rozpoznają:

„Należę do narodu, który przeżył najcięższe doświadczenia historii, który przez sąsiadów swoich został skazany na śmierć wielokrotnie, ale który przeżył i pozostał sobą. Zachował on swoją identyczność i zachował, mimo rozbiorów i obcych okupacji, swoją narodową niezależność nie poprzez opieranie się na sile fizycznej, a poprzez opieranie się na swej kulturze. Kultura ta okazała się w końcu większą siłą niż wszystkie inne siły”.

Ten fragment przemówienia papieskiego w UNESCO odebrałam w specjalny sposób. Do nas to było także kierowane, do mnie, do nas tutaj, piszących po polsku wbrew rozsądkowi i logice, wbrew — i to jakim — trudnościom, piszącym tak, jak kto potrafi, na taką skalę, na jaką kogo stać, ale przecież przyczyniających się małym czy większym kamieniem słowa, książki, do podpierania tamy chroniącej nas przed unicestwieniem. Kultura, język, wspólna nasza forteca, jedyny sposób na przeżycie.

Ten fragment jednego z najważniejszych przemówień papieskich wywołał we mnie wtedy, równolegle, z pamięci, wiersz, wierszyk właściwie pewnej młodej dziewczyny, pisany w 1941 roku. Była skazana na śmierć. W naszych biografiach nic oryginalnego.

*Najbardziej jest mi szkoda nie lat mych młodościowych,
Nie matki, ani ciebie. Nie świata, nie wiosen,
Lecz pieśni, która we mnie zagrożona dźwięczy
I czeka, że ją stąd wyniosę.*

*I najciężej mi będzie umrzeć z myślą ową,
Że salwa, co mym ciałem śmiertelnie zatarga,
Zabije razem ze mną nie wyklute słowo
Zanim mi się urodzi na wargach.*

W jakiś sposób dziecinne te strofy współbrzmiały echem z fragmentem papieskiego przemówienia w UNESCO. Zdradzają tę samą troskę, tę samą hierarchię ważności. Przeżyć — by uratować słowo. To się dopiero liczy.

A więc — jeśli Państwo pozwolą — na ręce tej dziewczyny, którą kiedyś byłam, dzisiejszy honor składam. Ona by to dopiero umiała docenić, ona by dopiero była szczęśliwa, gdyby istniały przeczucia i gdyby wtedy, na ravenbrückim apelu rozrywanych odgłosami salw, gdyby mogła — no właśnie — gdyby mogła przeczuć, że nie tylko przeżyje, ale i że będzie pisała.

W jej imieniu głównie dziękuję.

Zofia ROMANOWICZOWA

Londyn, 26 października 1981

Polemiki

Fribourg, 16 października 1981.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Mało artykułów w *Kulturze* — obfitującej przecież w doskonałe rzeczy — wywołało u mnie taki entuzjazm, jak ostatnie studium Lipskiego o dwóch patriotyzmach. Nie tylko z serca mi wyjął wiele myśli — tak np. o Żydach — ale wszystko co pisze jest napisane z umiarem i wielką wiedzą. Wypada gratulować Autorowi i Redakcji *Kultury*. Może wolno jeszcze powiedzieć, że czytając go doznałem uczucia dumy narodowej: że skoro stać nas na taką autokrytykę, musimy przecież być narodem wielkim, a nie, jak to by się nieraz zdawać mogło, czymś w rodzaju dzikiego szczepu murzyńskiego.

Ale, kiedy pierwsze entuzjastyczne wrażenie minęło, nasunęły mi się myśli krytyczne, coś, co razem wzięte mogłoby wyglądać na rodzaj apologii kołtuństwa narodowego. Oto owe myśli apologetyczne, spisane na gorąco, do dyskusji:

1. Autor oskarża Polaków o megalomanię i ksenofobię, przesadne mnieśnienie o własnym narodzie i pogardę dla innych. Niewątpliwie słusznie, jeśli o masy chodzi. Ale czy wszyscy Polacy zajmują taką właśnie postawę? Moim skromnym zdaniem nie tylko nie wszyscy — sądzę, że wielu Polaków jej nie zajmuje, że myślą i czują tak mniej więcej jak Lipski. Może się mylę, może miałem wyjątkowe szczęście mieć do czynienia z ludźmi posiadającymi pewne wykształcenie i rozsądek. Ale wrażenie odniosłem właśnie takie: *nieprawdą jest by wykształceni i rozsądni Polacy byli wszyscy kołtunami*.

2. Co więcej, jestem przeświadczony, że u większości Polaków przeważają w tym względzie nie kompleksy wyższości, ale, wręcz odwrotnie, bardzo bolesne poczucie niższości wobec obcych. Wobec Niemców przede wszystkim, ale także wobec Moskali i tak dalej aż do Czechów, mimo całego werbalnego tromtadactwa. Dotyczy to oczywiście przede wszystkim intelektualistów. Brzmiały mi jeszcze w uszach gorzkie słowa mojego śp. brata Adolfa, wracającego z Francji, o straszliwym ubóstwie duchowym Warszawy w porównaniu z Paryżem. Ale nie tylko intelektualistów. Odnoszę wrażenie, że *większość Polaków cierpi pod względem narodowym na kompleksy niższości*.

3. Mimo to wydaje mi się, że należy przyznać Autorowi rację, gdy twierdzi, że masy polskie wyznają na ogół opisaną przez niego mitologię. Myślę, że chodzi tu o odruch obronny grupy narodowej, która, straszliwie bita po głowach w ciągu długich okresów, musiała wytworzyć taką właśnie mitologię, aby móc przeżyć — bez niej — bez „wieszczów”, Sienkiewiczów i tym podobnych byłaby zapewne nie przeżyła. Na moskiewską potrzebę w 1920 roku wzięłem ze sobą tomik „Pana Wołodźjowskiego”. Czytaliśmy go przed szwadronem na postojach na Ukrainie. Kto widział twarze zasłuchanych ułanów, ten wie, że Sienkiewicz w wielkiej mierze stworzył polską

kawalerię tych czasów — że jego (i podobne) *mitologie* były nieodzownym narzędziem naszych czynów narodowych.

4. Zadają sobie pytanie, czy zachodzi zasadnicza różnica między megalomanią polską, a podobnymi zjawiskami u — powiedzmy — Niemców, Francuzów czy Anglików. Bo Lipski zgodzi się chyba ze mną, że o szczególnej skromności narodowej u członków tych narodów — wyjąwszy znowu intelektualistów — trudno mówić. Różnica polega może tylko na tym, że u tamtych narodów megalomania i ksenofobia są mniej niż u Polaków kompensacyjne, że są bardziej autentyczne. W każdym razie oskarżanie Polaków o szczególnie wielką megalomanię i szczególnie zjadliwą ksenofobię jest chyba bezpodstawne.

5. Uwaga natury ogólnej: masy narodowe potrzebują, jak powiedziałem, mitów, aby żyć i działać. Intelektualiści wiedzą, że to mity i od czasu do czasu zbiera ich ochota „odbrązowiania”, wykazania kołtunom, że wierzą w mity. Istnieje nawet swoista deontologia nakazująca im tak postępować. Co do mnie myślę — i wydaje mi się, że uczeni socjologowie poprą mnie pod tym względem — że takie *odbrązowianie jest rozkładaniem grupy społecznej*. W gnijącym trupie zwierzęcy są ośrodki szczególnie intensywnego rozkładu. Takimi gnilkami jesteśmy w społeczeństwach, my, intelektualiści, czy to się nam podoba, czy nie.

6. Wreszcie hipoteza wyjaśniająca zajęcie takiego stanowiska przez Autora. Faktem jest, że jest między Polakami mało prawdziwych intelektualistów (aby nim być nie wystarczy mieć tytuł magisterski!). Stąd bodaj jego wrażenie powszechnego kołtuństwa, a więc i megalomanii i ksenofobii.

Ale jakkolwiek by z tym było, chcę raz jeszcze gratulować i dziękować za świetny artykuł.

I. M. BOCHEŃSKI

LIST DO JANA JÓZEFA LIPSKIEGO

Berlin, 17 października 1981 r.

Kochany Janku,

Dzięki Tobie serdeczne za artykuł w ostatniej (nr 10/1981) *Kulturze*. Tym bardziej dzięki, że i ja już o tych sprawach pisałem, chociażby w „Polaku, kim jesteś?”, a także i w artykułach, w których mówiłem o nacjonalizmie polskim w służbie wielkoruskiego szowinizmu. Tylko, że ja pisałem swoim zwyczajem pokrętnie (nie oduczę się tego, o czym się przekonasz), Ty zaś jasno. A może by tak trochę pomógł?

Pisałeś o megalomanii i o kompleksie niższości i to jest oczywiste dla każdego, kto widzi konia, jaki jest. Ale tu dochodzi pewna komplikacja, która powoduje, że leczenie schorzeń staje się bardzo trudne. Mam na myśli tzw. *Hassliebe*. To uczucie żywią Rosjanie wobec Polaków, Polacy wobec Rosjan i Niemców, Niemcy wobec Polaków i Francuzów, Francuzi wobec Niemców. Przewija się to przez literaturę i politykę, w pisaniu dzieł historycznych także jest obecne. Ale co to znaczy? Co to znaczy, że dostrzegalne to jest jedynie na kierunku wschód-zachód (czy na odwrót), natomiast niedostrzegalne na linii północ-południe (czy na odwrót)? Dlaczego Polacy nie żywią urazów wobec Szwedów, którzy przecież pierwsi strzaskali potęgę I Rzeczypospolitej, ani wobec Węgrów, którzy im w tym ochoczo chcieli dopomóc? Dlaczego Włosi nie mają pretensji do Francuzów, którzy wiadomo przecież co? Anse Francuzów wobec Anglików są zupełnie innego

rodzaju (konkurencja) i okazują się nietrwałe. Wzajemne anse Polaków i Czechów są idiotyzmem obustronnym i trzeba to sobie raz nareszcie wybić z głowy.

Ale na czym polega ta *Hassliebe*, to osobliwe sprzężenie miłości i nienawiści, na ogół w równych proporcjach tych składników? Zapewne, odgrywa tu rolę zazdrość. Niedawno rozmawiałem z pewną wybitną pisarką niemiecką. Powiedziała mi, że Niemcy stwarzają sobie sztuczne problemy, jakich gdzie indziej nie ma. Odpowiedziała mi, że łatwo mi tak mówić, ponieważ jestem Polakiem, Polacy zaś są *eine Kulturnation*, Niemcy natomiast nią nie są. Moje wybałuszenie oczu nie mi tu nie pomogło; ale potem przypomniałem sobie, że Henryk Mann mówił coś podobnego o stosunkach niemiecko-francuskich w kulturze i nie tylko. Romain Rolland miał najwyraźniej kompleks niższości wobec muzyki niemieckiej (ale tylko wobec muzyki). Czy tu gdzieś, w tych pokładach, należy szukać źródeł owej *Hassliebe*? Czy jeszcze gdzie indziej? Czy może również i w tej *Hassliebe*, jaką się żywi wobec własnego kraju? Znakomity cymbalista i kompozytor rosyjski, na domiar potomek historycznego rodu, Andrzej Wołkoński, który od kilku lat już przebywa na Zachodzie, opowiadał mi z niejaką masochistyczną satysfakcją rozmowę, jaką miał ze swoim nauczycielem kompozycji w konserwatorium moskiewskim, Żydem rumuńskim, który mu powiedział: Rosja byłaby wspaniałym krajem, gdyby nie Rosjanie, Rosjanie byłiby wspaniałymi ludźmi, gdyby nie Rosja. A czy u innych nacji europejskich (Polaków nie wyłączając) nie zauważymy podobnego zjawiska — innymi słowy swoistego zamięszenia poczucia tożsamości narodowej? Czy *Hassliebe* w stosunkach pomiędzy poszczególnymi narodami nie jest derywatem uczucia *Hassliebe* wobec własnego narodu? Otóż myślę, że jeżeli megalomanię i kompleksy niższości dałoby się tak czy inaczej zracjonalizować i tym samym uleczyć, to *Hassliebe* jest irracjonalna i leczyć się znanymi sposobami chyba nie daje. W tym to szkopuł. I wtedy powstaje wiersz Błoka „Scytowie”, który się czyta z zachwytem i odrazą.

A no bo rzeczywisty kłopot jest z Rosją; z rosyjskością, z Rosjanami. Historia tego kraju i tego narodu jest zawiślana i trudna do przemyślenia — pod względem cywilizacyjnym, kulturalnym i polityczno-państwowym. Pytanie zasadnicze tu brzmi: czy historia Rosji jest dalszym ciągiem historii Wielkiego Księstwa Kijowskiego, czy też zaczyna się wraz z dziejami Wielkiego Księstwa Moskiewskiego? Nie nam tu nie pomoże fakt, że Rurykowicze przenieśli się jako dynastia na północ i panowali w Moskwie aż do śmierci Iwana Groźnego; kultura polityczna Wielkiego Księstwa Kijowskiego nie została wraz z dynastią przeniesiona, przeciwnie, wytworzyła się skrajnie odmienna, ponieważ styl demokratyczny Waregów został unicestwiony. Nadto trzeba wziąć pod uwagę, że dzisiejsi Ukraińcy są potomkami ludu Wielkiego Księstwa Kijowskiego i są tego świadomi. Rosjanie jako Rosjanie to od zarania inny lud i inny dzisiaj naród. Mówi się, że styl polityczny Rosji (o czym pisziesz) to krzyżówka bizantyzyzmu i tatarszczyzny; ale zapomina się często, że na terytoriach rdzennej Rosji (nie Rusi „w ogóle”) wcześniej jeszcze pojawić się musiały wpływy ugrofińskie (Pieczengowie), a jakie to one były, trudno dziś dojść; zapomina się także, iż cywilizacja bizantyjska sięga III wieku, czyli reform Dioklecjana, które *mutatis mutandis* przetrwały do XV wieku. Wszystko to razem znaczy, że Rosja właściwa nie miała feudalizmu ogólnoeuropejskiego, nie miała Renesansu i Reformacji, nie miała Baroku i Kontrereformacji (choć wpływ baroku w architekturze jest znaczny: cerkiewne cebule są adaptacją włoskiej kopuły barokowej), miała słabiutkie Oświecenie. Oczywiście w wieku XIX i XX następuje cywilizacyjne zbliżenie do reszty Europy i wielka eksplozja sztuki i nauki rosyjskiej; *indiscutable*. Natomiast znakiem zapytania opatrzyłbym twierdzenie o „rosyjskości” bylin — są one

raczej „ogólnoruskie”, zastosowanie zaś tego terminu gmatwa jeszcze bardziej i tak zagmatwane zagadnienie.

W mentalności europejskiej (nie tylko polskiej) zakorzenił się pogląd, że Europa dzieli się na Rosję i na resztę. Wypiera on coraz bardziej pogląd o podziale Europy na zachodnio- i wschodniorzymską. Jako fakt istnieje u wszelkiej maści Europejczyków przeświadczenie o „obcości” Rosjan, nawet u narodów prawosławnych i u innych narodów wschodniosłowiańskich. I na odwrót: Rosjanie w swej masie odczuwają „obcość” wobec reszty Europejczyków. Dochodzi u tej reszty Europejczyków do wypowiedzi wręcz ekstremalnych, jak np. u Bismarcka — który Rosję jako poseł pruski w Petersburgu co nieco poznał — i który powiedział przy jakiejś okazji: *la Russie c'est le néant*. I tu rzecz paradoksalna: między Rosją a resztą Europy istnieje (i utwierdza się) owa nieszczęsna *Hassliebe*, obustronnie. Mamy więc trzy jej rodzaje: wewnątrznarodową, sąsiedzką i europejsko-rosyjską. To zaiste problem dla psychopatologów.

Zakończenie mego pokrętnego wywodu. Otóż uważam *Hassliebe* za zjawisko psychiczne, mające coś wspólnego z okresem pokwitania. To niedojrzałość, niedorobłość, mankament duktów uczuciowych. Być może jest to tylko moja intuicja, być może jest to intuicja mylna; ale nawet jeśli mylna, to chyba warto się nad nią zastanowić.

A tymczasem nacjonalizmy klasycznego gatunku miewają w Europie po dziś dzień codzienną pożywkę. Marsylianka: *marchons, marchons, qu'un sang impure abreuve nos sillons*. Aby krew nieczysta użyźniła nasze łany. Krew nieczysta to jest „ich” krew, „nasze” łany są oczywiście czyste. Śliczny wariant *Blut und Boden*. Patrz Kościuszko na nas z nieba, jak w krwi wrogów będziemy brodzić. Wzniosłe, nieprawda — zwłaszcza to „brodzić”. Hymny narodowe, pieśni patriotyczne; pokolenia się na tym wychowywały. *Am deutschen Wesen soll die Welt genesen*; my Polacy złote ptacy — przecież to to samo. Czy nie warto by było zrobić małą ogólnoeuropejską antologię tego rodzaju tekstów?

Tymczasem, Janku kochany, *vale et me ama*

zawsze Twój i *semper idem*

WITOLD

Pamflety

Fryzury Mieczysława Rakowskiego*

„... Nie wierzę już w rewolucję jako w sąd nad światem. Wierzę tylko w rewolucję, która przeobraża nas samych...”

Henrik de Man: „Zur Psychologie des Sozialismus”.

1

Bardzo słusznie. Niemniej posłużę się oświadczeniem de Mana w sensie różnym od przezeń zamierzonego. Czasownik „przeobraża” pojmuje on jednokierunkowo i pozytywnie, de Man jakby mówi: „Nie róbmy rewolucji, przeobrażajmy się sami w stronę dobra...”. Ślicznie, lecz czy nie bardziej interesuje jak rewolucja dokonana przeobraża nas samych, wszystkich, różnych? I to wielokierunkowo. Szukając miąższości typowości moglibyśmy zabrnąć w truizmy, lecz gdy olśniewająca wielokierunkowość metamorfoz, ich bogactwo i rozmaitość, rozprzestrzenia się zaskakująco przed nami jak obraz Op-Art'u — unikniemy bez trudu spospolić.

Mieczysława Rakowskiego wprowadzam do moich tegorocznych rozważań nad światem na zasadzie uczuciowej obojętności. Jest to człowiek, o którego nigdy mnie życie nie zająbiło. Witał się ze mną zawsze uprzejmie i bez zainteresowania, jak ja z nim. To, co wiedzieliśmy i sądziliśmy o sobie nie podlegało zmianom

* Przedrukujemy artykuł zamieszczony w *Kulturze* nr 10/240 z 1967, który nie stracił nic na aktualności.

w ciągu lat. Byliśmy ideowymi wrogami, lecz nie łączyła nas nienawiść. Nawet przyglądałem mu się — mimo programowej odrady i negacji — z przyjemnością: było w nim także coś zabawnego co potwierdzało moje ogólniejsze przypuszczenia, a zawsze jest miło mieć rację. W 1958 roku Klub Międzynarodowej Prasy zaprosił mnie na publiczną dyskusję na temat artykułu w *Tygodniku Powszechnym*, w którym domagałem się, po raz pierwszy w Kraju od końca wojny, rewizji pojęć o powojennych Niemczech. Wywołał on falę sloganowego oburzenia w prasie komunistycznej, uwłaczające epitety ze strony Emigracji, zaś *Tygodnik* zřęcznie odciął się ode mnie. Przyjąłem zaproszenie z masochizmem samobójcy, który przepada za publicznym rozszarpywaniem na strzepy. Tymczasem nie było tak źle. Pastwiła się, co prawda, nade mną endecko-komunistyczna koalicja w imię Stalingradu i wozu Drzymały, ale liczna na sali młodzież uniwersytecka, i ta nieco dalej w latach, wypowiadała się z zastanawiającym pragmatyzmem i ostentacyjnie oklaskiwała moje co bardziej prowokacyjne zagrania. Dyskusji przewodniczył redaktor Rakowski i fungował, przyznać trzeba, z wymuszoną, lecz oczywistą bezstronnością sędziego, który marzy o zwycięstwie swojej jedenastki ani na chwilę nie zapominając o godności arbitra. W kilka lat później zaproponowałem Rakowskiemu druk I części niewydanej powieści. Było to pociągnięcie taktyczne: druk mojej powieści w jego *Polityce* był ewentualnością surrealistyczną i wręczając mu maszynopis nikt z nas obojga nie traktował tej sytuacji na serio. Mnie, w moich wojnach o paszport i wydanie książki, potrzebne było zdanie: „Właśnie *Polityka* rozważa druk mojej powieści...”, które rzucane umiejętnie w różnych gabinetach podczas różnych rozmów czyniło pewne wrażenie. Po czym Rakowski zatelefonował, oddał mi maszynopis (którego zapewne nie przeczytał) i rozstaliśmy się w uśmiechach, rewerencjach, grzecznościach, bez uraz i we wzajemnym zrozumieniu o jaki numer chodzi. Albowiem i Rakowski załatwiał przy tym swój numer — cholernie mu wtedy zależało, ażeby uchodzić za liberała, który zastanawia się nad każdym maszynopisem z każdej strony. Zresztą, gdyby uważał, że moja strona jest jednak trochę za daleko nawet na liberalizmy, to przecież nie mógł odmówić rozpatrzenia: obnosiłbym się wtedy po Warszawie z nowym dowodem prześladowań, tym razem ze strony *Polityki*.

Rakowski jest również syndromem, jak Kott, tow. Blatmanowa, czy pan Bolo, o którym będzie mowa poniżej. Ktoś może mnie spytać dlaczego — atakując syndromy — traktuję Rakowskiego z obojętnością. Odpowiedź nie będzie łatwa. Nawet reprezentując niebezpiecznie rozprzestrzeniony gatunek Kott,

tow. Blatmanowa, czy pan Bolo budzą głównie obrzydzenie. Rakowski jest zjawiskiem trudniejszym. Można go zresztą wygodnie steoretyzować, ale po co? Indywidualizacja i ucieleśnienie uzmysławiają lepiej grozę przeobrażeń, o których de Man nie mógł jeszcze wiedzieć.

2

Historia fryzur Mieczysława Rakowskiego jest historią zwycięskiego i rządzącego komunizmu w Polsce. Rakowski ma tzw. doskonałe pochodzenie społeczne: jest synem chłopskim z Pomorza. Na początku komuniści o niczym tak nie śnili jak o chłopskich synach-autentykach: z góry mieli przygotowane wierszyki o zachodnio-słowiańskich, naprawdę aryjskich rolnikach, co to w biedzie lecz niezłomnie opierali się nawale germańskiego imperializmu. Produkt jest zatem zdrowy, mocno zbudowany, jasnowłosy i ujmujący na oko. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy Rakowski nosił na głowie jak to się mówi szopę — ogromny, blond-kędzierzawy tłumok, dający mu wygląd na pozór tuzinkowy, w gruncie rzeczy zaś pieczołowicie opracowany. Była to pełnia stalinizmu i Rakowski, wraz z niejakim Wyszackim (ostatnio redaktorem *Stolicy*), wprawiał się w zawód komunistycznego oprawcy słowa drukowanego u boku sławnego w owym czasie kata, szefa Wydziału Prasowego KC, Stefana Staszewskiego, późniejszego buntownika. O Staszewskim powiedział mi przed wiekami (przy stoliku w warszawskiej YMCA, gdzie mieszkaliśmy sobie podówczas z młodzieżą chrześcijańską) redaktor Immanuel Birnbaum — ostatnio z *Süddeutsche Zeitung*, a w ogóle nestor środkowoeuropejskiego dowcipu: — Staszewski? Trzeba uważać. Żyd-blondyn, rzecz przeciwna naturze, nigdy nie wiadomo co robi... — co okazało się prorocze w świetle wydarzeń Października. W okresie, o którym mowa, Staszewski nie był jeszcze non-konformistą, lecz stupają, zaś Rakowski nazywał się instruktorem Wydziału Prasowego, czego znaczenie tonęło w odmetach komunistycznego eufemizmu. Aparycja zaś była skrupulatnie dobrana: należało podkreślać niezbyt obciążającą wieśniaczość przy pomocy uczesania i stroju dbając jednocześnie o znamiona rozwoju umysłowego na twarzy, łatwe do zidentyfikowania z rozwojem klasowej i partyjnej świadomości. Od zřęčnosti takiego przypasowania zależało wiele, czasem kariera, i Rakowski umiejętnie rozwiązał zagadnienie. Włos nosił płowy, kręcony, sztywny, wzdęty i budzący natychmiastowe uczucia solidarności u tych wszystkich na nowych posadach i funkcjach partyjno-rządowych, których metryk nie można byłoby się doszukać

w metropoliach większych od Konina, Przasnysza, czy Wejherowa. Ubierał się schludnie i bez krawata, w bezkształtne wiatrówki i płaszcze watowane w ramionach, za to do samych kostek. Z daleka nie różnił się niczym od owej młodzieży gromadzko-powiatowej, wyglądającej jednak i w ORMO i w spółdzielni i w świetlicy „Służby Polsce” i na procesji Bożego Ciała i na wieczorku POM’u, której forma zespala się tak pięknie z wyobrażeniem golonki, kajaków na wiślanych plażach, piwem „Dubeltowe” i melodią „Besame mucho” pod papierowymi lampionami wokół haseł o współzawodnictwie pracy. Ta właśnie młodzież była podówczas urodą socjalizmu i pieprzykiem etapu, od jej udziału zależało tak wiele. To ona miała spolonizować, a zarazem spopolizować rosyjsko-żydowsko-inteligencką kadrówkę, kładącą właśnie fundamenty w głębinach dialektycznych pułapek. Mniej zdolni szli do wojska i do UB na oficerów, zdolniejszym przyswajano materializm i teorię nadwartości, w pocie czoła, lecz za wszelką cenę. Do póź modnych i szyku chwili należało subtelne podkreślanie parobczańskich treści psychofizycznych w służbie intelektu, kultury i nowej Polski. Z tym, że na ludowo-świeżych wargach instruktora Rakowskiego błąkał się już wtedy uśmiezek, wsparty uważnym spojrzeniem dość żelaznych oczu, z którego wynikało, że uśmiechający się zna na pamięć teorię zaostrzania się walki klasowej wraz z postępami socjalizmu, i że Józef Wissarionowicz może ufać ludowi wiejskiemu polskiego Pomorza, który zrobi wszystko jak należy w myśl dialektycznych przepisów na wznoszenie się w górę.

Na dyskusji w Klubie Międzynarodowej Prasy Rakowski miał włos skrócony, acz ciągle jeszcze blond-barankowy, karakułowaty i na jeża, żeby nie odstręczać nowej administracji przesadnym dandyzmem. Ubrany był w dwurzędową typy granatowy tenis z CDT’u, schludnie i tym razem przy krawacie. Śmiał się obficie i z całego serca, zwłaszcza z co gwałtowniejszych, anty-oficjalnych akcentów. Był bardzo miły i starał się nie wprawiać mnie w zakłopotanie. Mimo powierzchownego kontaktu wyczuwało się jakąś zasadniczą inność. Była to inność osiwiła w troskach niepowodzeń, nowa giętkość tych, którzy już wiedzą, że trzeba inaczej. Jeszcze ubierają się statecznie i skromnie, lecz już z socjalistycznego waszecia, co pozwala nie bać się ironii i śmiać się z tego przeciw czemu 5 lat temu wyciągało się nagan. Tow. Rakowski, w ramach powikłań etapu, demonstrował z wdziękiem i jak umiał najlepiej to, co było nie łatwe do zrozumienia, lecz nieodzowne dla dalszego istnienia. Zresztą robił to zręcznie i taktownie od wielu innych. Tym razem miałem do czynienia z redaktorem naczelnym *Polityki* i — już wkrótce — prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Rys historyczny (z pamięci): kiedy Gomułka doszedł faktycznie do władzy, natychmiast zatrąbił na odwrót. Ale zatrąbił tak, że tylko najcwańsi usłyszeli. Mniej cwani, którym jeszcze różne surmy i synkopy z festiwalu jazzowych w uszach grały, nie usłyszeli tego trąbienia i dziś dogorywają w SPATIF’ie z Januszem Minkiewiczem przy jednym stoliku, bądź cieszą się szcunkiem całej Łomży w zamian za piastowane funkcje w miejskiej bibliotece. Rakowski usłyszał *message* niezwykle chwytliwym uchem, zaś niewykluczone jest, że sam Gomułka mu je z bliska przegwiżdżał, albowiem mówiono podówczas, że stosunki między nimi są więcej niż rodzinne. Nie znam poszczególnych szczebli kariery Rakowskiego, lecz gdy stanął w ogólnonarodowych reflektorach po Październiku, wszyscy wskazywali na zażyłość nowego Szefa z bierutowskim instruktorem prasowym. Jak, co, dlaczego — tego nie wiem, ale wiem, że posada się natychmiast wykroiła na medal.

Potrzebne było pismo. Nie byle jakie. Takie, co to znalazłoby formułę usprawiedliwiającą matactwa ideowo-polityczne odzierające Polaków z tego co wydawało się im, że wywalczyli. Należało to uczynić cienko, delikatnie, w oparciu o najnowsze osiągnięcia, w stylu nie przypominającym przed-historycznego prymitywizmu Jakuba Bermana. To pismo miało trafić *w* i *do*, miało stać się kuźnią nowych koncepcji i super-pralnią starych kombinacji i łotrostw, które tyle razy już zawiodły w rewolucyjnym „stawianiu się” i w socjalistycznym budownictwie, a które ciągle jeszcze trzeba było czyścić, nicować, farbować i używać na nowo. Kto wymyślił nową wersję starych przecherstw? Takie było zlecenie i za to leciała wielka premia. Już działała *Trybuna Literacka*, dodatek tygodniowy do *Trybuny Ludu*, w której Putrament, Żukrowski i paru innych starali się ocalić Nieprzemijające i Wartościowe z ubiegłego okresu, jakby cokolwiek warte było ocalenia poza wysokością honorariów. Właśnie likwidowano autentyk, *Po prostu*, prawdziwy czynnik przemian i jedyny ośrodek prawdziwej walki o prawdziwe *coś* jaki marksieści polscy poczęli i powili z własnego łona po raz pierwszy w tym stuleciu od czasów Róży Luksemburg. Pozostawała masa upadłościowa pod postacią metody, potrzebny był egzekutor. Dlaczego właśnie Rakowski? Jakie miał kwalifikacje, czym się zapisał w skorowidzu zasług i umiejętności? Tego znów nie wiem, znam go tylko po wynikach. Na rozruch otrzymał piękne przedsięwzięcie: *Trybunę Literacką* szufizowano z *Trybuną Wolności* — teoretycznym organem KC PZPR, wydawanym w 6-ciocyfrowym nakła-

dzie na użytek inicjatywy prywatnej, której sklepiki uważały jej papier za nadający się najlepiej (?) do pakowania śledzi; nikt zresztą w ciągu 20 lat nie dostrzegł innego zastosowania tego periodyku — oraz z czasopiśmem o megalomańskim tytule *Świat i Polska*, poświęconym jakoby polskiej (?) polityce zagranicznej (?) i czytowanym wyłącznie przez redaktora, korektora i ich rodziny. Amalgamat ten umiejscowił się w stylowym budynku w Alejach Jerozolimskich, przy murze którego Niemcy rozstrzelaliwali Polaków (dzięki czemu uniknął ciosów odbudowy) i gdzie jeszcze w 47-yu widniała fotografia Antka-Rozpylacza na nagrobkowej emalii. I przybrał nazwę *Polityka*.

Nie piszę rozbioru krytycznego, ani studium o *Polityce*. Nie mam po temu kwalifikacji, czasu, ani zainteresowań. Ale wiem, naskórkowo i na potoczny użytek, czym to pismo jest. Przede wszystkim jest nieudaną próbą kradzieży: miało ukraść *Po prostu* jego znaczenie i to się nie udało. Niemniej, nie stało się imitacją. Wypracowało własne, dość wyraźne oblicze, wraz z wszelkimi śladami szpetoty. Jego początkowa koncepcja sprowadzała się do odwoływania Października i był to program przerażający w swej prostocie. Polacy, w myśl tego programu, osiągnęli *politycznie* wszystko co było do osiągnięcia, dalszy rozwój przemian prowadziłby do anulacji socjalizmu, zaś anulować go nie wolno nie tylko ze względu na Ruskich, którzy mogliby się poczuć dotknięci, lecz ze względu na niewzruszalny fakt, że socjalizm jest dobry. Co nie znaczy doskonały. Będziemy więc go ulepszać. Ale teoria jest O.K., nie podlega rewizjom, nie wymaga ulepszeń. Zaś z praktyką różnie bywa i główną zdobyczą Października — który był Ogromnym, Wspaniałym Osiągnięciem! — jest to, że będziemy mogli ją sobie przedyskutować. Co nie znaczy zmieniać. Model społeczny jest O.K., tu o żadnych zmianach nie może być mowy, ale gdzieś tam wykonanie szwankuje i nasi reporterzy pisać będą obszerne sprawozdania na ten temat. System ekonomiczny jest prawidłowy, lecz tu i ówdzie występują nieprawidłowości, które będziemy oświeślać i analizować. W polityce zagranicznej stoimy po właściwej stronie, zaś wśród naszych sojuszników będziemy rozglądać się za braćmi, którzy myślą i czują jak my, choćby to był i Togliatti, bo to co mówi jest słuszne i piękne, nawet jeśli niepraktyczne z naszego punktu widzenia. Interesuje nas także krzywda społeczna i nie uchylamy się od jej tropienia, jak również od piętnowania korupcji, dogmatyzmu, nepotyzmu, kacykostwa, głupoty, prywaty, kumoterstwa, które w ubiegłym okresie przykrywane były błędnie pojętą racją stanu. Socjalizm to jawność, otwartość, umysł, racjonalizm, nauka, socjologia, ankiety, nowoczesność i nienaruszalnie *słuszna zasada* społecznego istnienia. Od czasu do czasu i to

tu to tam naruszają ją ludzie ułomni, słabi, ograniczeni, czasem ze złej woli, czasem z nieświadomości, czasem na skutek skomplikowanej gry społecznych współzależności, czy klasowych warunkowań, których mroki i pseudo-zagadkowa nieprzenikalność *muszą* w końcu ustąpić promieniom jedyne, współczesnego, naukowego i postępowego światopoglądu. W ten sposób, poprzez Październikowe oświecenie i światły absolutyzm *Polityka* wróciła do obskuranckiego, poznawczego misz-maszu, w którym — jak wykazało doświadczenie — nie sposób żyć, a tym bardziej budować. Albowiem każdy kto żył 20 lat *tam*, od Janka-Muzykanta do profesora Infelda, ma raz na zawsze wmurowane w świadomości, że:

— to SYSTEM jest zły, zgniły i deprawuje ludzi, którzy w NIM stają się źli, że zaraża złem każdego kto go dotknie, zaś dobrzy muszą zginąć w jego trybach;

— komunizm to ludzkość oszukana i to, co głosiły o nim pokolenia marzycieli, ideologów i pisarzy, zanim obłókł się w kształt, jest nadużyciem dobrej wiary publiczności, a mianowicie:

1. że będzie prawdą (przyniósł uświęcenie kłamstwa w nie-spotykanym dotąd wymiarze);

2. że będzie sprawiedliwością (stał się gigantycznym inkubatorem wielkich i małych krzywd);

3. że przyniesie prawdziwą wolność (przyniósł najlepiej skonstruowaną niewolę każdego przejawu życia i każdej komórki społecznej w stopniu nieznanym najstarszym tyranom);

4. że uszlachetni wyzwolonego z więzów eksploatacji człowieka (upodlił go i uwikłał we władztwo głupoty, niskich instynktów, płaskości, przyziemności i we wzajemne wyniszczanie o nieznanym przedtem cechach wyrafinowania).

Są to jednak problemy, którymi *Polityka* nie zajmuje się nawet w drodze najodleglejszych aluzji. Socjalizm jest świętą krową, jeść jej nie wolno, ale że odżywiać się trzeba, przeto — jak wszystko co żyje pod czerwoną gwiazdą — musi żyć na numer. Numer *Polityki* jest dość prosty i polega na zręcznym podstawieniu *ersatz'u* w miejsce autentycznego problemu, czy autentycznej odkrywczości. Orwellovskie prawo równych i równiejszych przeobraża się tym razem w prawo troski i tzw. obiektywnej troski. *Polityka* troszczy się o Polskę i socjalizm i los człowieka i dystrybucję i chuligaństwo i prawa ruchu ulicznego i felczerów i teorię kwantów na uczelniach i jakoś smarów i służbę zdrowia i nieznaną aspekt piśmudczyzny *obiektywnie*, to znaczy: nie chodzi jej o *Ding an sich* (co byłoby zgubnym subiektywizmem w tym wypadku), lecz o jego funkcję w gomułkowskim komunizmie. W perspektywie 50 lat lenino-stalino-komu-

nizmu jest to pewne osiągnięcie, kult jednostki i dogmatyzm zakazywały wszelkich trosk *en bloc*, wychodząc z założenia, że wszystko jest w niebywałym porządku. Najprostszy empiryzm poucza nas jednak, że *taka troska* jest z moralnego i społecznego punktu widzenia Jednym Wielkim Opasłym Niczym — jak rzekłby Kubuś-Puchatek. Te słowa ludzie *Polityki* czytają narbrzmiali krzywym rozgoryczeniem: wszak oni jedni wiedzą, ile ich wysiłków zostaje zastopowanych, jak muszą walczyć i użerać się o każde śmielsze słowo, jak ciężko jest zrobić to nawet, co tak łatwo mnie (sukinsyn!) przychodzi pomniejszać, tarzać w błocie i szyderstwach. Rzecz w tym, że ich zmagania i gorycz są bez znaczenia w moralno-społecznym systemie odniesienia nie liczą się, w ogóle ich nie ma. Komunizm polega właśnie na tym, że każdy w nim walczy, dysząc ciężko, z kimś głupszym i gorszym od siebie, powszechność tej walki sprawia jednak, że sama w sobie nie jest ona żadnym walorem; dopiero jej kierunek i jakość ustawia ją w jakiejś hierarchii wartości i znaczenia. *Polityka* pracuje na pozytywne zafrasowanie losem szarego człowieka, szarej spółdzielczości, szarej, szeregowej obrabiarki i postpaździernikowej, wyemancypowanej z soc-realizmu prządk, która używa makijażu firmy „Lechia” i wody kolońskiej „Przemysławka” i „ma” zagadnienie czy czasem aby jest właściwie spożytkowywana seksualnie i technologicznie. Ta pseudo-rzeczowa, pseudo-społeczna, pseudo-odpowiedzialna namiastka zaangażowania w rzeczywistość sprawiła, że *Polityka*, której marzeniem jest być rzecznikiem, a zarazem krynicą mądrości gomułkowsko-postępowej inteligencji, technicyzycznej nowej klasy, petrochemicznego neo-pozytywizmu i stoczniowej pracy organicznej — w istocie stała się uwielbieniem i mini-Biblią pana Bolo.

Pan Bolo jest postacią opierającą się syntetycznym portretem, dlatego choćby, że pochodzi z oszałamiająco różnorodnych regionów społecznych. W latach ludowej demokracji spacerował w płaszczach z kamelharu, pachniał lawendą i przynależał głównie do śląsko-krakowskiej inicjatywy prywatnej. Inicjatywa prywatna jest najbardziej heroiczną grupą społeczną w Polsce: jej nadludzkie i bohaterskie zmagania z komunizmem, biurokracją i aparatem fiskalnej eksterminacji usuwają w cień klechdy greckie, walkę żeglarzy z żywiołem, czy osadników z morderczą bezdusnością natury w pustyniach i puszczach. Tak dumna i wspinała postawa w wojnie z wrogiem publicznym Nr 1 powinna zapewnić inicjatywie prywatnej miłość i poważanie reszty społeczeństwa, jednak jakoś tak nie jest i kiedyś przyjdzie mi się tym szerzej zająć. Pana Bola nie należy zresztą identyfikować z inicjatywą prywatną, pełno go wśród lekarzy, adwokatów, inżynierów, gęsto go od zarania na państwowych posadach, przeważnie

w handlu zagranicznym. Pan Bolo zaludniał niegdyś Jastarnię i Zakopane, teraz spędza wakacje w demoludach, bądź na „Transylwanii”, bądź po prostu w Paryżu, bowiem pan Bolo nie ma trudności z paszportem, z dewizami i w ogóle z tym co trzeba. Od Października pan Bolo ma Wartburga, potem Skodę, potem Fiata i tak dalej, nie obowiązują go koszmarny kolektywnej lokomocji. Po Październiku pan Bolo zmienił także styl noszenia się, czerpiąc inspiracje z wzmożonego obrotu filmów zachodnich przebrał się w nylony, orlony, laminaty, zamszowe kurtki. Rodzinie i społecznie pan Bolo jest synem Augusta Bęc-Walskiego z „Przekrojowego” *cartoonu* z lat 40-tych, stereotypu reakcjonisty, byłego posiadacza i religianta; jest Bęc Walskim zgniecionym przez walec drogowy stalinizmu, a zatem *kompletnie* przystosowanym, który po Październiku stał się rdzeniem tzw. małej stabilizacji. Ideowo i towarzysko pochodzi przeważnie ze sfer endecko-oenerowskich, jest więc tradycyjnym antysemitą, ale i na tyle nowoczesnym snobem aby o niczym tak czule nie śnić jak o przechadzce pod rękę z Adolfem Rudnickim przez założone Krupówki. Jednym słowem — pan Bolo to pozytywny kombinator, jeden z tych, którym nie zależy, którzy nic nie wiedzą bo wiedzieć nie chcą. Bo ich *to* nie obchodzi. Powodziłoby się im identycznie dobrze w sanacyjnej Polsce i w faszystowskiej Polsce i w komunistycznej Australii. Przycichli na chwilę podczas wojny, bo gry toczyły się ostre i za każdą rzecz można było beknąć za wysoką cenę, ale odżyli czerstwo i rumianie w komunizmie, w całej okazałości, we wzbogaconej niepomierne florce gatunków. Gdy im powiedzieć, czy ukazać jacy są, oburzają się bezgranicznie, bo oni przecież nic złego i w porządku, a także krytykują i opowiadają dowcipy i są dobrze ze wszystkimi. Dlaczego zaraz potępiać, że ktoś jest dobrze z Jaszczukiem, czy Tokarskim, co w tym złego? Bo i co tu się bić? Tak zawsze było, jest i będzie, że silniejszy górą, a mądrzejszy z nim. Opowiadano mi o reakcji pewnego pana Bola na „Porachunki Osobiste”: podobno wyzywał mnie od ostatnich za to, że opisując otwarcie moje starania u dygnitarzy Bezpieczeństwa „psuję innym”. Pan Bolo rozumuje: „starał się”, „załatwiał sobie”, „dali mu” i „prysnął”. Jakże nieetycznie! Zepsuł innym, bo teraz nie dadzą się starać. Humanizm, wolność i zasady to dla pana Bola chała, ale w końcu pan Bolo jest idiotą i nie rozumie, że załatwianie i dawanie jest w totalizmie ponadczasową funkcją systemu i nic tu się nie da zepsuć. Pod koniec tygodnia pan Bolo kupuje *Politykę* i *Przekrój*, kładzie oba pisma zgodnie do kieszeni drzwiowej swego teraz już Volkswagena czy BMW i zasuwa nad Zalew. *Przekrój* daje mu błogość *to-be-in*, *Polityka* rozgrzesza go. Dzięki niej pan Bolo odczuwa społeczne zanga-

żowanie, społeczny frasunek i społeczną troskę. Dzięki niemu nakład rośnie.

Cichą tragedią *Polityki* jest, że ma się ona za pismo gomułkowatych Judymów i Siłaczek, zbrojnych w telewizor i motocykl marki „Junak”. W rzeczywistości jest pismem pana Bola.

4

Przypuszczalnie zasadniczy przełom w życiu Mieczysława Rakowskiego nastąpił w początkach lat 60-tych. Harmonizował, jak zawsze, z podskórnymi tendencjami w polskim komunizmie. Kończył się okres uwarunkowań i instrumentalizmu, nadchodził czas osobowości. Już nie żelazne prawa scjentyzmu, litera leninowskiej ewangelii, czy podręczniki politycznej gramoty określały historię na co dzień, lecz wolna gra sił między osobowościami. Dominowała ciągle jeszcze *personality* Szefa, lecz już rosły inne. Kliszko, spowiednik i Arlekin, Moczar, konfederat powiatowy, któremu powiodło się na szczuble wojewódzkim i wyżej, Cyraniewicz, stary bilardzista, duży kozak w tasowaniu znaczonych kart tak, żeby wszyscy myśleli, że talia jest w porządku, Gierek, zarządca gigantycznego parkingu strzeżonego, zwanego także Kantaną. Były różne wzloty i upadki, błyski Zambrowskiego i Strzeleckiego, szybko gasnące w podmuchu silniejszych wiatrów, lecz prawidłowość zyskiwała na wzięciu i jeśli ktoś chciał brać udział, musiał być kimś. Zaś najlepiej jest być kimś z własnego pastwiska, skreowanym przez własne, niepowtarzalne soki na tzw. wyjątkową indywidualność. Rzecz w tym, by trafić we właściwą charakteryzację.

Wtedy też ujrzałem ponownie Rakowskiego, tym razem na premierze warszawskiego STS'u. Już sama sceneria była sygnałem: tu oto, w płyciutkim, lecz zawsze jeszcze dołku stołecznego rewizjonizmu, przez który, jak się go w porę nie zauważy, i nogę można złamać — faworyt Gomułki w arcy-nowej stylizacji, którą — co tu ukrywać — zafrapował mnie. Cały w zachodnioeuropejskich beżach, zamszach, skórach, oliwkach, butach koloru butelki brylował, dzielił uśmiechy, łaski, *bon-mot'y*, szybciotkie riposty kwalifikujące go do równouprawnień w tym środowisku ozdobnych rozgoryczeń i żyletkowych konwersacji. Nie miał w sobie zresztą nic z pana Bola, przeciwnie, reprezentował jego śmiertelnego wroga — swingowca, beatnika, be-bopowca, sfrustrowanego egzystencjalistę z ciągami do elegancji i odpowiednią siłą nabywczą w dewizach, wymodelowanego na Saint-Germain-de Près i bohaterach filmów nowej fali. No i włosy, fryzura, uczesanie, determinanta całości, akcent naczelną i najmłodniejszy:

tym razem były krótkie, płaskie, proste, szcęsane do przodu, lecz nie na Tytusa, zaś krojem francuskim lansowanym ostatnio przez Maurice Roneta. To było imponujące! Pojąłem z mety jakiej siły charakteru wymagało prostowanie owych krzepkich blond kędziurów, zwiniętych ongiś w stalowe spirale, jakiej determinacji i woli trzeba było, by je położyć na płask! — O, Boże... — jęknąłem z podziwem — ... skąd te ciuchy? — To proste — odparła stojąca przy mnie dziewczyna. — Wiłkomirska.

Nie wiem kiedy Rakowski ożenił się z Wandą Wiłkomirską, słynną skrzypaczką, ale wiem kiedy małżeństwo to zaczęło przynosić owoce. Mianowicie w epoce narastającego znaczenia osobowości. W mglistą przeszłość odpłynęły surowość kurtek i zgrzebny purytanizm aparycji na wieśniaka, dostatek i jego manifestacje stały się walorem na giełdzie dokonań. Już wolno było mieć i domek jednorodzinny i willę urządzoną antykami i mały jacht na jeziorach i tapety z Hamburga — to podkreślało prawidłowość rozwoju. W tych warunkach Wiłkomirska była na wagę złota. Jest to podobno bardzo dobra skrzypaczka, ceniona w świecie muzycznym po obu stronach rowu; być może, nie znam się na tym, wiem tylko, że nikt z polskich muzyków tak często, obficie i lukratywnie nie wyjeżdżał, zwłaszcza za Stalina. Nie ma w tym zresztą nierozwiązalnej tajemnicy, po prostu Wiłkomirska pochodzi z zasłużonej, partyjnej rodziny i sama od dziecka jest chlubą różnych Komsomołów i ZMP. W komunizmie są też dobrzy i lepsi, i dobra skrzypaczka, jeśli jest córką starych komunistów i zaczęła wcześniej koncertować w czerwonym, pionierskim krawacie, jest *lepszą* skrzypaczką na tej samej zasadzie, na jakiej hrabia-poeta był *lepszym* poetą od łyka-poety w feudalizmie. Partia ją wychowała, dzięki partii wszystko i zawsze, partia jest z niej dumna, nic więc dziwnego, że łatwiej jest znaleźć się na liście artystów propagujących polską muzykę za granicą, łatwiej wyjechać, łatwiej kupić samochód w adenauerowskich Niemczech, łatwiej uzyskać nań zwolnienie z cła, łatwiej kupić nowy gdy stary już niemodny i tak dalej. Małżeństwo Rakowski-Wiłkomirska jest cennym, nieodpartym przyczynkiem do obyczajów epoki i w moich oczach stanowi balzakowską wręcz próbę finansowego uniezależnienia się komunistycznego działacza politycznego w komunizmie. Albowiem, i to wymaga podkreślenia, zarówno w Paryżu pana de Rastignac, jak i w Warszawie tow. Rakowskiego o niezależności polityka, o jego zdolności do politycznego manewru, do szerokości myślenia, do pozornych, lub mniej pozornych aktów non-konformizmu decyduje niezależność finansowa i wyzwolenie się z obaw o doraźny zarobek. A jakże to pomaga w budowaniu osobowości! Boję się, że bez inwestycji Wiłkomirskiej Rakowski nie dałby rady przedzierzgnąć się w

„przekrojowego” *playboy’a*, mimo, że radykalna zmiana fryzury ujawniła w nim całkiem atrakcyjną przystojność — kawał chłopca, uśmiech otwarty, rysy mocne i męskie, trochę taki pomorski Steve McQueen — bowiem wyemancypowani rolnicy w średnim wieku i odpowiednio na głowie przycięci mieli i mają swój urok i wzięcie w salonach stolic. Pewne koła w Polsce uwielbiają jak ktoś recytuje im pisma Gramsciego w takim właśnie „przekrojowym” *moderunku* i tu Rakowski utrafił w dziesiątkę, choć na marginesie przyjdzie nam zauważyć, że tak instruktor KC, jak redaktor i prezes SDP Rakowscy śmiertelnie *Przekroju* nie nawidzili i domagali się palenia na stosie pierwszych co takie fryzury nosili. Cóż więc tak go odmieniło? Czy przemiana jest bebeczowa, czy tak sobie z wierzchu i po fryzurze?

5

W połowie lat 60-tych zarysował się (w potężnym skrócie) układ następujący: Gomułka i Kliszko wyizolowani, Cyrankiewicz w dyspozycji, Ochab-emeryt, zaś wokół nich skotłowana magma, z której dochodzą różne krzyki: „Moczar!”, „Gierek!”, „Młodzi sekretarze!”. To ostatnie zawołanie łączono kilka lat temu z nazwiskiem Rakowskiego, zwłaszcza wśród Amerykanów, którzy z dziecięcą łatwowiernością notują wszystko co się im w Warszawie podsuwa. Amerykanie doszli do następującego wniosku: ponieważ sekretarze sekretarzy KC i Politbiura dobiegają w drodze skrupulatnego stażu i załatwić przez nich można mnóstwo, należy więc przypuszczać, że stanowią skrzystalizowaną siłę polityczną i należy ich brać pod uwagę jako ewentualnego partnera. Byli młodoturcy, są młodzi sekretarze, zaproszono więc Rakowskiego do Ameryki, gdzie spędził parę miesięcy, rozmawiał z Kennedym i otrzymał tzw. *red carpet treatment* jako ewentualny partner i siła. Naiwnościom Amerykanów nie ma końca, żyją oni ciągle jeszcze pod czarami Szeherazady, nie wiadomo więc co sobie po tej wizycie obiecywali; w każdym razie, na początku, zachwyceni swingowym wyglądem i fryzurą Nr 3, łykali grzecznie tępawę sogany o koegzystencji, lekko zniuansowane w zależności od rozmówców (Departament Stanu, czy amerykańska lewica). Wpadli we wściekłość dopiero, gdy po powrocie do Warszawy Rakowski opublikował książkę o podróży pn. „Ameryka Wielopiętrowa”, w której napisał wszystko inaczej, niż mówił. Był to w istocie stek kłamstw, symplactw i kpin z inteligencji czytelnika, ale trudno jest mieć pretensje do Rakowskiego, że pisze źle i głupio: nie jest on pisarzem ani dziennikarzem, a tylko instruktorem prasowym, redaktorem i prezesem SDP. Zaś Ame-

rykanie i tak nigdy się nie nauczą, że nie jest ważne co polityczny pieczeniarsz mówi u nich, ale to co mówi u siebie w domu — i chyba dlatego przegrają walkę o świat, co nie daj Boże! Jedynym więc beneficjentem podróży był Rakowski: amerykańskie stypendium i globtrotterstwo przydało mu trochę aury tolerancyjnej przystępności dla różnych porozumień. I o to mu głównie chodziło.

Pozycja społeczna, przyczółek polityczny (Rakowski jest członkiem, czy zastępcą członka KC), niezależność finansowa, aparycja i egzotyczny *sex-appeal* swingującego intelektualnie i towarzysko marksisty są to potężne atuty w formowaniu indywidualności na użytek wielkiej kariery. Ale jakiejś ingrediencji ciągle jeszcze brak, ciągle czegoś nie dostaje, ciągle jeszcze nie jest się formatem ani kalibrem. Z pomocą przyszła wypróbowana w historii technika: skoro trudno jest samemu być osobowością na miarę, trzeba złączyć wysiłki z innymi, którzy są w tym samym położeniu. W ten sposób powstał triumwirat: Starewicz - Żółkiewski - Rakowski. Zeszli się, porozumieli i wywiesili firmę: liberalizm.

Co znaczy ten „liberalizm”? Nic i bardzo wiele. Każdy z triumwirów aż do chwili, gdy ujawnił się jako neo-liberał ma za sobą piękne i bogate *dossier* totalniaka, szlachymordy, stalinowskiego stupaji, cynicznego hipokryty, służalczego lokaja. Starewicz i Żółkiewski nie wymagają prezentacji, nazwiska ich mówią same z siebie, pola kultury i administracji partyjnej, które uprawiali przez 20 lat z bezwzględnością hitlerowskich gauleiterów, usiane są znakami ich wyrafinowanych okrucieństw na rozkaz. Liberalizm idej, obyczajów czy zasad jest przedmiotem ich całozyciowej pogardy, od młodości ukorzyli się przed gwałtem dokonywanym na prawdzie i moralności, weszli im to w krew, uwielbili przemoc, którą nazwali rozumem, lub koniecznością i uznali za wartość zabsolutyzowaną i najwyższą. Ponadto, w komunistycznym dekalogu liberalizm jest grzechem śmiertelnym, słowo to cuchnie, kojarzy się z chorobą ciała i umysłu, gniciem komórek i rozkładem psychicznym. Cóż zatem skłoniło triumwirów do tak hazardowego pociągnięcia? Co sprawiło, że ich sztandarowy *agent provocateur*, Alicja Lisiecka, nie wahała się przed używaniem terminu „liberałowie” nawet w tak niebezpiecznie plotkarskich tawernach jak stołówka ZLP, który — powtórzony Gomułce i Kliszce — niósł niebezpieczeństwo krwawych rozliczeń w rozmowach za wypolisterowanymi drzwiami. Podejmowali to ryzyko otwarcie i świadomie, Lisiecka, stara polityczna *demi-mondaine’a*, wyrządzająca przez lata całe krzywdy w imię słabo sprecyzowanych rozróżnień dobra i zła, działała tym razem ostrożnie, po zegarmistrzowsku wyregulowana, i wy-

powiadała słowa uważnie zażyrowane przez triumwirów. Cóż zatem słowo to znaczyło dla nich, że mimo odrazy i strachu brali je w ręce jak płaza i wznosili wysoko w górę tak, aby wszyscy wokoło widzieli, że trzymają.

Walka o schedę po Gomułce jest w toku. *Challenger*ów jest kilku. Małomiasteczkowa postać Moczara rośnie na Rakowieckiej jak skomputeryzowana potęga wszystkich polskich Krotoszynów, Kłajów i Mław do kupy wziętych — dzika siła, bezbrzeżna dynamika spółdzielni masarskich i owocarskich, kółek ogródków działkowych, bufetowych z Zamojszczyzny, gdzie każdy miał kogoś w partyzantce, teraz już nie bardzo wiadomo w jakiej. Moczar rżnie patriotyzmem, inni wojują maczugami ekonomiki, stopy życiowej, lodówki dla każdego, jeszcze inni biją na feudalne przywileje aparatu. Wcisnąć się ciężko, do kogo, czego i jak odwoływać się ma kolejna alternatywa? Do czego, jak nie do wolności, do swobód, do haseł, które zawsze w Polsce mają zbyt wśród zdezorientowanych, a w najgorszym wypadku wśród inteligenckich pragmatyków, którzy w swym gruzliczo-chronicznym dążeniu do rwania permanentnych więzów ciągle jeszcze wierzą w zasadę politycznego sprzedać-kupić, tu poprzec tam wyszarpać. Najgorzej jest z własną przeszłością triumwirów. Żółkiewski, po tysiącach akcji represyjnych, na czele których stał, budzi wymioty gdy mówi o wolności. W wewnętrznym kodzie posłów bezpartyjnych w Sejmie Starewicz nazywany jest Fagensem: wiadomo, że dokona każdej egzekucji na zlecenie Pana. Rakowski... Co tu robić i po co sięgnąć? Za co więc chwycić się jak nie za wypróbowaną wśród Polaków wizję wallenrodyzmu.

Polacy uwielbiają wallenrodyzm. Nikt nie napisał o tym zjawisku piękniej od pana Adama i chyba wyrostki żadnego narodu tak tkliwie nie wdychają za życiorysem szlachetnego przeniewiercy. Może dlatego Polacy tak uwielbiają i wdychają, bo nigdy nie mieli pojęcia o tym jak to robić, nie ma w ich historii Talleyrandów, którzy tak imponują ich elicie umysłowej, znużonej własną wersją politycznej spekulatywności w wykonaniu ociężałych Druckich-Lubeckich i Wielopolskich. Komunizm wraz z odmętem swych moralnych pułapek wzmógł niezwykle tęsknoty za wallenrodyzmem, a także jego prestiż społeczny: na dobrą sprawę każdy partyjniak chrzczący dziecko w kościele uważa się dziś nie bez racji za Wallenrodka. Komunizm, zwłaszcza polski, cudownie się do talleyrandowskich praktyk nadaje. Dlatego, na przykład, o partyjnych ludziach, którzy są *zupełnie* jednakowi, mówi się różnie, czasem aż do śmiesznych polaryzacji opinii? W demokracji odczynnik polityczno-moralny funkcjonuje od święta, przy specjalnych okazjach, lecz w komunizmie ten sam lakmus tyra na co dzień, codziennie ujawnia nowy wybór, nową

konieczność wartościowania, w każdej sprawie i okoliczności inaczej, zawsze i nieuchronnie w perspektywie obyczajowej etyki i w odniesieniu do interesów innych ludzi. Stąd ogrom ambiwalencji i całkowita nieprzydatność zbiorczych etykietek. Ten jest dobry, kto jest dobry, dziś, tu, teraz i w konkretnej sprawie. Polityk w komunizmie nie odpowiada za swój program, tylko za swoją przyzwoitość na co dzień, jest ona jego jedynym atutem i tytułem w oczach społeczeństwa, co — przyznać trzeba — jest raczej dziwnym paradoksem. Wybory w komunizmie to rzecz przeżabawna, nie dlatego, że szopka i fałsz, lecz dlatego, że wyborca najpoważniej kieruje się w swym akcie wyborczym nadzieją, iż wybrany poseł *nie będzie* realizował tego co głosi w swym programie, że jest dostatecznie „porządny” aby tego nie wcielać w życie. Perspektywy wallenrodyzmu są więc bezkresne, ale triumwirowie, bazując na nim, poszli dalej i wymyślili coś jeszcze lepszego.

Aczkolwiek — nic nowego. Magiczna formuła i zaklęcie 50 lat urzeczywistniania komunizmu zawierające się w słowach: „on chciał dobrze” nie jest niczym nowym. Po raz pierwszy zastosowano ją do Marksa i Engelsa kiedy okazało się jaka przepaść otwiera się pomiędzy tym czego chcieli, a tym co w imię ich chęci zmaistrowano. „Oni chcą dobrze” mówiono o Leninie i Dzierżyńskim gdy można było myć ręce we krwi w rynsztokach wokół Butyrek i Łubianki. To samo powtarzali kretyni zbierający na MOPR przed wojną gdy ktoś przypadkiem bez taktu wspominał o Stalinie dorzynającym swych najdroższych giermków. Po wojnie długo korzystał z tego dialektycznego *gadget*’u Hilary Minc: pół Polski powtarzało: „on chce dobrze”, podczas gdy ekonomiczny cudotwórca parł z entuzjazmem ku ostatniemu etapowi kolektywizacji, czyli zrównaniu chłopca z ziemią. Totumfaccy Cyrankiewicza od dwóch dekad zapewniają o tym jak on chce dobrze, a tu lata mijają i co? Dodają więc, że bez niego byłoby tysiąc razy okropniej, ale my tego nie wiemy jak byłoby bez niego bośmy jakoś nigdy nie byli, natomiast aż za dobrze wiemy, jak jest z nim. Gomułka długo jeszcze prolongował swą karierę na „on chce dobrze”, szeptanym przez zaprawionych zauszników podczas po-październikowych bankietów, kiedy już każdy nad Wisłą kto miał oczy widział, że on chce jak najgorzej. Melodia jest zatem wypróbowana i liczne Lisieckie ruszyły na Warszawę z idiotycznym uniesieniem w oku i gromkim zawołaniem: „Oni chcą dobrze, jeszcze teraz nie mogą robić dobrze, ale jak im pomożecie i poprzecie ich w walce z tym ciemnym rzeźnikiem z łódzkiego UB, gburem i analfabetą, wtedy oni dojdą do naczelnych znaczeń i zrobią wam dobrze...”.

Przedziwna jest fizjologia kłamstwa i funkcja przeinaczeń w

komunizmie: totalniackie kłamstwo jest bezwysiłkowe, sprężyste i żywotne jak toksyna, której zawsze przeciwstawiać trzeba nową, z trudem zsyntetyzowaną surowicę. Jakże łatwo przychodzi kłamać esesmanom na procesach w Niemczech: rozkaz, musieli, nie wiedzieli. My wiemy, że jest to żrąco-pałącym odwróceniem prawdy, ale jak dezynfekować, filtrować, odkłamywać, rozplątywać? Żółkiewski rozpędził w swoim czasie bestialsko rewizjonistyczną *Nową Kulturę* na rozkaz Gomułki — czy wtedy też chciał dobrze, nie mógł inaczej, musiał? Dlaczego nie pojechał do Krynicy, tłumacząc, że otyli żyją krócej? Dlaczego przyjął zlecenie, a dziś mruga, że on *tego* nie chciał, zaś chciał dobrze? Po proteście 34-ech Rakowski ogłosił wstrętny artykuł w *Polityce*, pełen topornych oskarżeń, bezsensownych, lecz nienaruszalnych w swej prostactości leninowskiego kwestionariusza. Dziś, kokietując różnych 34-ech swą jakoby alternatywną postawą, daje do zrozumienia, że musiał, że konieczność, że wyższa, on tak nie myślał i nie chciał, on chciał dobrze a reszta to taktyka i gra. Mit gry jest jednym z najręczniejszych ukutych: cała maszyneria wyobrażeń i przemyślnie rozsiewanych pogłosek służy w komunizmie stwarzaniu legend, że toczy się jakaś gra gdzie nic się nie toczy, że jacyś o coś grają gdy nie ma żadnych stawek, przegranych, wygranych, programowych różnic i utraty posad, a ciągle wszystko po dawnemu. Nie znaczy, że nie istnieją walki frakcyjne, istnieją, ale to właśnie jest zupełnie coś innego: autentyczne frakcje zwalczające się o faktyczną władzę i różnice zdań wbijają sobie autentyczne noże w autentyczne plecy — ale frontem do narodu, na pokaz, na fotografiach prasowych toną w czułościach, uściskach, objęciach, karesach. Im bardziej i ciszej ktoś szeptem na ucho, że on jest przeciw, tym rozsądniej jest wierzyć, że on jest za; im bardziej daje do zrozumienia jak on chce dobrze, tym ufniej należy sądzić, że on chce bardzo źle. A zresztą: gdzie są gwarancje? Żółkiewskiego, Starewicza, Rakowskiego znamy od 20 lat: czy cokolwiek w ich przeszłości skłania nas do przypuszczeń, że chcą *naprawdę* dobrze? Dlaczego wcześniej nie chcieli? Dlaczego przez 20 lat chcieli bardzo źle? Dlaczego nic nigdy nie uczynili, co wskazywałoby na pozytywny kierunek ich chcenia? Gdzie w końcu naród szukać ma rozróżnień między taktyką a zdrowym rozsądkiem?

Polsko-stalinowska szkoła psychologiczna ma na swym koncie poważne osiągnięcia, całkiem nieznane na Zachodzie. Między innymi bardzo drobiazgowo zbadała korelację pomiędzy czynem, słowem, a myślą u tzw. prawdziwego człowieka. Okazało się, że prawda o człowieku nie pozostaje w żadnym spoistym i logicznym związku z jego czynami, słowami i myślami, a te ponadto nie pozostają w odpowiedzialnej zależności względem siebie wza-

jemnie. Że prawdy o człowieku nie mówią jego czyny udowodnił już całkiem sumiennie Dostojewski. Także prawdy tej nie ujawniają słowa, albowiem wiadomo, że działacz przemawia z otulonej czerwonym sztandarem trybuny nie wierząc ani w ćwierć słowa tego co mówi. Natomiast okoliczność, że można wykonać serię daleko posuniętych łajdactw, lecz jeśli się przy tym myślało, że może to niezbyt przyzwoite, albo komunikowało swe wątpliwości przy kawiarnianym stoliku znajomym, choćby szeptem na ucho — to TO się nie liczy. Odkrycie niniejsze stanowi prawdziwą rewelację i triumf polskiej psycho-moralistycznej szkoły, także na gruncie tradycyjnej moralności chrześcijańskiej, która skłonna była rozgrzeszać nieświadomość (... on nie wiedział co robi...), ale która w osłupieniu przyjęłaby tezę, że ktoś jest niewinny ponieważ miał pełną świadomość i dobrze wiedział co robi, a nawet w przypływie nadświadomości rozprawiał o swych sceptycyzmach ze znajomymi przy wódce. Te zdobycze poznawcze moralistyki polskiej przeniknęły na nieszczęście głęboko do społeczeństwa i Starewicze, Żółkiewscy, Rakowscy wnoszą na nich gmachy nadziei, a także różne konstrukcje destylacyjne do dyfuzji własnych nikczemności.

6

W Polsce mówi się: „On ma teraz trudności...” Znaczy to, że człowiek, który był naszym śmiertelnym wrogiem, egzekwował nasze fizyczne bądź duchowe unicestwienie z bezduszną siłą mechanizmu, planował je chłodno nazywając je służbą sprawie, bądź postępem społecznym, bądź historyczną koniecznością — patrzy nam ostatnio psio i przymilnie w oczy szukając utajonych porozumień i fałszywego, zażenowanego koleżeństwa. Iluśmy takich widzieli. Potrafili się wkradać w nasze współczucie, czasem wręcz w nasz podziw. Nie potrafili nas tylko nigdy przekonać, że gdy się skończą ich trudności — rezultat tego, rzecz jasna, że chcieli dobrze — zmieniają się, będą inni, lepsi. Albowiem widzieliśmy i takich, którzy przewyżczali trudności, wracali do łask i władzy, potencjału wpływów i możliwości. I pozostawali tacy sami — zakłamanymi czcicielami ohydnych przemocy.

Właśnie mówi się ostatnio, że Rakowski ma trudności. Trudno mi coś o tym powiedzieć. Musiałbym go zobaczyć. Wszystko zależy od tego jak się czesze.

Leopold TYRMAND

Książki

Kościół i lewica po latach

ZAMIAST POSŁOWIA

Książkę „Kościół, lewica, dialog”* skończyłem pisać równo pięć lat temu. Propozycję jej wznowienia przyjąłem tyleż z radością, co i z niepewnością. Z radością — bo sięgnie po nią czytelnik młody, bogaty w doświadczenia odmienne. Ale i z niepokojem, czy ta książka może się dziś jeszcze na cokolwiek przysłać? Czy nie jest już całkowitym anachronizmem? Bowiem anachronizmem się stała niemal natychmiast. Rozwijający się w ostatnich latach ruch demokratyczny przełamał rychło dawne podziały na tych, którzy uczyli się politycznej kontestacji w duszpasterstwach akademickich czy Klubach Inteligencji Katolickiej i tych, którzy inspiracji szukali na potajemnych kompletach, gdzie czytano pisma Marksa, Abramowskiego i Ossowskiego, postrzępione roczniki *Po prostu*, zaczytane książki Kołakowskiego i Brusa, przemycone z Zachodu numery *Kultury* paryskiej z tekstami Gombrowicza i Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego i Mieroszewskiego. Na moich oczach powstawała nowa formacja ideowa, której nie potrafię tu szczegółowo opisać, ale którą — w głównych zarysach — łatwo odnaleźć w literaturze „pokolenia 68”, w kinie „moralnego niepokoju”, w Młodym Teatrze, w publicystyce i plastyce, wreszcie w politycznym dziele demokratycznej opozycji lat 1976-1980. Różne podziały będziemy jeszcze oglądać w polskim życiu publicznym, ale — wydaje się — nigdy już ich istotą nie będzie stosunek do religii chrześcijańskiej. Dowodzi tego klimat ideowy w środowiskach demokratycznej opozycji, dowodzi tego wizyta Papieża w Polsce, dowodzi tego przebieg polskiego Sierpnia. Skłonny jestem zatem

* Adam Michnik, *Kościół, lewica, dialog*. „Biblioteka Kultury”, t. 277. Paryż 1977, Instytut Literacki, str. 172.

mniemać — zrozumiiałe — że w swych zasadniczych diagnozach i przewidywaniach moja książka okazała się trafna.

Z pewnością wiele stronici napisałbym dziś inaczej, byłbym ostrożniejszy w niektórych osądach ludzi i instytucji, byłbym precyzyjniejszy w niektórych formułach. Nie jest jednak dobrym obyczajem pisanie własnej biografii wstecz. Niechaj więc pozostanie ta książka w swym pierwotnym kształcie.

W jednej tylko sprawie chciałbym prosić czytelnika o dobrą wolę: by przyjął moje wyjaśnienia terminologiczne. Posługiwałem się formułą „lewicy laickiej”, co bywało odczytywane w sposób niezgodny z moimi intencjami. Dla mnie ta formuła — sam ją wymyśliłem — była próbą nazwania prądu ideowego, a nie konkretnej formacji politycznej. Prąd polityczny o takiej nazwie nigdy nie istniał, a i ja nie próbowałem do życia go powoływać. Stąd utożsamianie „lewicy laickiej” z PPS, eks-stalinowcami czy KOR-em jest zwyczajnym nadużyciem. W moim pojęciu była to formacja *umysłowa* (a nie *polityczna*), której wspólny był gwałtowny antyklerykalizm i negatywny stosunek do religii. Zaliczałem tu zarówno ludzi prześladowanych i tępiących przez stalinizm (Ciołkosz, Cohn, Ossowsky, Pajdak, Pragier, Pużak, Zaremba, Hostowiec, Herling-Grudziński, Jeleński, etc.), jak i tych, którzy w pewnym okresie ulegli „heglowskiemu ukąszeniu”, by później konsekwentnie bronić wolności demokratycznych i praw człowieka. Z tradycyjnym myśleniem tych *wszystkich* ludzi o religii i Kościele próbowałem polemizować.

Posługiwałem się również terminem „socjalizm demokratyczny”. Dziś używam tych słów ostrożnie i z wielkim ociąganiem. Nie dlatego bym zmienił swoją opcję ideową, lecz dlatego, że w polskim życiu publicznym te słowa prawie już nic nie znaczą.

Wielu przyjaciół pyta mnie: czy nie żałujesz swojej książki? Nie, nie żałuję. Najistotniejszą jej propozycją dla ludzi spoza Kościoła było nowe spojrzenie na sam fenomen religii i próba nowego odczytania najnowszej historii Kościoła. Jeśli nawet przesadziłem i nakreśliłem obraz Kościoła zbyt rozjaśniony, to niechaj usprawiedliwi mnie kompletny brak obiektywnych opracowań na ten temat. Dzisiaj, po bogato udokumentowanych książkach Andrzeja Micewskiego i Petera Rainy widzę obraz bardziej zróżnicowany. Ale pytanie to ma również sens bardziej aktualny: czy nie zmieniłem swojej oceny Kościoła Katolickiego w świetle wydarzeń ostatniego roku? Nie, nie zmieniłem. Sądę natomiast, że bardziej pogłębionej i zniuansowanej oceny domaga

się strategia Kościoła w ostatnich latach, strategia oparta na dyalektyce oporu i udziału w oficjalnym życiu publicznym. Taka strategia zawsze składa się z działań i gestów częściowych. Stąd bywa niezrozumiana. Dlatego też należy oceniać ją z dłuższej perspektywy. Wedle mojej oceny bilans strategii Kościoła lat 1976-1980 wypada zdecydowanie dodatnio. Nie aspirując do wyczerpania tematu, wspomnieć mi tu wypada o zdecydowanej obronie przez Episkopat więzionych robotników Radomia i Ursusa, o obronie prześladowanych i więzionych działaczy opozycji demokratycznej, o pięknym liście Prymasa Polski w sprawie „Uniwersytetu Łatającego”...

Prawdziwym symbolem triumfu tej strategii była wizyta Papieża w Polsce i wielki Krzyż na placu Zwycięstwa w Warszawie.

Dla ludzi Kościoła są to wszystko banały i oczywistości. I dla nich wszakże może być interesujące zobaczenie własnych dziejów cudzym okiem.

Piszę te słowa wkrótce po śmierci ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Polski. Wraz z nim skończyła się pewna epoka w historii Kościoła i historii naszego narodu. Był człowiekiem niezwykle formatu, wielkiej odwagi i rozważli. I był człowiekiem żywym, pełnym ludzkich cech, kontrowersyjnych nieraz decyzji. Za wcześniej jeszcze na całościowy obraz jego roli i dokonań. Źle byłoby wszakże, gdyby podziw dla dokonań Prymasa uniemożliwił rzeczową refleksję nad najnowszymi dziejami Kościoła, na rzetelne zestawienie blasków i cieni. Że takie zagrożenie jest realne, wskazuje ton prasy katolickiej w ostatnim czasie. Więcej tam apologetyki i hagiografii, niż rzeczywistego obrazu pełnej dramatyzmu historii Kościoła; niknie gdzieś skomplikowany problem ugody 1950 roku, trudny do oceny zakręt w postawie Episkopatu po uwięzieniu Prymasa, tragiczne dzieje księży-męczenników i smutna karta „księży-patriotów”.

Również późniejsze losy polskiego katolicyzmu obfitowały w napięcia i dylematy. Po 1956 roku nie był to już „Kościół milczenia”, choć nieraz na księży spadały dokuczliwe represje, a Episkopat bywał obiektem brutalnych ataków. Istniały również różnice zdań wewnątrz Kościoła: dotyczyły zmian soborowych, eksponowania kultu maryjnego, recepcji wpływów katolicyzmu zachodniego, np. holenderskiego, roli laikatu. Ten czas czeka na swojego dziejopisę.

Ostatnie dziesięciolecie — znaczone rządami Edwarda Gierka — położyło kres frontalnym atakom na Kościół. Władza zwolna rezygnowała z polityki nękania i poczęła zabiegać o względy Prymasa i Episkopatu. Obiektywna sytuacja Kościoła zaczynała być inna. Chociaż na zewnątrz nic się nie zmieniło, to Episkopat,

kler i cała społeczność katolicka zaczęła stawiać wobec nowych sytuacji i nowych pytań. Te pytania zrodziło pojawienie się na scenie demokratycznej opozycji i tzw. niezależnych instytucji. Działalność mająca na celu samoorganizację społeczną, tworzenie więzi niezależnych od państwa, miała i Kościołowi wiele do zawdzięczenia. Nie tylko faktyczny „parasol bezpieczeństwa”, który limitował represje, ale również określony wzór „obywatelskiego nieposłuszeństwa”, wypróbowany najsukuteczniej przez biskupa przemyskiego, ks. Ignacego Tokarczuka, który w taki właśnie sposób realizował program budownictwa sakralnego w swojej diecezji.

Generalny punkt widzenia Kościoła formułowały komunikaty Episkopatu, ale szczegółowe odpowiedzi były różne: od biskupa ks. Tokarczuka do pewnego biskupa demonstracyjnie biorącego udział w wyborach do Sejmu; od Kardynała ks. Wojtyły broniącego studentów krakowskich, uczestników ulicznej procesji po śmierci Stanisława Pyjasa, po pewnego biskupa oskarżającego uczestników głódówki o „cyniczne wtargnięcie do Kościoła”. Powtórzmy, paleta postaw była bogata. Od ks. Kantorskiego, kapelana głodujących w Podkowie Leśnej, do pewnego księdza dyrektora, którego negatywne wypowiedzi o KOR i KPN cytowała z aprobatą prasa radziecka.

Nie chciałbym tu lekkomyślnie nikomu wystawiać cenzurek, ale tę złożoność obrazu trzeba widzieć, jeśli się chce zrozumieć dzisiejsze dylematy Kościoła. Od czasu istnienia NSZZ „Solidarność” są one jeszcze bardziej skomplikowane. Już choćby problem relacji „Kościół - Solidarność” daleki jest od jednoznacznych rozstrzygnięć. Czy związki zawodowe mają być chrześcijańskie z ducha czy katolickie z litery? Jak odniesie się kler do tej nowej siły społecznej? Jakimi metodami będzie nań oddziaływał? Jak będzie reagował na tendencje klerykalne w łonie związku, na pojawiający się tu i ówdzie fanatyzm i nietolerancję? Czy w praktyce społecznej górę weźmie duch papieskich homilii czy też całkiem inny duch, serwowany przez ulotki „Grunwaldu”? Pewien wybitny działacz związkowy miał powiedzieć o niewierzących związkowcach: „Za mną stoi moja wiara katolicka, a co stoi za nimi? Chyba tylko obce pieniądze...”. Ilu księży przykłaśnie takiemu rozumowaniu, a ilu uzna je za niebezpieczną głupotę? Nie czuję się na siłach na te pytania odpowiedzieć. Czuję się jednak w obowiązku je sformułować. I czuję się w obowiązku ostrzec, że nieraz jeszcze będziemy obserwować manipulację religią, Kościołem i wartościami chrześcijańskimi. Warto być na to przygotowanym, by nie dać się zaskoczyć ludziom, którzy bronić będą Kościół przed „elementami antysocjalistycznymi”. Ignacy Krasicki, który na łamach *Trybuny*

Łudu broni Episkopat przed krytyką ze strony *Kultury* paryskiej — oto przykład symboliczny nadchodzącego czasu.



Jako autor nie mogę się uskarżać na brak reakcji czytelniczej. Zaszczyciło mnie uwagami, recenzjami, polemikami wielu wybitnych znawców przedmiotu, zarówno katolików, jak i laików. Wszystkim chciałbym w tym miejscu podziękować. Jestem ich dłużnikiem. Zawdzięczam im nie tylko daleko bardziej skomplikowany ogląd przeszłości i współczesności Kościoła, ale i bardziej chyba pogłębiony obraz własnej świadomości metafizycznej.

W 1981 roku ukazała się książka ks. Józefa Tischnera „Polski kształt dialogu”. Jest to rzadki przykład wypowiedzi bez knebła wybitnego kapłana i intelektualisty. Zaletą pracy jest więc nie tylko opis historii spotkania i konfrontacji katolików z marksistami, ale i autentyczny zapis stanu świadomości, rejestr zespołu fobii i urazów właściwych określonej formacji katolickiego intelektualisty. Widać to w szczególności na przykładzie opisu drogi życiowej i ewolucji umysłowej Leszka Kołakowskiego. Wnikliwej i mądrej myśli Marksa i teorii marksizmu towarzyszy w książce Tischnera typowo urazowy rozrachunek z jednym z najwybitniejszych polskich filozofów doby współczesnej. Kiedy mówię „urazowy”, to idzie mi o skazę w myśleniu intelektualisty najwyższej rangi; intelektualisty, którego eseje, a zwłaszcza studium o Wielkim Inkwizytorze Dostojewskiego, zaliczam do swoich najistotniejszych lektur w ostatnich latach. Zarzucam więc Tischnerowi, że w rozważaniach o Kołakowskim i jego rówieśnikach chybił, że nie umiał opisać ich intelektualnego i duchowego doświadczenia, tak jak to potrafił zrobić np. Miłosz w szkicach o Borowskim i Krońskim. Nie chcę na tym miejscu podejmować sporu o doświadczenie stalinizmu, choć u znawcy dziejów Inkwizycji i specjalisty od filozofii Heideggera zdumiewać może taka powierzchowność analizy. Podzielając wszystkie moralne osądy Tischnera, jego opis mechanizmu stalinowskiego zniewolenia umysłów przypomina mi okrzyk zdumionej dziewczynki, która widząc żywą żyrafę powiada: „To niemożliwe, żeby ktoś miał taką długą szyję”. Tymczasem mechanizm ideologicznego zniewolenia jest szczególną chorobą naszej epoki i warto uświadamiać sobie, że czyhać na nas może codziennie przybrany w inną frazeologię i ponętny kształt totalitarnej utopii egalitarnej lub elitarniej, narodowej lub uniwersalistycznej, ateistycznej lub wyznaniowej.

Lęk przed totalitarnym zniewoleniem był jedną z istotnych inspiracji mojej książki. W antytotalitarnej wspólnotcie dostrze-

gałem istotny sens spotkania z chrześcijaństwem i Kościołem. Akceptacja bądź sprzeciw wobec ustrojów i ruchów totalitarnych to dla mnie centralne kryterium oceny instytucji, partii politycznych, wreszcie zachowań ludzkich na całym świecie. Jest to dla mnie ważniejsze niż podział na prawicę i lewicę, niż każdy inny podział. Szkoda, że Tischner tego nie dostrzegł.

Składnąd muszę zresztą przyznać, że zostałem w „Polskim kształcie dialogu” potraktowany wielkodusznie i życzliwie, a z większością uwag krytycznych muszę się zgodzić. Nie bez zastrzeżeń wszakże. Oto one:

1. Obraz katolicyzmu wyłaniający się z książki Tischnera jest tak sielankowy, że wszelkie namowy do katolickiego rachunku sumienia, zwłaszcza dziś, w epoce Papieża-Polaka, wydać się mogą nietaktem. Jednak nie wycofuję się ze swoich sformułowań: jak długo ludzie Kościoła nie zrozumieją całej dwuznaczności sojuszu kleru z szowinizmem narodowym w latach Drugiej Rzeczypospolitej, jak długo nie przeprowadzą rzetelnego rozrachunku z tą postawą triumfalizmu wiodącego do nietolerancji, tak długo grozić im będzie niebezpieczeństwo tłumaczenia nauk Ewangelii na język politycznego fanatyzmu. Jak długo obowiązywać będzie ludzi Kościoła zasada „oblężonej twierdzy”, tak długo Prawda ustępować będzie racjom taktycznym, ze szkodą dla wszystkich Polaków. Powiedzmy szczerze, ileż prywatnych dyskusji katolików na temat sytuacji Kościoła i sytuacji w Kościele jest zatajanych bynajmniej nie ze względu na cenzurę państwową? W iluż katolickich intelektualistach drzemie jeszcze wewnętrzný cenzor?

2. Tischner krytykuje ideę „demokratycznego socjalizmu”. „Idea demokracji — pisze — kryje w sobie myśl, że ostatecznym podmiotem władzy jest cały naród, lud, bez względu na różnice klasowe; natomiast idea socjalizmu zawiera myśl, że podmiotem tym jest przede wszystkim 'przodująca klasa narodu' — proletariát przemysłowy; pojęcie 'demokratycznego socjalizmu' jest więc z czysto logicznego punktu widzenia jak pojęcie kwadratowego koła”.

W moim ujęciu przymiotnik „demokratyczny” oznaczał stanowcze przeciwstawienie się wszelkim formom politycznego despotyzmu, wszelkim dyktaturom nazywającym siebie ustrojem socjalistycznym. Z kolei „socjalizm” to dla mnie tyle co trwały ruch upodmiotowienia świata pracy, wyzwolenia świata pracy, ruch oparty o idee wolności i tolerancji, praw człowieka i praw narodu, sprawiedliwego podziału dochodu narodowego i równego startu życiowego dla wszystkich. Jest to definicja całkowicie arbitralna i niewiele mająca wspólnego z leninowską zasadą

„dyktatury proletariatu”. Dominacja wielkoprzemysłowego proletariatu — polegać by miała na faktycznym miejscu w procesie produkcji i strukturze społecznej, a nie na ograniczeniu praw politycznych innych grup ludności. Trudno mi się dopatrzeć tu kwadratury koła.

3. Tischner zauważa, że pojęcie socjalizm „funkcjonuje również w oficjalnym języku tych, z którymi autor jest w konflikcie, w języku partii, aparatu propagandy, w języku ideologów. Rodzi się pytanie: w jakim stopniu pojęcie to znaczy to samo po jednej i po drugiej stronie? Czy może tylko słowo jest takie samo, a treści diametralnie przeciwne? Czy może pozostał jakiś wspólny mianownik? Pytania nie są tylko teoretyczne: idzie o to, czy myśl Michnika mimo wszystko udziela aprobaty temu, co zaistniało w Polsce po drugiej wojnie światowej, czy też uważa, że wszystko było błędzeniem? Czy A. Michnik wierzy, że przynajmniej początki były dobre? Czy w ten sposób, mimo całej krytyki i opozycyjności, udziela on moralnej sankcji zrębom aktualnego systemu? Myślę, że udziela. Nic nie wskazuje na to, żeby było inaczej. Jest to sprawa ogromnej wagi”.

„Nie wiem — pisze dalej Tischner — czy istnieje jakaś inna teoria społeczna oprócz marksistowskiej, która by tak dalece stępiała człowiekowi naturalny zmysł rzeczywistości”.

Myślę sobie, że teorie funkcjonują poprzez ludzi — wyznawców. I myślę, że niejedynemu katolik w niejednej sprawie ma równie jak marksista stępiony „naturalny zmysł rzeczywistości”. Świadczy o tym powyższy wywód Tischnera, którego doprawdy o złą wolę nie posądzam.

Dobry Boże! Wypowiadałem się na ten temat setki razy, słowem mówionym i pisany, zbierałem za to ciągi od komunistów i katolików, a także pozytywnych bezpartyjnych. Prokurator postawił mi formalny zarzut o obrazę państwa, a pewien zacny ksiądz-dyrektor oświadczył, że Kościół z takimi awanturnikami nie miał, i nie chce mieć, nic wspólnego. A wszystko za to, że zwracałem uwagę na nieautentyczność władzy komunistycznej w Polsce, że przypominałem Jałtę, gdzie sprzedano polskie prawo do samostanowienia i wyrażono faktyczną zgodę wobec Stalina na narzucenie Polakom obcego modelu ładu społecznego, przed którym się od 36 lat bronią. A wszystko po to, by dziś usłyszeć pytanie, czy daję moralną sankcję początkom i zrębom tego ustroju! Którym początkom? 17 września? Katyniowi? Procesowi szesnastu? Sfałszowanemu referendum? Sfałszowanemu wyborom? Prześladowaniu żołnierzy AK? Prześladowaniu działaczy PSL? Którym zrębom? Zasadzie rządów partii ko-

munistycznej, która sięgnęła po władzę wbrew polskiemu społeczeństwu i w oparciu o obcą przemoc?

Nie, nie udzielam temu wszystkiemu moralnej sankcji. Uważam, że ten system od początku był w Polsce oparty na przemocy i kłamstwie. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

4. Píše Tischner: „Michnik zwraca uwagę przede wszystkim na dialog na poziomie władzy, a więc na poziomie: episkopat - rząd - biskup - premier, Kościół i aparat partyjny. Tymczasem ten poziom dialogu był wtórny, drugorzędny. Istotny dialog i zasadniczy wybór dokonywał się na poziomie narodu. To naród, to tzw. „prosty lud” wypełniający kościoły i miejsca pielgrzymkowe, bronił się przeciwko procesom socjalizowania”.

Przyjmuję zarzut, że posługiwałem się głównie dokumentami Episkopatu i rządu, że brak u mnie refleksji na temat socjologii katolicyzmu w Polsce. Nie jest to wynik fascynacji władzą, lecz efekt braku jakichkolwiek sensownych danych empirycznych. Wszystko, co mogłem na ten temat napisać, byłoby skażone nazbyt wielką dowolnością. I tak miałem poczucie, że kroczę po dziewiczej ziemi. Tak czy owak powinienem zrobić stosowne zastrzeżenie, co przez nieuwagę przegapiłem.

Tischner dokumentuje swoje tezy cytatami z polemik filozoficznych, zaś jego refleksjom o tzw. „prostym ludzie” czytelnik musi wierzyć „na słowo honoru”. Dopóki Tischner rekonstruuje świadomość swoją i swego otoczenia — zgoda; kiedy jednak mnie zapewnia, że wie jak wyglądała świadomość tzw. „prostego ludu” — to niechaj wybaczy mi, ale zachowam sceptycyzm. Świadomość potoczna w społeczeństwach poddanych totalitarnej presji jest zawsze trudna do odczytania i nazwania. Intellektualiści, którzy wierzą, że ją rozszyfrowali, zwykle biorą własne życzenia za rzeczywistość, uprawiają tzw. chciejstwo. Tyczy to zarówno marksistów, jak i katolików. Tego się nauczyłem żyjąc w tym ustroju 35 lat, że nigdy nie jest tak źle, jak się obawiamy, i nigdy tak dobrze — jak chcemy wierzyć. Jedną z charakterystycznych cech stalinowskiej dyktatury było rozbicie więzi społecznych i sfałszowanie języka. Kościół z pewnością był opoką dla Narodu — o czym zresztą pisałem — ale zakres jego oddziaływania powinien być dopiero przedmiotem badań. Z wszystkich świadectw o egzystencji w systemie stalinowskiej dyktatury przebijają najdotkliwiej doświadczenie samotności i lęku. Pielgrzymki religijne tego doświadczenia nie niwelowały. Książka o życiu codziennym w epoce stalinowskiej jeszcze nie powstała, ale nawet taka książka nie będzie uprawniać do wniosków, kto „żył Polską”, a kto tylko w niej mieszkał. Ponieważ kilkakrotnie słyszałem już od różnych ludzi niezawodne recepty na sprawdzenie, kto „żyje Pol-

ską", to przyrzekłem sobie nigdy już tego typu argumentu — wobec nikogo — nie używać. I również dla mnie nie będzie to już nigdy argument przekonywujący.

5. Tischner uważa pojęcia „laickość” i „lewica” za skompromitowane. „Nie wyobrażam sobie — pisze — by ktoś występujący jako kandydat w wolnych wyborach pod hasłem „laickiej lewicy” uzyskał w tym kraju (...) mandat poselski”.

O kwestiach terminologicznych pisałem wcześniej — zgadzam się z Tischnerem, że konfuzje językowe są tu trudne do uniknięcia. Sprawa ma jednak wymiar szerszy. Podział lewica - prawica odnosił się do rzeczywistości społeczeństw rządzonych systemem parlamentarnym. O komunistach mawiano w takich parlamentach, że oni nie są z lewicy, lecz ze Wschodu. W społeczeństwach rządzonych totalitarnie ten podział stracił społeczną doniosłość. Lecz co będzie w społeczeństwach funkcjonujących na gruzach systemu totalitarnego? Doświadczenia Niemiec, Włoch, Portugalii czy Hiszpanii zdają się wskazywać, że te podziały jakoś się rekonstruują. Tyle empirii. Innych doświadczeń tego typu nie posiadamy. Dysponujemy natomiast doświadczeniem polskim ostatniego roku. Nie wdając się w szczegółowe roztrząsania trudno nie odnotować, że obok postaw demokratycznych, otwartych ujawniły się również postawy autorytarne i dogmatyczne. Będą się również zwolna ujawniały różne wizje ładu społecznego. Nie kłócąc się o terminologię, trudno przecież nie odnotować, że ukonstruuje się ruch społeczny oparty wokół tradycyjnych wartości prawicy, że również nadal będą organizować się zwolennicy idei politycznych „Grunwaldu”, Katowickiego Forum Partyjnego etc. Nie przestaną też istnieć środowiska skupione wokół odmiennych wizji ładu społecznego, wokół idei samorządu i praw człowieka. Moją książkę chciałem uczynić fragmentem takiego ruchu ideowego, który istniał co najmniej od 1968 roku i zdobywał swymi działaniami pewien autorytet w społeczeństwie. Ten ruch — wielonurtowy i wielofunkcyjny — miał niemały wpływ na przebieg polskiego Sierpnia. Ten ruch istnieje nadal. Taka jest treść mego rozumowania — nazewnictwo pozostawiam innym.

I jeszcze jedno. Pisałem swoją książkę z myślą o dotarciu do prawdy, a nie z nadzieją uzyskania mandatu poselskiego. Na tym ostatnim doprawdy mi nie zależy. Nie chciałbym wszakże dożyć czasów, kiedy, dla uzyskania takiego mandatu, trzeba będzie się deklarować jako katolik. Byłaby to wielka klęska polskiej demokracji i wielka klęska polskiego katolicyzmu. I — jestem przekonany — wielka klęska mojego przyjaciela ks. Józefa Tischnera.

6. Nie przyjmuję zarzutu, że centralnym problemem była dla mnie koegzystencja Kościoła z aparatem władzy komunistycznej. Swoją książkę pisałem po to, by ludzie dobrej woli mogli się ze sobą spotkać. To widać na każdej stronie, słysząc w każdym zdaniu. Interesowało mnie spotkanie dwóch typów Polaka: Polaka-katolika i Polaka-radykała. W biografii Polaka-radykała marksizm-leninizm był epizodem, daleko mniej istotnym zresztą niż antyklerykalizm. Stosunek do komunizmu był istotnym fragmentem tego spotkania dwóch Polaków; istotnym, ale nie jedynym. W książce Tischnera problem wyczerpuje się w starciu komunizmu z katolicyzmem. Brakuje mi tam rozdziału o ludziach, którzy przed wojną byli wyklinali z ambon, a po wojnie ścigani przez Urząd Bezpieczeństwa; o wychowankach „Wici” i OMTUR-u, o czytelnikach książek Ossowskiego i „Zniewolonego umysłu” Miłosza, o tych wszystkich „niepokornych” dnia dzisiejszego, którzy w żadnej Wielkiej Instytucji przytułku nie znaleźli, bo go nie szukali.

Zawsze interesował mnie typ człowieka, dobrze znany z historii polskiej literatury, wyznającego chrześcijański kanon wartości, lecz nie ufającego kościelnym realizatorom, wyznającego socjalistyczne marzenie o wolności i sprawiedliwości, lecz nie ufającego partiom politycznym wcielającym te ideały w życie. Bez takich ludzi kultura polska naszego stulecia byłaby smutna i jałowa, tacy ludzie przywracali blask naukom Ewangelii i sens humanistycznemu przesłaniu polskiej tradycji demokratycznej. Tacy ludzie — a byli w Kościele i poza nim — to skarb każdej społeczności, to bezcenny kapitał każdego ruchu ideowego. To autentyczny pomost między pokoleniami, obozami ideowymi, środowiskami. Zabrakło mi takich ludzi na kartach świetnej książki Józefa Tischnera.

Idziemy ku nowej Polsce. Ku Polsce niepodległej i demokratycznej. Idziemy drogą nieprzetartą, otoczeni wrogością i podziwem cudzoziemców. Nie rozumieją nas. Nie jest łatwo zrozumieć ten niezwykły blok społecznej i narodowej solidarności. Nie jest łatwo zrozumieć mszę świętą w strajkującej stoczni im. Lenina; nie jest łatwo zrozumieć strajkujących robotników głuchych na apele biskupa o przerwanie strajku. Nie jest łatwo — również nam samym — zrozumieć Polskę dnia dzisiejszego. Każdy chciałby widzieć ją na miarę swoich marzeń. Z wielkiego tygła przemian społecznych, których jesteśmy świadkami, wyłania się nam mapa ideowa kraju. Myślę, że na tej mapie jest miejsce dla formacji duchowej, która zespoli najcenniejsze wartości Pol-

skiej Partii Socjalistycznej i całej polskiej lewicy demokratycznej z wartościami i dorobkiem polskiego katolicyzmu. Chciałbym, aby temu służyła moja książka.

Lipiec 1981

Adam MICHNIK

O krwisty befsztyk prozy...

W czerwcowej *Kulturze* sprawozdanie Danilewicz Zielińskiej z dyskusji w krajowej prasie na temat współczesnej prozy. Żywe, zajmujące — ponieważ autorka w każdym niemal punkcie polemizuje z prezentowanymi przez siebie tezami i postulatami. Tytuł referatu *Fasada, tyły i „pomiędzy”* nawiązuje — podobnie jak i sama dyskusja — do eseju Barańczaka o podwójności życia literackiego w Polsce, i do książki *Świat nie przedstawiony* Kornhausera i Zagajewskiego (1974), z której tezami z niezwykłym taktem polemizował Błoński w zbiorze esejów *Odmarsz* (1978). Przypomnijmy tu jedną z nich:

„Zajęcie się codziennością to nie jest, wbrew pozorom, recepta na tak zwany mały realizm. Literatura powinna patrzeć na codzienność z ostatecznego, najwyższego punktu widzenia, powinna stawiać codzienności najtrudniejsze pytania, pytając o jej sens, wybadać, czy wytrzyma ten nawał pytań”.

Nie wytrzyma. Biedna, na śmierć zapytana codzienność.

Dyskusja referowana przez Danilewiczową nie jest równa, jeśli chodzi o poziom i autorytet biorących w niej udział. Ale jest w miarę konkretna, bo choć generalizuje i unosi się własną swadą, to dostatecznie często odwołuje się do tytułów i nazwisk. Zbigniew Mentzel zarzuca krajowej prozie, że jest pozbawiona „wymiaru tragicznego” i „jednostronnie naiwna”. Michał Głowiński — że jest pozorna i brak jej istotności: „Istotności literackiej, społecznej, moralnej, filozoficznej, psychologicznej”.

„Głowiński — pisze Danilewiczowa — odnosi się superkrytycznie do (...) poetyckich wspomnień z dzieciństwa, grotesek (owych twórców) stanowiących dwudziestą wodę po Gombrowiczowskim kisielu, wielu tzw. powieści wiejskich, owych do granic wytrzymałości spoetyzowanych i przeestetyzowanych malowań na szkle, kiczowato pięknych jak odpustowe świecidełka”.

Inni ubolewają nad brakiem autentycznego dialogu postaw, który znaleźć można w literaturze emigracyjnej, na przykład w dyskusji między Miłoszem a Gombrowiczem. Oczywiście, najczęściej racji mają najmądrzejsi, czyli Michał Głowiński. Ale

jeszcze więcej racji ma Danilewiczowa, kiedy go mityguje (patrz znakomity *passus* o Berencie) — zaangażowana, ale pełna dystansu, obdarzona świetną pamięcią, ironiczna i pełna tolerancji.

W eseju *O niewiedzy, wyuczonej i literackiej*¹ pisał Miłosz, mając zresztą na uwadze tendencje w literaturze światowej, nie tylko polskiej i nie tylko w prozie:

„Rzeczywistość obywa się bez definicji, tak jak prawda, jak dobro i zło. Najogólniej biorąc, jest to wszystko, co otacza człowieka z tytułu jego urodzenia się w danym miejscu i czasie. (...) Dzisiaj jest to dziejąca się historia całej ziemi. Ale rzeczywistość to także świadomość człowieka, a więc jego wiedza albo niewiedza, jego pamięć albo niepamięć przeszłości, jego nadzieja albo brak nadziei. Tylko że nie dyskursy, rozprawy, artykuły, przemówienia kształtują wyobraźnię człowieka przez którą umieszcza siebie w świecie. Potrzebne są na to obrazy w dziele sztuki obdarzone dostateczną dozą bytu, esse. Patrząc od tej strony na dzisiejszą poezjo-prozę, znajdujemy w niej 'stos pokruszonych obrazów, tam gdzie słońce pali', znakomicie równouprawnionych fragmentów, które pozwalają się domyślać, że autorzy uznaliby nawoływanie do wyboru między percepcjami ważnymi i nieważnymi za głęboko reakcyjne”.

I dalej — tłumacząc swoje zainteresowanie Dostojewskim:

„... realizm Dostojewskiego, świadomie przeciwstawiony przez niego realizmowi pozornemu jego współczesnych, zachowuje dzisiaj nadal żywotność, podczas gdy inne realizmy pachną lamusem. A samym jego sednem było odczytywanie znaków. (...) Rzeczywistość była wielowarstwowa, ale nie wszystkie jej warstwy dostarczały klucza”.

Dyskusja krajowa, choć pełna wigoru, jest intelektualnie dość niemrawym powtórzeniem sformułowań Miłosza, ich adaptacją do problematyki prozy krajowej. Gorzej, że jest ona powtórzeniem dyskusji na temat *małego realizmu*, która z większym uzasadnieniem (i większą beznadziejnością) toczyła się w Polsce w roku 1966. Od tego czasu, a nawet od wydania *Świata nie przedstawionego* wiele się w kraju i w literaturze zmieniło.

Proza krajowa nie dorasta poziomem do poezji, dramatu, krytyki literackiej. Nie stawia pytań rzeczywistości, nie odpowiada na pytania stawiane przez rzeczywistość. Jest niepoważna, zabawia się głupstwami, lubi wdzięczne starocie i odpustowy blichtr. Tak brzmią główne zarzuty w referowanej przez Danilewiczową dyskusji. Ale chyba tylko w Dwudziestoleciu literatura polska przeżyła okres pięknej równowagi między znakomitą — tradycyjną i awangardową — prozą i poezją. Kto wie, czy — patrząc na to dzisiaj — proza Dwudziestolecia nie była bogatsza, bardziej wiodąca w przyszłość od poezji.

Nie leży w interesie ani pisarzy ani krytyków, ani tym bardziej czytelnika w kraju, dzielenie literatury na fasadę i tyły, na pisaną „tutaj”, a drukowaną „tam”, czy drukowaną „tutaj” a pisaną

1. *Kultura* nr 6, 1980.

„tam”, na krajową i emigracyjną. Ten podział jest faktem, ale faktem dziś niwelowanym i traci sens, kiedy prozę krajową stawia się pod pręgierzem, a literaturę emigracyjną — w jej całości — powołuje na świadka oskarżenia.

Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat polskiej poezji „wydarzyły się” — mój wykaz jest osobisty i bardzo selektywny — wiersze Miłosza, *Pan Cogito* Herberta, *Duszycka* Różewicza, zbiory Szymborskiej i Lipskiej, *Psalmy* Tadeusza Nowaka, samobójstwo Rafała Wojaczka, publicystyczna poezja Barańczaka i Krynickiego. W tym samym czasie równie wiele „wydarzyło się” polskiej prozie: przełomowa (politycznie i językowo), ciągle niedoceniana, mała powieść Marka Nowakowskiego *Wesele raz jeszcze* (zdażył ją docenić Kazimierz Wyka na krótko przed śmiercią) i *Księżę Nocy* tego samego autora. „Wydarzyła się” *Gra na zwłokę* Janusza Andermana, dwie powieści Konwickiego, *Maść na szczury* Madeja, *Cudowna melina* Orłósia i parę jego świetnych, drukowanych w *Zapisie* opowiadań. Dalej: *Mój wiek* Wata, *Dziennik pisany nocą* Herlinga, zbiory esejów Miłosza, parę powieści Grynberga. Gwoli prawdzie, wiele z tych nazwisk pada w dyskusji krajowej, ale w porównaniu z poezją wydają się lekkie jak puch i nie stanowią koniecznej przeciwwagi.

Dzielenie literatury na gatunki, przy omawianiu jej ogólnego, i w sumie bardziej politycznego niż artystycznego zdrowia, nie wydaje mi się praktyczne. I nie wydaje mi się sensowne, o czym dalej — także z merytorycznych względów. W ostatnim dziesięcioleciu polska sztuka teatralna — zawsze, poza okresem socrealizmu, kwitnąca — przeżyła swój ogromny renesans. Najwybitniejsze dramaty wyszły spod pióra Mrożka, Różewicza, a z młodszych — Helmuta Kajzara. Ten ostatni jest także autorem małej powieści pt. *Bez końca*, wydanej w roku ubiegłym, i — jako socjologiczny wizerunek pokolenia młodej inteligencji lat 60-tych — nie mniej pasjonującej niż wymieniona już *Gra na zwłokę*, czy *W pełni sił* Adama Zagajewskiego. Większość wyliczonych i niewyliczonych przeze mnie utworów ma dobitną wymowę polityczną. Gatunkowo zaś, nawet dramaty Mrożka, to utwory „nieczyste”, mieszane. Niektóre mocno związane z prozą, inne z poezją, z kolażem. Wszystkie odzwierciedlają problemy, z którymi boryka się nie tylko współczesny Polak, ale i człowiek we współczesnym świecie. Analizują teraźniejszość, stawiają pytania przeszłości. Są subtelne i wnikliwie psychologiczne. Są bogate i różnorodne w stylu i języku. Wydawałoby się więc, że równowaga — nawet przy rygorystycznym podziale na gatunki i geopolitykę druku — została zachowana. Może więc nie tyle chodzi o braki krajowej prozy, ile o potrzebę swobodnego mówienia o literaturze. O jej życie polityczne, czyli nawet w Polsce — przejściowe, a nie artystyczne — czyli nawet w Polsce obiektywne.

Nie zdarzało się dotąd — albo uszło mojej uwagi — żeby publicyści *Kultury* odpisywali z prasy krajowej i przepisane dy-

wagacje serwowali jako oryginalne. Uwagi o niedostateczności polskiej prozy powtarza Krzysztof Zawrat w *Próbie remanentu*², nie nawiązując ani do Danilewiczowej, ani do Miłosza, ani do Barańczaka, ani do *Świata nie przedstawionego*. Zawrat powtarza to, co Danilewiczowa opowiedziała i skomentowała w czerwcowym numerze *Kultury* (a czego znać nie musiał), ale nawet bardzo życzliwe oko (a moje nie jest życzliwe), nie może nie dostrzec uderzających zbieżności — nie tylko w poglądach, ale i w sposobie ich formułowania — z dyskusją która toczy się w kraju. Ważniejsze jednak wydaje się samo meritum sprawy: czy bicie na alarm — z dwóch stron faktycznie uzasadnione. Zawrat pisze (patrz Głowiński i inni z referatu Danilewiczowej):

„Nasza literatura staje się hermetyczna, przez coraz silniejsze zakorzenienie się we własnej mitologii: w chochołach, weselach, polonezach. (...) Mity, aby naprawdę funkcjonowały trzeba ożywiać, wprowadzać w kontekst współczesności, wkomponowywać w nasze obecne życie. Tymczasem nasza literatura jest niewolnicą ustalonych raz na zawsze formuł. A to oznacza że jest niewolnicą sytuacji, że widoczny jest w niej niedowład wartości. (...) Próba nadrobienia tych braków przez narracyjne 'chwytły' czy konstrukcyjne pomysły jest zespołem ruchów pozornych. Żeby pozwalać sobie na podobne gry formalne, trzeba mówić poprawnie i wprost od siebie. Ten wysmakowany Gombrowicz będący dziś bożyszczem młodych pisarzy polskich umiał napisać 'Opętanych', powieść tzw. trywialną. (...) Zasklepianie się w gotowych mitach oznacza pozostanie w skansenie...”

Wszystkie przykłady, którymi posłużyłam się wcześniej, są dokładnym zaprzeczeniem tych ogólnikowych, choć malowniczych zarzutów. I jeśli Zawrat zna przykłady, które by mogły potwierdzić jego tezy, to szkoda że ich czytelnikowi oszczędza.

Autor *Próby remanentu* nie żałuje bowiem w innych fragmentach przykładów pozytywnych. Ale kiedy zarzuca prozie krajowej zamknięcie się w mitach, skostnienie, posługiwanie się mową Ezopa, językowy niedorozwój, ezoteryczność, myślowy bezwład i tępe naśladownictwo — nie padają żadne, dosłownie żadne nazwiska i tytuły. W tym jednym jego artykuł różni się od dyskusji krajowej. Podobnie jak Mentzel i Głowiński, żąda on aby proza krajowa była wizjonerska, a zarazem konkretna. Aby wznosiła się „ponad”, a zarazem „odzwierciedlała”. Ale „ponad” wznosi się Buczkowski, Nowakowski i Nowak — właśnie ci dwaj „ożywają mity” i „wkomponowują je w nasze życie obecne” — nie mówiąc już o Lemie. I każdy z nich „wznosi się” na swój własny sposób. „Odzwierciedlają” zaś Nowakowski i Nowak, Anderman, Konwicki (język Ezopa?), Madej, Orłoś, Grynberg, Kajzar i jeszcze paru innych. Na przykład Kieślowski w swoich scenariuszach filmowych, które są pierwszorzędą, politycznie rozruchową prozą. Nazwiska powtarzają się, bo dobrą literaturę poznać po równowadze tych dwóch elementów. Co robią inni, nie wiem, nie czytałam. Ale wygląda na to, że i Zawrat nie czytał, i to mam mu najmniej za złe. W dodatku nie może on —

dzieląc literaturę polską na pisaną „tutaj” i „tam” — posłużyć się przykładami Orłósia i Madeja, bo Orłoś i Madej mieszkają w Polsce, a drukują w serii *Bez cenzury* i nie mieszczą się w żadnej kategorii.

Problem istotny: ilu dobrych prozaików, ile dobrych książek winno przypadać rocznie na 36 milionów Polaków, żeby nie było powodów do narzekań? Trzydzieści sześć? Osiemnaście? Dziewięć? Ile stron rzetelnej, mądrej prozy winno przypadać rocznie na głowę statystycznego Polaka? Proza polska nie ma Bellowa (i nie będzie miała), nie ma Singera (niewiele brakowało), nie ma Doris Lessing, Angusa Wilsona, Williama Goldinga i — moja jedyna głęboka pretensja — nie ma Milana Kundery. Ale literatura polska nie ma także — co jest zdumiewające, jeśli zważyć jej historyczną tradycję i tendencję literatury światowej — prozy pisanej przez kobiety. Żeby uprzedzić zawsze przy takich okazjach skorych do pośpiechu: dziwi mnie to nie dlatego, że jest na czasie zajmowanie się „sprawą kobiet”. Dziwi mnie to naprawdę.

Na pytanie, dlaczego nie mamy pisarzy tej miary (i sposobu) co wymienieni powyżej — nie ma odpowiedzi. Ani historycznej, ani socjologicznej, ani politycznej, ani psychologicznej. Pan Bóg nie dał — to jedyna odpowiedź. Ale dał za to innych. Dał w każdym pokoleniu, dał w kraju i na emigracji, na fasadzie, tyłach i pomiędzy. Czego więc brak? Prozy, czy może beletrystyki *sensu stricto*: utworów fabularnych z początkiem, środkiem i końcem. Z bohaterem — tak było jeszcze do niedawna, kiedy żyli Hemingway i Camus — z którym czytelnik mógłby się utożsamić, lub na którym mógłby się wzorować? Z bohaterem, którego można by naśladować w sposobie mówienia, chodzenia, picia wódki, obcowania z odmienną płcią (mieliśmy i takiego, ale wybrał śmierć). Z bohaterem, który na wyższym, ale przynajmniej mentalnie, przynajmniej w wyobraźni osiągalnym dla czytelnika poziomie, borykałby się ze sobą, światem, śmiercią i miłością. *One hell of a story* — jak mówią Amerykanie.

Żarty na bok. Zawratowi i innym doskwiera głód solidnych, realistycznych powieści. Takich, które oczywiście podległy wszelkim subtelnym zmianom, jakim powieść realistyczna ulegała od czasów Wirginii Woolf i Henry Jamesa i jakim ulega nadal. Takie powieści mają Rosjanie (nie tylko na emigracji), Amerykanie, Anglicy, podobno Japończycy. Południowa Afryka (sic!) i kraje Ameryki Południowej. Ale już nie Włosi, Niemcy i Francuzi. Ma to w sobie coś z ruchu fali: po wysokiej przychodzi niska. I żadne pohukiwania, żadne hetta wio! nie mają na to wpływu. Bo jednak wszyscy są wzruszająco zgodni, że nie cenzura ponosi główną winę za niedomagania krajowej prozy.

Miłosz pisał we *Wstępie do Traktatu poetyckiego*:

„Ale te walki, gdzie stawką jest życie/toczy się w prozie. Nie zawsze tak było./I niewyznany dotychczas jest żal./Służą, nie trwają, romanse, traktaty./Bo więcej waży jedna dobra strofa/Niż ciężar wielu pracowitych stroniec”.

Przyznam, że kiedy czytam Gombrowicza, Bellowa czy Kunderę, zgadzam się z początkiem Miłoszowej strofy: te walki, gdzie stawką jest życie, faktycznie toczą się w prozie. Ale kiedy czytam Herberta czy samego Miłosza, nie mam wątpliwości, że „więcej waży jedna dobra strofa...”. Jednak w sumie należę do ludzi, którym do życia bardziej potrzebna jest proza niż poezja. Proza — to niekoniecznie znaczy beletrystyka. Proza to także dramaty Mrożka, *Dziennik Herlinga*, *Widzenia nad zatoką San Francisco*, *Apokryfy holenderskie* Herberta. Zestarzałam się i coraz mniej odczuwam potrzebę soczystej fikcji. Ale nie tylko to. Także proza weszła w stadium ostrych poligamii i współżycie — podobnie jak poezja i dramat — z innymi gatunkami literatury i nieliteratury. Przemieszanie gatunków jest faktem dokonany (i najprawdopodobniej nie zawsze dla literatury zbawiennym), choć ludzie ciągle jeszcze pisują „prawdziwe” powieści. Proszę przeczytać ostatnią „powieść” Kundery *O śmiechu i zapomnieniu*.

„Kultura polska — pisze Zawrat — znalazła się w stanie śmiertelnego zagrożenia. Jeśli zaś uznać, że wyrazem samoświadomości kultury jest proza literacka — a są po temu liczne przesłanki — to obraz dezintegracji tej świadomości musi napawać przerażeniem. Zastanówmy się bowiem: jaki utwór współczesnej prozy polskiej obroni się w zderzeniu z literaturą światową (w tym także — z literaturą rosyjską, przede wszystkim niezależną)?”.

„Śmiertelne zagrożenie” i to właśnie teraz, uważam za grubą przesadę. Jeśli istniało, literatura polska — i krajowa i emigracyjna — wyszła z niego obronną ręką. „Dezintegracja świadomości” nie przeraża mnie w tym stopniu, co Zawrata, bo zdążyłam się przyzwyczaić. Dezintegracja świadomości jest stanem współczesnego człowieka i o niej traktuje poważna literatura. Mogę się domyślać, co to jest „samoświadomość kultury”, ale już „liczne przesłanki” wskazujące na to, że właśnie proza literacka jest, winna być jej wyrazem — budzą moje poważne wątpliwości. „Liczne przesłanki” wskazują raczej na to, że różnie się to układa, w zależności od kraju i okresu. „Bo jest poeta w Polsce barometrem” — pisał Miłosz, co prawda dawno temu.

„Chorobą podstawową polskiej prozy — pisze Zawrat — jest brak wizji. Jest to literatura przyszpilona przez sytuację w jakiej powstaje, przez tę sytuację całkowicie zdeterminowana. Brak podstawowy: wzniesienie się ponad świat, w którym się jest zanurzonym, (...) rozbudowania i rozbudzenia w sobie — bo ja wiem czego? — pychy, nienawiści, pokory czy miłości?”.

Brakuje tylko wiary i nadziei.

Jaka jest jednak ta sytuacja, w której powstaje polska literatura, polska proza, polska proza krajowa? Czy ta sama dzisiaj, co jeszcze trzy lata temu lub z końcem lat sześćdziesiątych? Gdyby polska literatura była tak całkowicie zdeterminowana przez sytuację, w której do niedawna jeszcze powstawała — od dawna przestałaby istnieć. I w kraju i na emigracji. Czy Zawratowi przyszło kiedyś do głowy, jak trudno być pisarzem polskim poza krajem? Nie jestem w literaturze zwolenniczką za-

sady „jak się nie ma, co się lubi...”, ale wydaje mi się, że literatura polska jest znacznie mniej „zdeteminowana przez sytuację w której powstaje” niż literatury wielu innych krajów. Owszem, jest zdeteminowana w tym sensie, że spora jej część powstaje przeciw niej (to źle?), że ma swoje źródło w buncie i negacji, lub — jak na emigracji — w heroicznej woli przetrwania i przekazania świadectwa wolnej myśli. Chwała jej za to! Nie każdej literaturze narodowej udało się przeżyć w stanie tak kwitującym tyle lat wygnania i socjalizmu. Zawrat:

„Język jakim mówi proza polska jest językiem martwym, sparaliżowanym, jest językiem bezbarwnym. (...) Brak tej prozie jędrności i miąższu, i — przede wszystkim — rozleglejszej perspektywy”.

Na mój gust, skromny, lecz niezłe wyćwiczony w literaturze światowej — polskiej literaturze nie brak ani „rozleglejszej perspektywy”, ani „jędrności i miąższu”. Ale ja jestem półwegetarianka i nie muszę mieć codziennie befsztyka. Perspektywa Konwickiego wystarcza mi w zupełności, „jędrność i miąższ” odnajduję u Nowakowskiego, Andermana, Madeja — żeby ograniczyć się tylko do literatury, która powstaje w kraju. Wszystkie te książki są pisane piękną, różnorodną, bardzo bogatą polszczyzną. Pisarze, których Zawrat wymienia, a których twórczości przyznaje zaledwie rangę „fragmentów”, „nieśmiałyach urywków”, „świątełek” i „sygnałów” stanowią o polskiej prozie. Znam ludzi, którzy *Mój wiek* Wata uważają za dzieło równe książkom Sołżenicy. A intelektualno-duchowa kronika stulecia, którą spisuje Miłosz (a także Herling-Grudziński w *Dzienniku pisanym nocą*) jest pod wieloma względami równa wspomnieniom Nadieżydy Mandelsztam — tej prawdziwej Księżdzie stulecia. To właśnie za to, za tworzenie „samoświadomości kultury” Miłosz dostał nagrodę Nobla. Nie tylko za poezję.

Ani uczestnicy krajowej dyskusji, ani Zawrat, nie zacieśniają swoich pretensji i żądań, przynajmniej nie *expressis verbis*, do określonego pokolenia pisarzy, tak jak to miało miejsce w latach sześćdziesiątych, podczas dyskusji nad *małym realizmem*. Żaden kraj nie posiada kilkudziesięciu wybitnych prozaików naraz. Żyje jeszcze Leopold Buczkowski, jedyny pisarz w Polsce rangi i wyobraźni Borgesa. Na mniejszą skalę „wzniósł się” ostatnio Strykowski w kostiumowym — i dla mnie przenużonym, ale przez krytykę w Polsce (także w *Zapisie*) bardzo chwalonym *Przybylszu z Narbony*, a ostatnio w jeszcze nudniejszym *Tomasso del Cavaliere*. „Wznosi się” Jan Józef Szczepański w znakomitej *Ultima Thule* (żeby tylko wymienić jego ostatni utwór), Andrzej Szczypiorski w *Trzech ludziach w bardzo długiej podróży* (a czy już jest przestarzała jego przepiękna, napisana dwanaście lat temu *Msza za miasto Arras?*). Z młodszych „wznosi się” Łubieński w powieści *Pod skórą*. To tylko pierwsze z brzegu przykłady, a przecież jest ich więcej.

„Bohaterowie naszej prozy — pisze Zawrat — nie widzą dalej czubka

własnego nosa, a i tego często nie dostrzegają. (...) Brak warsztatu jest kolejną wadą polskiej prozy współczesnej. Jest to proza w której konkret pozostaje sprawą drugoplanową. Przez to proza ta wyjąłowana jest z rytmu czasu”.

Jak nie kijem ją, to pałką. Polskiej prozie brak, krótko mówiąc, wszystkiego. Została ujęta w ontologiczny nawias: jest, ale nie istnieje. Jej bohater — żąda Zawrat — winien być „uniwersalny”, nie zredukowany do „bycia Polakiem”, nie powinien wstydić się „deklamacji”. Niech Bóg uchowa polską literaturę od uniwersalnego bohatera, a da jej Warszawiaka na miarę Dublińczyka z jednej znanej, choć już starej powieści. Jeżeli nie będzie zredukowany do „bycia Polakiem” (oj, nie to miał Gombrowicz na myśli!), to co się stanie z tak pożądaną wyżej konkretnością i „kolorytem czasu”? I od kiedy to Polak wstydi się „deklamacji”? „Nieźmiernie rzadko — czytamy dalej — zdradza się bohaterowi naszej prozy robienie zakupów czy odnoszenie rzeczy do pralni (...)”. *Kompleks polski* — Zawrat to wie — toczy się w kolekcje przed sklepem jubilerskim. Odnoszenie rzeczy do pralni jest zajęciem wystarczająco nudnym w życiu, żeby jeszcze obarczać nim „uniwersalnego” bohatera prozy. W latach bojów z *małym realizmem* krytycy narzekali, że życie bohatera polskiej prozy składa się *wyłącznie* z robienia zakupów (wtedy jeszcze od biedy można było coś kupić) i uniwersalnego *Welt-schmerzu* od kanapy do stołu. „Uniwersalność” — choć wiem, że ta sprzeczność nie jest w literaturze konieczna — bardzo prędko wyparowuje w pralniach i kolejkach.

Ale Zawrat na tym nie kończy. „Jedno jest pewne: literatura polska musi się nauczyć swobodnie mówić — pełnymi zdaniami i 'od siebie'”. Jak nie niemowa, to jękała! Czy Zawrat naprawdę nigdy nie zwrócił uwagi na absolutne, graniczące z akrobacją, mistrzostwo języka Buczkowskiego? Na wyrafinowany, bardzo specyficznie stylizowany język Nowakowskiego, na żargonowo-poetycką, rwaną, zadyszana w rytmie polszczyznę Andermana? Na barokowe bogactwo języka opowiadań Madeja? Na język tych wszystkich, których wymieniłam i których on sam wymienia. Jak można tyle wiedzieć, tyle żądać i tak nic nie słyszeć?

Nie brak w literaturze polskiej ani pełnych ani niepełnych zdań. I jakkolwiek mówi, to na pewno mówi „od siebie”. Jest różnorodna, bo posługuje się mową nie tylko jednego środowiska. Bywa synkretyczna, zdeintegrowana, bo takie są sprzeczności naszych czasów. Potrafi być klasyczna. Spór o to, czy literatura ma dezintegrację odzwierciedlać, czy przezwytyczać — a dotyczy to także języka i mieszania gatunków — jest sporem ciągle otwartym.

Po wszystkich jeremiadach dochodzimy jednak do źródła całego nieszczęścia:

„Ta sytuacja literatury — pisze Zawrat — jest chyba refleksem sprawy ogólniejszej i nie stanowi chyba tylko jej 'winy'. Nie istnieje po prostu w żadnej dziedzinie opis realiów powojennej rzeczywistości polskiej. (...)

Mijają dziesięciolecia, a społeczeństwo nie ma możliwości uporządkowania własnych doświadczeń. Takie społeczeństwo pozbawione wiedzy o sobie samym, obrabowane z możliwości dokonania syntezy, skazane jest na wegetację. W prozie widać to najwyraźniej — jest to gałąź literatury wegetująca, zajmująca się strzępami zdarzeń (...) o której ogólnym obrazie nie ma pojęcia, a jeśli nawet ma, to nie potrafi zdać z niego sprawy”.

Mnie się zdaje, że polskiemu społeczeństwu grozi w tej chwili bardziej niedożywienie fizyczne, niż wegetacja duchowa. I muszę przyznać, że w tym jednym punkcie stawiam literaturze większe wymagania niż Zawrat. Jeśli narodowi brak podręczników historii i socjologii, to jest obowiązkiem pisarza, żeby je sam, na swój sposób pisał. I nie co innego działa się w polskiej prozie ostatnich dziesięciu lat. Pisarz jest między innymi od tego, żeby uzupełniać luki w świadomości wspólnoty, w której — i dla której — pisze. Pisarz nie jest wytworem świadomości czy samowiedzy społeczeństwa. Jest — z grubsza biorąc — jej twórcą. Mniemanie odwrotne jest marksistowskim przesądem. Po drugie: społeczeństwo pozbawione wiedzy o sobie samym i nie łaknące tej wiedzy (co jest niemal jednoznaczne) nie robi rewolucji. Polskie społeczeństwo zrobiło rewolucję. Udział literatury w tej rewolucji był zgoła imponujący. Dwanaście lat temu obraz „samoświadomości” społeczeństwa — na swój sposób genialny — stworzył Konwicky we *Wniebowstąpieniu*: socjalizm oglądany przez człowieka cierpiącego na zanik pamięci, z dziurą w głowie (tak jak Gustaw Mickiewicza w swoim czasie chodził z dziurą w piersi). Przez żywego trupa!

Ale nawet, gdyby było tak, jak chce Zawrat i tępą, socjologiczną koncepcją literatury... Milan Kundera wyjechał z Czechosłowacji dopiero w roku 1975, kiedy wymazanie „samoświadomości” społeczeństwa czeskiego było faktem dokonany. Kundera poświęcił całą swoją twórczość przywracaniu narodowi pamięci, jego samowiedzy, świadomości historycznej, kulturowej i politycznej. To on nazwał Husaka „prezydentem niepamięci”, a Pragę — miastem, które zapomniało jak się samo nazywa. (Ciekawostka: Warszawa *Wniebowstąpienia* jest również miastem bez nazwy, podobnie jak jej ulice). Czesi poznali bez porównania boleśniej proces, w którym narodowi odbiera się jego pamięć. Ale nie przeszkodziło to ani Kunderze (który większość swoich książek napisał przed wyjazdem), ani Skvořeckiemu, pamięć tę odbudowywać, przywracać.

Zawratowi brak współczesnej *Lalki* Prusa. Co jakiś czas polskiej krytyce brak *Lalki*, ale rzadko z mniejszym uzasadnieniem niż teraz. Czasem trzeba się rozejrzeć i sprawdzić czy tego, czego nam brak, nie ma przypadkiem w pobliżu. Nawet Grudzińskiemu zamarzyła się niedawno wspaniała książka, którą Woroszyński mógłby napisać o Tadeuszu Borowskim. Tyle że ta książka już była. Co prawda nie wspaniała, ale wydrukowana. Nazywała się *Literatura*.

Zgadzam się z Zawratem, a raczej z Głowińskim, że za dużo w naszej literaturze stylizacji i dziwaczenia, przynajmniej jeśli

sądzić po mamucich fragmentach prozy drukowanych w *Twórczości*. Całkiem niedawno zwracał na to uwagę Grudziński, przestrzegając przed powierzchownym naśladowaniem Borgesa i Gombrowicza. Być może — choć tego nie jestem już pewna — za dużo, jak pisze Zawrat, „chochołów, wesel, polonezów”. O ile wiem, przynajmniej o jednego *poloneza* za dużo. Napisał go Jerzy S. Sito i jest to nie proza, a sztuka teatralna. Ale po premierze krytyka piała z zachwyty i pastiszowa rymowanka, zakończona sceną, w której Kościuszcze Żydzi grają poloneza, otrzymała pierwszą nagrodę na festiwalu polskich sztuk współczesnych. Mam jedno zastrzeżenie, choć może nieuzasadnione, bo przy „chochołach, weselach, polonezach” nie pada żaden tytuł czy nazwisko. Do tego sielankowego majdanu nie wrzucałbym Tadeusza Nowaka (i nie robi tego krytyka krajowa), bo w jego prozie, podobnie jak w poezji, za wycinkami leje się krew, rozsypują w proch tradycje, religie i etyczno-społeczne normy.

Osobiście — żyję pełną ciekawości i wiary. Wiary — że najlepsze książki powstałe na emigracji zostaną wydane w kraju. Ciekawości — co nowego napiszą Herbert, Nowakowski, Nowak. Wierzę także, że rośnie pokolenie prozaików i poetów, lepszych od „pokolenia 68”, a nie gorszych od tych, którzy piszą teraz, pisali od lat, i — mam nadzieję — nadal będą pisać. Jakoś to będzie, jak mówi moja mama. Najważniejsze, żeby był papier i żeby zelżała cenzura. Polska literatura, polska proza jest świetna. A najistotniejsze zostało powiedziane w *Piśmie*, krakowskim miesięczniku literackim, w recenzji Jerzego Kwiatkowskiego ze *Szkiców o literaturze emigracyjnej* Danilewicz Zielińskiej:

„Począwszy od roku 1939 literatura polska toczy się dwoma nurtami, rozdzieliła się na dwie jak gdyby rzeki, przegrodzone wysokim murem. (...) Jest to sytuacja nienaturalna, niesamowita, choć — niestety — nie po raz pierwszy zdarza się w naszej historii. Przez wiele lat przyzwyczailiśmy się do takiego stanu rzeczy, przestaliśmy dostrzegać jej monstrualność. Musimy sobie tę monstrualność uświadomić. Jest naszym obowiązkiem dążyć do zburzenia tego muru”.

Janina KATZ HEWETSON

P.S. Nie wiem, czy Zawrat mieszka „tu”, czy „tam”. Wiem jednak, że publikuje „tu”, czyli na emigracji. Ostatni gwóźdź do trumny, jaki wbija literaturze, to oskarżenie o nijakość krajowej krytyki literackiej. Jest to — łagodnie mówiąc — nieuzasadnione. Po drugie dlatego, że emigracja, poza Jeleńskim i Brońskim, nie ma krytyków literackich. Po pierwsze zaś dlatego, że kraj ma Błońskiego, Kijowskiego, Berezę, Kwiatkowskiego, Łukasiewicza, Falkiewicza i jeszcze wielu innych. Systematycznych wizjonerów z tradycji zarówno Brzozowskiego jak i Irzykowskiego, stawiających literaturze różnorodne i wygórowane żądania. Krytyków uczciwie towarzyszących pisarzom, operujących wizją i konkretem, utwierdzających i burzących ich osiągnięcia, odwiecznych wrogów, zapamiętałych przyjaciół.

J. K. H.

Nadeślane nowości wydawnicze

- KRÓL (Marcin). *Józef Piłsudski: ewolucja myśli politycznej*. Str. 27. (Wyd. NOW-a w cyklu wykładów TKN-u, Warszawa 1981).
- AMSTERDAMSKI (Stefan). *Życie naukowe a monopol władzy (casus Łysenko)*. Str. 41. (Wyd. NOW-a w cyklu wykładów TKN-u, Warszawa 1981).
- PILNIAK (Borys). *Śmierć Komandarma. Opowieść niezgaszonego księżycza*. Str. 32. (Wyd. NOW-a, Warszawa, marzec 1981).
- SOLŻENICYN (Aleksander), SACHAROW (Andrzej). *Polemika wokół „Listu do przywódców Związku Radzieckiego” Solżenicy-na*. 1973-1974. Str. 60. (Przedruk z *Aneksu*, wyd. NOW-a, Warszawa, maj 1981).
- ŻUŁAWSKI (Zygmunt). *Wspomnienia*. Str. 184 i 2 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa, sierpień 1980).
- MLYNAR (Zdenek). *Mról od Wschodu*. Przeł. Paweł Hartman. Str. 185 i 3 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa, marzec 1981).
- Poznański czerwiec 1956. (*Materiały do wykorzystania w publikacjach prasowych*). Opracowali prof. dr hab. J. Maciejewski i doc. dr hab. Zofia Trojanowicz. Str. 28. (Wyd. Biuro Prasowe MKZ Wielkopolska, Poznań 1981).
- ZIELIŃSKI (Leszek). *Ogień i lek*. Słowo wstępne: Edward Dusza. Wiersze. Str. 44. (Wyd. A. Poray Book Publishing, New York 1981).
- Rok odnowy. Karykatury i rysunki z prasy zachodniej*. Str. 40. (Wyd. Polonia Book Fund Ltd., Londyn 1981).
- GOŁUSZKO (Wiktor). *Ulisses*. Str. 63. (Wyd. OPiM, Londyn 1981).
- PODGÓRECKI (Adam). *Opowieści Si-Tiena*. Str. 77 i 6 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1975).
- SWIDERSKI (Jan i Bronisław). *Autobiografie*. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. Poets' and Painters' Press, Londyn 1981).
- SMIEJA (Florian). *Kopa wierszy*. Str. 66 i 2 nlb. (Wyd. Silcan House, London, Ontario).
- MYCIELSKI (Józef). *Kamienie świętu*. Str. 40. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1979).
- BOCHEŃSKI (Aleksander). *Materiały do kroniki rodzinnej Bocheńskich*. Str. 149 i 14 nlb. (Wyd. Quick Print, Fryburg w Szwajcarii).
- Pamiętnik Literacki* t. IV. Str. 171 i 5 nlb. (Wyd. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn 1981).
- KOCZY (Leon). *Kościół w okresie wczesnego średniowiecza*. Str. 31 i 5 nlb. (Wyd. Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego, Biblioteka w Szkocij).
- CIECHANOWSKI (Jan). *O genezie i upadku II Rzeczypospolitej*. Str. 44 i 4 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn 1981).
- SULIKOWSKI (Andrzej). *Egocyzm i egzocyzm. O „Dzienniku” Gombrowicza*. (Nadbitka z *Pamiętnika Literackiego* LXX, 1979, nr 3, str. 95-114).
- SULIKOWSKI (Andrzej). *Wspomnienie ostatnich lat*. (Nadbitka z *Księgi Pamiętkowej ku czci Kazimierza Wyki*, str. 392-398).
- Stosunki polsko-niemieckie 1831-1848: Wiosna Ludów i okres jej poprzedzający*. *Materiały Konferencji Komisji Mieszanej Unesco PRL-RFN do spraw ulepszenia podręczników szkolnych w PRL i RFN w zakresie historii i geografii* (Deisesheim, 16-21 maja 1978 r.). Red. Włodzimierz BORODZIEJ i Tadeusz CEGIELSKI. (Nadbitka wydawnictwa PAN, Wydział Nauk Społecznych, str. 77-100).
- Podstawowe założenia reformy gospodarczej (projekt)*. (Opracowała Komisja do Spraw Reformy Gospodarczej, wyd. nakładem Trybuny Ludu, Warszawa, styczeń 1981, cena zł 2).

- ZIEMNICKI (Waldemar J.). *Drwiciy bóg podróży*. Wiersze. Str. 54 i 6 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1981, cena zł 15).
- ZIEMNICKI (Waldemar J.). *Skreślony*. Wiersze. Str. 54 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1979, cena zł 15).
- JELEŃSKI (Constantin). *Anthologie de la poésie polonaise. 1400-1980*. Nouvelle édition, réalisée en collaboration avec Zofia Bobowicz. Str. 525 i 2 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozanna 1981).
- Solidarnosc et la democratie. Recueil de textes*. Str. 67 i 4 nlb. (Wyd. Comité „Solidarité avec Solidarność”, Paryż, sierpień 1981).
- PRZYBYLSKA (Wanda). *Journal de Wanda Ecrit à Varsovie 1942-1944*. Présentation, traduction et notes de Zofia Bobowicz. Str. 150 i 2 nlb. (Wyd. Editions Cana, Paryż 1981).
- L'URSS et l'Europe de l'Est en 1980-1981. Notes et études documentaires sous la direction de Thomas Schreiber. Str. 344. (Wyd. Documentation Française, Paris 1981).
- MAREK (Edmond). *Polonica. Notes de lecture et communications (1956-1967)*. Str. 24. (Wyd. Université de Toulouse-Le Mirail, séction de polonais).
- MAREK (Edmond). *Kochanowski et la Pléiade, légende et réalité*. (Nadbitka z „Revue de Littérature Comparée”, tome LV, nr 2, avril-juin 1981, str. 208-225).
- POGONOWSKI (Iwo). *Practical Polish-English and English-Polish Dictionary*. Str. 340. (Wyd. Hippocrene Books, New York, cena \$ 6,95).
- POGONOWSKI (Iwo). *Dictionary Polish-English, English-Polish. Complete Phonetics. Contemporary Usage American and Polish*. Str. 367 i 5 nlb. (Wyd. Hippocrene Books, New York).
- RAINA (Peter). *Independent Social Movements in Poland*. Str. 632 i 2 nlb. (Wyd. London School of Economics and Political Science, Londyn 1981).
- MIŁOSZ (Czesław). *The Captive Mind*. With a new foreword by the author. Str. 251 i 3 nlb. (Wyd. Vintage Books-Random House, New York 1981, cena \$ 4,95).
- MIŁOSZ (Czesław). *Nobel Lecture*. Str. 55 i 3 nlb. (Wyd. dwujęzyczne, angielsko-polskie. (Wyd. Farrar Straus Giroux, New York 1981, cena \$ 5,95).
- Mac SHANE (Denis). *Solidarity. Poland's Independent Trade Union*. Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Spokesman, Wielka Brytania, 1981, cena £ 3.50).
- IWANSKA (Alicja). *Exiled Governments Spanish and Polish. An Essay in Political Sociology*. (Wyd. Schenkman Publishing Co., Cambridge Mass., 1981, cena \$ 13,25 lub £ 4.95).
- PODGÓRECKI (Adam). *The Apophthegms of Si-Tien*. Str. 30 i 6 nlb. (Wyd. Poets' and Painters' Press, Londyn 1981).
- PASZKOWSKI (Lech). *Social Background of Sir Paul Strzelecki and Joseph Conrad*. Przedmowa prof. J. Zubrzycki. Str. 56 (Wyd. Australia Felix Literary Club, Melbourne 1980, cena \$ a. 3,00).
- CHECINSKI (Michael). *A Comparison of the Polish and Soviet Armaments Decisionmaking Systems. A Project AIR FORCE report prepared for the United States Air Force*. Str. 87. (Wyd. Rand, Santa Monica CA., January 1981).
- Europa. A Quarterly Magazine of European Politics and Culture*. Vol. 1, nr 1, June 1981, cena \$ 7,50).
- IWANIUK (Wacław). *Evenings on Lake Ontario*. Wiersze. Str. 60 i 2 nlb. (Wyd. Hounslow Press, Toronto 1981).
- T. G. Masaryk in Perspective. Comments and Criticism. Edited by Milič Capek and Karel Hruby. Str. 282 i 2 nlb. (Wyd. SVU Press, 1981).
- PODGÓRECKI (Adam). *The Polish Burial of Marxist Ideology*. Str. 29 i 6 nlb. (Wyd. Poets' and Painters' Press, Londyn 1981).

Polish Uncensored Publications 1976-1981. Polskie Wydawnictwa Pozacenzuralne. An Exhibit in Widener Library, Harvard University, September 1 - September 30, 1981. (Wyd. Harvard University, Cambridge, USA, 1981).

SZPORLUK (Roman). *The Political Thought of Thomas G. Masaryk*. Str. 244 i 6 nlb. (Wyd. East European Monographs, Boulder, distributed by Columbia University Press, New York 1981).

LEFTICH CURRY (Jane), ROSS JOHNSON (A.). *The Media and Intra-Elite Communication in Poland. Summary Report*. Str. 44. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica, USA, December 1980).

LEFTICH CURRY (Jane). *The Media and Intra-Elite Communication in Poland: Organization and Control of the Media*. Str. 98 i 2 nlb. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica, USA, December 1980).

LEFTICH CURRY (Jane). *The Media and Intra-Elite Communication in Poland: The Role of „Special Bulletins”*. Str. 19. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica, USA, December 1980).

LEFTICH CURRY (Jane). *The Media and Intra-Elite Communication in Poland: The System of Censorship*. Str. 60. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica, USA, December 1980).

ROSS JOHNSON (A.). *The Media and Intra-Elite Communication in Poland: The Role of Military Journals*. Str. 26 i 2 nlb. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica, USA, December 1980).

Le comuni radici cristiane delle nazioni europee. Colloquio internazionale per rendere operante l'appello di Papa Giovanni Paolo II a Gniezno (3 giugno 1979, Pentecoste). Str. 210 i 2 nlb. (Wyd. czterojęzyczne, włosko-polsko-francusko-angielskie, wyd. Pontificia Università Lateranense, KUL, Roma, Città del Vaticano).

LEDERER (Jiří). *Mein Polen lebt. Zwei Jahrhunderte Kampf gegen Fremdherrschaft*. Z czeskiego przełożył Bedrich Utitz. Str. 269 i 3 nlb. (Wyd. Bund-Verlag, Kolonia 1981).

Autoren im Exil. Oprac. Karl CORINO. Str. 297 i 7 nlb. (Wyd. Fischer Taschenbuch Verlag, 1981).

Landkarte schwer gebügelt. Neue polnische Poesie 1968 bis heute. Oprac. Peter RAINA. Przełożyli: K. Dedecius, M. Kurecka, P. Lachmann, P. Raina, i W. Wirpsza. Pośłowic W. Wirpsza. Ilustr. Helena Szacki-Bohle. Str. 133 i 3 nlb. (Wyd. Oberbaumverlag, Berlin 1981).

Deutsche diplomatische Berichte zur Ernennung von Oberst Józef Beck zum polnischen Außenminister. Oprac. i komentarzem opatrzył Paweł Korzec. (Nadbitka z „Zeitschrift für Ostforschung”, zeszyt 2/3 1980, str. 367-384).

Ukraińska Narodna Respublika. Uriady UNR na Bat'kiwszczyni i w ekzyli. Str. 15. (w: *Ukrainica Exiliana* nr 3, wyd. U.N.G.E. Center — Dim UNR, Philadelphia, Pa., USA).

Tymczasowy zakon DC UNRespubliki. Str. 22. (w: *Ukrainica Exiliana* nr 1, wyd. U.N.G.E. Center — Dim UNR, Philadelphia, Pa., USA).

WOJCENKO (Ołena). *Profili dijačziw Ukrajinškoji Narodnoji Respubliki*. Str. 48. (w: *Ukrainica Exiliana* nr 5, wyd. U.N.G.E. Center — Dim UNR, Philadelphia, Pa., USA).

Fiasko Madridskoj Konferenciji. 1980-1981. Str. 15. (w: *Ukrainica Exiliana* nr 9, wyd. U.N.G.E. Center — Dim UNR, Philadelphia, Pa., USA).

RUDNYČKYJ (J. B.). *Z ukrajinškoji ekzylnojidi idioleksi*. Str. 24. (w: *Ukrainica Exiliana* nr 7, wyd. Umman and Ukrainian Language Ass., Ottawa 1981).

RUDNYČKYJ (J. B.). *Iwan Franko i Nobelivśka Nahoroda 1916*. Str. 16. (w: *Slavistica* nr 80, San Francisco-Montreal 1980).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

12-10-81

Zakończono w PRL przegląd lokali biurowych użytkowanych przez administrację pod kątem widzenia wykorzystania ich na cele społeczne. Przeglądem objęto także obiekty będące w budowie, a także budynki terenowych Komitetów PZPR i organów MO. Uzyskano około miliona m² powierzchni w lokalach i budynkach, która będzie mogła być wykorzystana dla powiększenia bazy lecznictwa, oświaty i na inne cele socjalne jak również na mieszkania.

15-10-81

Redaktor naczelny *Sztandaru Młodych* Jacek Nachyła został odwołany z tego stanowiska za ogłoszenie wywiadu z Jackiem Kuroniem. Członkowie redakcji rozpoczęli strajk protestacyjny.

16-10-81

W Katowicach miała miejsce kolejna próba uprowadzenia samolotu na trasie Katowice-Gdańsk. Jest to czwarta nieudana próba porwania samolotu. Wszystko wskazuje na to, że są to prowokacje Urzędu Bezpieczeństwa.

27-10-81

Zmarł w Warszawie w wieku 97 lat Mieczysław Szerer. W czasie wojny był członkiem Rady Narodowej w Londynie, wrócił do Polski w 1947 roku i został sędzią Sądu Najwyższego. W 1957 roku opracował raport, w którym dokonał oceny roli sędziów Najwyższego Sądu Wojskowego w okresie stalinowskim. Raport ten był opublikowany w *Zeszytach Historycznych* (nr 49 z 1979 r.).

28-10-81

W porcie szczecińskim przeładowano w br. ponad 2 mln ton zboża i pasz. W tej liczbie było 120 tys. ton zboża tranzytowego, sprowadzanego drogą morską przez Czechosłowację i NRD.

1-11-81

Jury nagrody literackiej im. Kazimierza Wyki w Krakowie przyznało nagrodę prof. Janowi Błońskiemu za całokształt twórczości krytyczno-literackiej i naukowej. Nagrodę literacką im. Andrzeja Bursy przyznano Leszkowi Szarudze za całokształt twórczości poetyckiej, krytykę literacką oraz popularyzację wartości humanistycznych na łamach prasy.

3-11-81

Na skutek skargi redakcji *Solidarności* Naczelny Sąd Administracyjny uchylił szereg konfiskat m.in. następujące dwie noty: W niezależnym wydawnictwie — Alternatywy — wydana została książka Leszka Kołakowskiego „Główne nurty marksizmu”. Jest to przedruk z 3-tomowego wydawnictwa Instytutu Literackiego „Kultura” w Paryżu. (Kronika). ■ 7 października br. odbyło się zebranie Zarządu Fabrycznego NSZZ „Solidarność” Ursus. Na zebraniu obecni byli przedstawiciele KKK NZS i Niezależnej Oficyny Wydawniczej „NOWA”. Członek Prezydium KKK NZS L. Przysiężny poinformował zebranych o represjonowaniu pracowników biura KKK NZS za działalność wydawniczą. Przedstawiciele „Nowej” oświadczyli, że w sytuacji

nasilających się szyszan ze strony władz, proponują ursusowskiej „Solidarności” zawarcie umowy o współpracę. Zarząd fabryczny upoważnił prezydium Zarządu Fabrycznego NSZZ „Solidarność” przy „Ursusie” do przygotowania umowy. (Kronika).

5-11-81

Dziennik NSZZ „Solidarność” region Mazowsze, redagowany przez Konrada Bieleńskiego, został zamknięty przez Zarząd regionu. Przyczyną tego była akcja pewnych elementów Mazowsza zwalczających byłych współpracowników KSS „KOR”. ■ Bohaterowie są zmęczeni... niezależny miesięcznik *Res Publica* uzyskał status pisma „legalnego” i będzie wydawany w nakładzie 15.000 egzemplarzy przez Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK w Krakowie.

6-11-81

Zmarł w Warszawie w wieku 76 lat prof. Stanisław Mazur, wybitny uczony, współtwórca polskiej szkoły matematycznej.

10-11-81

Prokurator Generalny PRL M. Czubiński „podał się do dymisji”. Jego nazwisko, jak i b. rektora Uniwersytetu Warszawskiego Rybickiego, stało się symbolem łamania praworządności w Polsce. ■ *Z osłej łęki*. W nr. 19-ym dwutygodnika *Nowe książki*, ukazującego się w Warszawie, p. Anna Bojarska — recenzując niedawno wydaną książkę Antoniego Słonimskiego pt. „Ciekawość” — pisze: „... Ostatnie słowa w tomie, ostatni niedokończony akapit zwraca się nostalgicznie ku Polsce międzywojennej... tej, w której było się u siebie. Potem nadszedł i utrwalił się ten świat 'nie własny'. Może nawet łagodniejszy od dawnego: w porównaniu np. z antysemityzmem przedwojennym kampania antysyjonistyczna 1968 roku była żarcikiem przed-szkolaka”. Niech nas Bóg zachowa od takich „przedszkolaków” i od pań typu Anny Bojarskiej.

11-11-81

Robotnicy stoczni remontowej w Gdańsku postanowili nadać jej nazwę „Stoczni im. marsz. Józefa Piłsudskiego”. Nazwa ta będzie obowiązywać od 11 listopada br., to znaczy dnia Święta Niepodległości, obchodzonego do czasu dojścia do władzy komunistów w Polsce. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 75 lat Jerzy Kornacki, pisarz, współzałożyciel grupy prozaików „Przedmieście”. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 74 lat Bohdan Łączkowski. W okresie międzywojennym współpracownik Instytutu Badań Konjunktur Gospodarczych, współredaktor miesięcznika *Gospodarka Narodowa*, szef Biura prasowego Rady Ministrów. W okresie powojennym m.in. minister pełnomocny PRL przy GATT w Genewie i redaktor naczelny *Rynków Zagranicznych*. ■ Nagroda literacka im. Andrzeja Struga za rok 1981 została przyznana Zbigniewowi Herbertowi za całokształt jego twórczości.

ZACHÓD — EMIGRACJA

18-10-81

Z inicjatywy prof. Andrzeja Vincenza odbyło się w Heidelbergu (RFN) spotkanie grupy miejscowej inteligencji polskiej z prof. W. Sukiennickim i dyskusja na temat odmiennych metod integrowania Europy Wschodniej ze strony zachodniej i wschodniej.

20-10-81

Zmarł w Londynie Juliusz Łada-Grodzicki, ekonomista, działacz społeczny i dziennikarz, b. prezes i długoletni członek zarządu Anglo-Polish Conservative Society.

28-10-81

W P.O.S.K. w Londynie odbyła się uroczystość wręczenia nagród Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Jerzy Pietrkiewicz został nagrodzony za całokształt twórczości, a Zofia Romanowiczowa za najlepszą książkę roku — „Skrytki”.

29-10-81

W wydawnictwie L'Age d'Homme w Lozannie ukazało się nowe uzupełnione wydanie książki „Anthologie de la poésie polonaise”, opracowanej przez Konstantego Jeleńskiego przy współpracy Zofii Bobowicz z przedmową Czesława Miłosza.

30-10-81

W Paryżu odbył się koncert „Zakazanej piosenki” w wykonaniu Jacka Kaczmarskiego (piosenka z filmu „Człowiek z żelaza”), Zbigniewa Łapińskiego i Przemysława Gintrowskiego. Koncert miał ogromne powodzenie.

1-11-81

Sunday Mirror na podstawie listu od polskiej matki błagającej o pomoc dla mającego się urodzić dziecka ogłosił apel „Save the Polish Children”, działając w porozumieniu ze Zjednoczeniem Polek. W ciągu zaledwie paru dni otrzymano ponad £ 2.000 gotówką oraz całe tony odzieży i żywności (ponad 600 paczek). Duża firma Bootsa zaoferowała 11 ton żywności dla niemowląt wartości £ 66.000. 550 supermarketów Tesco z terenu całej Wielkiej Brytanii ogłosiło, że kto chce odpowiedzieć na Apel „Ocal polskie dzieci”, będzie mógł złożyć swój dar w wybranym przez siebie sklepie Tesco. W każdym więc z supermarketów umieszczono puszkę i duże plakaty wydrukowane przez *Sunday Mirror*.

2-11-81

Doroczna nagroda londyńskich *Wiadomości* za książkę wydaną w 1980 roku została przyznana Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu za „Dziennik pisany nocą”. Nagrodę za najlepszy utwór opublikowany w *Wiadomościach* w 1980 roku otrzymała Janina Kościakowska za fragmenty prozy pt. „Najjaśniejsza”. Fundatorem nagrody za książkę (£ 300.00) jest p. Tadeusz Waleczak, za utwór (£ 120.00) — p. Irena Wandycz.

5-11-81

Russkaja Mysl w Paryżu rozpoczyna druk w odcinkach książki Wiktora Woroszyłskiego pt. „Cyryl, gdzie jesteś?”. Jest to książka dla dzieci, która została wydana w Warszawie w 1962 roku. Jednocześnie z drukiem tej książki *Russkaja Mysl* ogłosiła konkurs na najlepsze rysunki dziecinne. ■ Z inicjatywy zmarłego w 1966 roku Stefana Zamoyskiego została utworzona Fundacja jego imienia (Stefan Zamoyski Education Fund). Celem tej Fundacji jest stworzenie księgozbioru cennych dzieł i rękopisów z zakresu historii i kultury polskiej. Kapitał zakładowy, wynoszący na początku £ 10.000, obecnie przekroczył już £ 15.000.

7-11-81

W ostatnich tygodniach miał miejsce w Londynie IV festiwal poezji i sztuki. Szereg imprez odbyło się w P.O.S.K.-u; m.in. otwarto wystawę poświęconą

życiu i twórczości Czesława Miłosza, zorganizowaną przez p. Urszulę Świącicką. Ponadto zorganizowano wieczór poezji Czesława Miłosza w tłumaczeniach: angielskim, niemieckim i francuskim. Niezależnie od festiwalu p. Wiesław Strzałkowski na wieczorze pt. „Poeta i metafizyk” mówił o filozoficznym aspekcie poezji Czesława Miłosza. Wieczór ten miał miejsce w Instytucie i Muzeum im. gen. Sikorskiego.

13-11-81

W Centre du Dialogue w Paryżu Prymas Polski, Józef Glemp, wygłosił odczyt pt. „Życie religijne w Polsce w świetle ostatnich synodów diecezjalnych”.

15-11-81

Redakcję *Tygodnika Polskiego* w Londynie obejmuje z początkiem 1982 roku p. Mikołaj Szumski, dawny współpracownik *Dziennika Polskiego* i wieloletni współpracownik sekcji polskiej Radia Wolna Europa.

19-11-81

W Galerie Jean-Briance w Paryżu została otwarta wystawa malarska Józefa Czapskiego. Wystawa będzie trwać do 14 stycznia 1982 roku.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Biuro Prasowo-Informacyjne NSZZ „Solidarność”, które powstało 24. 9. br. w Nowym Jorku i zainaugurowało swą działalność wydaniem pierwszego numeru *Biuletynu*, zorganizowaniem konferencji prasowej i zapowiedzią dalszej obsługi informacyjnej — w dniu 30. 10. br. rozesłało do miejscowej prasy komunikat zawiadamiający, że z dniem 30. 10. br. przerywa dalszą działalność. Według oświadczenia kierownictwa tej placówki została ona zamknięta na skutek decyzji NSZZ „Solidarność”. Uznano, że utrzymywanie tego rodzaju agencji w Nowym Jorku jest niewskazane. Biuro Prasowo-Informacyjne NSZZ „Solidarność” mieściło się w okresie swego krótkiego istnienia w lokalu Amerykańskiej Federacji Nauczycieli, będącej jedną z organizacji związkowych należących do AFL-CIO. Kierownikiem ośrodka prasowo-informacyjnego był p. Zygmunt Przetakiewicz, który w dniu 20. 9. br. wziął udział w tzw. „Paradzie Solidarności” w Waszyngtonie, zorganizowanej przez centralę AFL-CIO przeciwko polityce wewnętrznej prezydenta Reagana.

KRONIKA KANADYJSKA

W październiku br. zmarł w Ottawie w wieku ponad 90 lat inż. Józef Polkowski, jeden z kustoszów depozytu wawelskiego przechowywanego w Kanadzie, znanego powszechnie jako „Skarby wawelskie”. ■ Zbiórka na Dom im. Jana Pawła II została zakończona. W Kanadzie zebrano około \$ c. 110.000, a ogółem — \$ c. 2.500.000. Zbiórka została zainicjowana przed dwoma laty przez Radę Koordynacyjną Polonii Wolnego Świata. ■ Rząd federalny rozluźnił niektóre postanowienia ustawy imigracyjnej w związku z falą uchodźców z Polski, którzy obecnie znajdują się w obozach w Austrii. Kanada postanowiła przyjąć w bieżącym roku o 1.300 osób więcej niż przewidywano. Poprzednia kwota wynosiła 4.000. Odnosi się ona do wszystkich

uchodźców z państw Europy Wschodniej. Obecnie napływają głównie uchodźcy z Polski. Minister Imigracji, Lloyd Exworthy, poinformował na konferencji w Toronto, że urzędnicy imigracyjni w Wiedniu załatwili w ciągu dwóch tygodni 1.500 aplikacji polskich uchodźców. Przybędą oni do Kanady w listopadzie br. Polscy turyści znajdujący się w Kanadzie mogą ubiegać się o stały pobyt zgłaszając się do urzędów imigracyjnych jako *self-exiled* i otrzymają zezwolenie na podjęcie pracy. Nie wykluczył możliwości uznania Polski za kraj dotknięty klęską, a wówczas zostałyby zawieszone różne postanowienia ustawy imigracyjnej, co pozwoliłoby na przyjęcie większej ilości osób, przyspieszenie procedury itp. Minister oświadczył, że w stosunku do uchodźców z Polski przepisy imigracyjne będą stosowane bardzo liberalnie. ■ Wydział konsularny ambasady kanadyjskiej w Warszawie udzielił w 1980 roku 7.926 wiz, a odmówił wizy 417 osobom. W pierwszym kwartale 1981 roku wpłynęło 5.895 wniosków wizowych, załatwiono 2.087 (udzielono wiz 1.973 osobom, a odmówiono 114). ■ Jeden z nowo-mianowanych konsulów PRL w Toronto, Marek Ostaszewski, zniknął w kilka dni po objęciu urzędowania. Gdy przez kolejne dwa dni nie zjawił się w biurze, udano się do jego mieszkania i stwierdzono, że opuścił je wraz z żoną. Samochód służbowy pozostawił, lecz nie w domu. Konsulat Generalny PRL w Toronto potwierdził fakt zniknięcia Ostaszewskiego.

B. H.

KRONIKA SZWEDZKA

28 października sowiecki okręt podwodny U 137 osiadł na mieliźnie w szwedzkiej wojskowej strefie ochronnej, mieszczącej się głęboko w archipelagu, w najbliższym sąsiedztwie Karlskrony, głównej bazy szwedzkiej marynarki wojennej. Tego samego dnia dokonywano w tej okolicy prób nowego systemu torpedowego, skierowanego przeciwko okrętom podwodnym. Rząd szwedzki złożył rządowi sowieckiemu protest utrzymany w najostrzejszym tonie. Rząd sowiecki wyraził swe ubolewanie, tłumacząc się błędem nawigacyjnym spowodowanym uszkodzeniem żyrokompasu. Tłumaczenie zostało odrzucone przez rzeczoznawców szwedzkich, a rząd zażądał inspekcji okrętu i przesłuchania kapitana. Strona sowiecka tylko częściowo uwzględniła to żądanie, godząc się na przesłuchanie kapitana ale nie zezwalając na inspekcję części torpedowej okrętu. Jak potem wynikało z telewizyjnego sprawozdania szwedzkiego komandora prowadzącego rozmowy i przesłuchania, strona sowiecka groziła, że przeszkodzi tej inspekcji siłą. Rząd szwedzki natomiast zakazał wojskowym używania w tym konflikcie siły. Stwierdzono oficjalnie, że jest to najpoważniejsze zjawisko, jakie dotknęło Szwecję od czasu drugiej wojny światowej. Incydent nabrał rozgłosu światowego, gdy okazało się, że okręt podwodny wyposażony był w torpedy z głowicami nuklearnymi. Ustalono za pomocą aparatury zewnętrznej, że na pokładzie okrętu znajduje się radioaktywny materiał uran 238. Stwierdzenie to wywołało szok w szwedzkim społeczeństwie. Skoro nawet ten przestarzały typ okrętu podwodnego wyposażony jest w broń atomową, znaczy to, że wszystkie okręty sowieckie na Bałtyku posiadają broń atomową. Powszechna opinia, łącznie z przywódcami opozycyjnych stronnictwa socjaldemokratycznego i umiarkowanej prawicy a nawet komunistów, udzieliła całkowitego poparcia stanowczemu stanowisku rząd. Rząd i przedstawiciele wojska zbrojkotowali tegoroczne przyjęcia wydawane z okazji obchodów rocznicy Rewolucji Październikowej w Moskwie i w ambasadach sowieckich na całym świecie, a na defiladzie sowiecką w Moskwie nie poszli również przedstawiciele innych skandynawskich ambasad jak i większości Europy Zachodniej.

Incydent spowodował szereg protestacyjnych demonstracji przed ambasadą sowiecką w Sztokholmie, które gromadziły po kilka tysięcy osób. Przywódca socjaldemokracji Olof Palme, który dawniej zwykł był krytykować tylko Amerykę, tym razem wystąpił bardzo ostro na wiecu protestacyjnym w dniu 6 listopada, rzucając hasło: „Precz ze wszystkimi okrętami z bronią atomową z obszaru Morza Bałtyckiego”. Łódź została przez Szwedów zdjęta ze skały, na której osiadła w dniu 2 listopada, i przeholowana 6 listopada poza obszar terytorialny, gdzie przez 9 dni napięcia stało w oczekiwaniu 11 okrętów sowieckich.

W dniu 7 listopada odbył się w Sztokholmie wiec antysowiecki połączony z marszem pod sowiecką ambasadę. Zorganizowany był przez Östeuropeiska Solidaritetskomitten a poparty przez polskie, bałtyckie i inne organizacje uchodźcze. Pomimo zamieci śnieżnej wzięło w nim udział ponad 1.500 osób. Szczególne zainteresowanie wzbudziły wśród dziennikarzy szwedzkich i amerykańskich grupy polskie z polskimi sztandarami i znaczkami Solidarności. Jednym z głównych haseł było: „Sowieci nie mieszajcie się w sprawy polskie”. Jeden z transparentów polskich miał napis: „Europo śpij spokojnie, sowieckie rakietki Cię obudzą!”. Socjaldemokracja szwedzka, która miała wziąć udział w pochodzie, zblamowała się tym razem. Wycofała swój udział tłumacząc się tym, że wiec skierowany jest przeciw Sowietom.

Międzynarodowy Instytut Badania Pokoju SIPRI (z siedzibą w Szwecji) znalazł się pod ostrzałem krytyki. W instytucie tym przeważają wpływy lewackie i prosowieckie. Stale przebywają tam naukowcy wysyłani oficjalnie z krajów Paktu Warszawskiego. W czerwcu 1981 skazano w Oslo pracownika naukowego SIPRI, Owena Wilkesa, na osiem miesięcy więzienia i 10.000 koron grzywny. Tenże Owen Wilkes postawiony został 26 października przez prokuratora szwedzkiego w stan oskarżenia „za ciężkie naruszenie zakazu zajmowania się tajnymi danymi, które w sumie dają ścisły obraz aktualnego systemu obrony Szwecji”. Prokurator określił przestępstwo Wilkesa jako „ciężkie”. Dodać tu należy, że Wilkes wydał w ramach SIPRI książkę poświęconą bazom NATO w krajach nordyckich a jest nadal zatrudniony w SIPRI. Całkiem inaczej zachował się SIPRI, gdy inny badacz tejże instytucji, Polka Maria Lunderius, obywatelka szwedzka, opracowała w ramach oficjalnego tematu SIPRI (Obecność wojskowa w różnych krajach) zagadnienie: „Obecność wojskowa ZSSR w państwach Układu Warszawskiego”. Pracy nie tylko nie opublikowano, ale nie odnowiono również z panią Lunderius kontraktu. SIPRI korzysta z subwencji Parlamentu szwedzkiego.

Według informacji niektórych szwedzkich dzienników szarą eminencją SIPRI jest Teodor Nemec, naukowiec oficjalnie wydelegowany przez Czechosłowację i zatrudniony w SIPRI od czasów powstania Instytutu.

Również w Danii wykryto aferę szpiegowską, w wyniku której wydalono drugiego sekretarza ambasady sowieckiej w Kopenhadze, Władimira Merkułowa. W związku z tym policja zatrzymała również duńskiego lewicowego pisarza Arne Herlöv Petersena i jego żonę, oskarżonych o współpracę z wydalonym dyplomatą. Petersenowi zarzuca się m.in., że otrzymywał on z ambasady sowieckiej fundusze na opłacanie tzw. akcji ruchu pokoju.

Profesor Wiktor Sukiennicki przemawiał 1 października w Federacji Uchodźstwa Polskiego na temat „Czy Starszy Brat jest naszym krewnym?”. W tejże Federacji przemawiał 30 października Andrzej Drawicz, wybitny

rusycysta, m.in. współredaktor wydawanego w kraju *Zapisu*. Drawicz był zaproszony do Szwecji przez Instytut Słowiański Uniwersytetów w Sztokholmie i Uppsali, gdzie mówił o „Mało znanej sztuce o Stalinie — 'Batum' — autorstwa Michała Bułhakowa”.

29 października spółka wydawnicza Bromberga wydała czwartą z kolei książkę Czesława Miłosza, „Rodzinna Europa”, pod szwedzkim tytułem „Mitt Europa”. Krytyka wyraża się o tym dziele Miłosza z zachwytem: „Miłosz jest nie tylko wielkim pisarzem ale i nadzwyczajną osobowością. Dzieło to, to doświadczenia 70-letniego Wschodnioeuropejczyka w stuleciu wielkich katastrof” — pisze Göran Borge, krytyk *Svenska Dagbladet*. Ta sama spółka wydawnicza wydała także na jesieni Juliana Strykowskiego „Przybysza z Narbony” (Ynglingen fran Narbonne). Spółka Wydawnicza René Coeckelbergh wydaje w grudniu „Małą Apokalipsę” Tadeusza Konwickiego. Wydawnictwo Prisma wydało autobiograficzne opowiadanie Mirjam Akavii pt.: „Skymningstid” (Czas Zmierzchu). Mirjam Akavia urodziła się w Krakowie. Miała 11 lat gdy wybuchła wojna. We wzruszający sposób opisuje ona tragiczny los swego o 3 lata starszego brata. Jej samej udało się uratować życie dzięki fałszywym papierom otrzymanym od Polaków. Mirjam Akavia, która znalazła się po wojnie w Szwecji, jest żoną byłego dyplomaty ambasady izraelskiej w Sztokholmie. Bromberg wydał tej jesieni jeszcze jedną powieść Isaaca Bashevis Singera, której akcja toczy się w Polsce, mianowicie „Dom Jakuba”.

Najpoczytniejszy poranny dziennik szwedzki, *Dagens Nyheter*, zamieścił 20 września całostronicowy wywiad z Leszkiem Kołakowskim, którego pismo charakteryzuje jako „najznakomitszego a zarazem kontrowersyjnego filozofa naszych czasów”.

Związek Szwedzkich Urzędników Prywatnych TCO podjął wśród swoich członków akcję pomocy dla Solidarności. W wyniku tej akcji zostanie zakupiona i przekazana Solidarności kompletna drukarnia.

W Szwecji panuje obecnie największe od roku 1930 bezrobocie. Liczba bezrobotnych dojdzie zimą do 180.000, czyli wyniesie 4 % ludności. W tej sytuacji Urząd Imigracyjny zajmuje jeszcze bardziej restrykcyjne stanowisko wobec Polaków ubiegających się o prawo pobytu i pracę, względnie azyl polityczny. Od lipca ub. roku do lipca br. jedynie 70 Polaków otrzymało pozwolenie na pozostanie w Szwecji (azyl polityczny). W tym samym okresie 915 Polaków otrzymało takie zezwolenie na podstawie ustawy o łączeniu rodzin. Od stycznia 1981 roku w Urzędzie Imigracyjnym leży około 1.800 podań czekających na załatwienie. Są to zarówno podania o azyl polityczny, jak i sprawy łączenia rodzin. Biorąc pod uwagę obecną sytuację należy stwierdzić, że znikoma ilość ludzi będzie mogła tu pozostać. Uwzględnione zostaną naprawdę tylko bardzo poważne powody. Nie bez wpływu na nieprzychylną atmosferę ma całkiem nowa i dominująca wśród nielegalnych pracowników olbrzymia grupa Polaków. Według *Svenska Dagbladet* (27. X.

br.) wydano przymusowo do Polski w jednym tylko miesiącu wrześniu 141 Polaków pracujących nielegalnie w samym tylko Stockholmie.



1 kwietnia weszła w życie nowa ustawa określająca warunki uzyskania pozwolenia na stały pobyt w Szwecji po zawarciu małżeństwa z osobą zamieszkałą w Szwecji. Według nowych przepisów imigracja do Szwecji w związku z posiadaniem tu bliskiej osoby dopuszczalna jest tylko po uzyskaniu zezwolenia na pobyt i pracę przed przyjazdem. Zawarcie małżeństwa nie powoduje już automatycznego pozwolenia na stały pobyt. Podanie o nie należy złożyć w ambasadzie lub konsulacie szwedzkim w kraju, w którym się mieszka. W podaniu należy wyjaśnić, dlaczego chce się osiedlić w Szwecji i podać nazwisko i adres narzeczonego. Znany nam już jest wypadek, w którym Polce, która przybyła tu po 1 kwietnia jako turystka i zawarła w Szwecji legalnie małżeństwo z miejscowym Polakiem, odmówiono prawa stałego pobytu z nakazem powrotu do Polski.



W końcu września przebywał w Szwecji opiekun duchowy polskiej emigracji, biskup Szczepan Wesoły, wizytując polskie ośrodki katolickie. W związku z pobytem biskupa w Szwecji dokonano w katolickim kościele w Malmö odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci ofiar w Katyniu.



Znana specjalistka języka islandzkiego, zamieszkała w Szwecji od 1939 roku Polka, dr fil. Apolonia Załuska-Strömberg, została przez rząd Islandii odznaczona krzyżem rycerskim Białego Sokoła. Order został jej przyznany za pionierskie przekłady i komentarze do sag staroislandzkich wydanych po polsku.

Norbert ŻABA

NOTY

OBYWATELSKI KOMITET PAMIĘCI O MARSZAŁKU POLSKI EDWARDZIE RYDZU-SMIGŁYM

Obywatelski Komitet Pamięci o Marszałku Polski Edwardzie Rydzu-Smigłym powołany przez Koło Kombatanów przy NSZZ „Solidarność” w Gdańsku w składzie: Jerzy Kanicki, Hubert Górnowicz, Władysław Korczak, Wacław Podhereski, Tadeusz Szulc, Wiesław Śniadecki, Stanisław Mościcki przy poparciu i współpracy: gen. bryg. w st. sp. Mieczysława Boruty-Spiechowicza, prezesa PAN prof. dr. Aleksandra Gieysztor, prof. dr. Janusza Groszkowskiego, red. Tadeusza Mazowieckiego, rektora UW prof. dr. Henryka Samsonowicza, Komendanta Okręgu Łódź AK płk. Michała Stempkowskiego, przewodniczącego KKP „Solidarność” Lecha Wałęsy zwraca się do wszystkich Polaków w kraju i za granicą z gorącym apelem o uczczenie pamięci ostatniego Marszałka Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej Edwarda Rydza-Smigłego.

Celem działań Komitetu jest przerwanie zmywu milczenia wokół jego postaci jak i zdarzeń historycznych, w których los kazał mu działać.

W 40-tą rocznicę śmierci Marszałka, przypadającą w końcu bieżącego roku, pragniemy doprowadzić do ekshumacji jego prochów i przeniesienia ich do kwatery żołnierzy Września na wojskowym cmentarzu powązkowskim, jako właściwym miejscu wiecznego spoczynku.

Komitet żywi nadzieję, że cel, który sobie postawił, zrealizuje przy poparciu i pomocy większości Polaków, co stanowić będzie motywację jego działań.

Apelujemy do artystów, by w drodze konkursu określili najważniejszy kształt i formę grobowca.

Komitet uważa także, że dystans czasowy — ponad 40 lat — pozwala bez zbędnych emocji spojrzeć i wreszcie obiektywnie ocenić wydarzenia z tamtych wrzesniowych dni, w których trudy i znój żołnierski tak ofiarnie ponoszony, do dziś nie doczekał się uczciwej, historycznej prezentacji.

Liczymy na to, że gdy doceni się heroizm armii, nie będzie można nie pamiętać o jej Wodzu Naczelnym, którego tragizm wypadków — bez jego woli i winy — uwiłtał w konfliktowe sytuacje.

Komitet Obywatelski jest wolny od chęci dodawania osobie Marszałka Rydza-Smigłego cech czy przymiotów, których nie posiadał, pragnie jednak, by społeczeństwo ujrzało go i zachowało w swej pamięci, jako Wodza Naczelnego Sił Zbrojnych Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej, opuszczonej w potrzebie przez wszystkich, a które to siły, przez niego kierowane i dowodzone, wskazały światu granice ustępstw, jakich — bez obawy upodlenia — nie bacząc na ofiary, naród przekraczać nie może.

Ofiary należy kierować na konto NSZZ „Solidarność” Koło Kombatanów, Gdańsk, ul. Grunwaldzka 103 PKO II Oddział Gdańsk - Wrzeszcz nr 19523-2567-32 z dopiskiem „Komitet Pamięci”. Korespondencji oczekujemy na adres: Urząd Poczto-Telekomunikacyjny, ul. Długa 22/28, 80-801 Gdańsk 50, skrytka pocztowa 101.

Redakcja „Tygodnika Solidarność”

ODZYSKIWANIE PAMIĘCI NARODOWEJ

Jednym z najważniejszych wydarzeń ostatnich tygodni jest przywrócenie Święta Narodowego 11 Listopada — przywrócenie narodowi polskiemu postaci Marszałka Józefa Piłsudskiego. Pozostaje jednak jeszcze jedna rewindykacja: Belweder — Belweder, który stał się symbolem walki o niepodległość i którego nazwa jest nierozdzielnie związana z Marszałkiem.

Po usunięciu powojennych intruzów Belweder powinien zostać — tak jak był przed wojną — Muzeum Marszałka Piłsudskiego.

Ponadto NSZZ „Solidarność”, region Mazowsze, powinien zająć się zabezpieczeniem domku Marszałka w Sulejówku, który w pamięci większości Polaków związany jest z Jego osobą. W domku tym mieści się miejskie przedszkole dla 123 dzieci, aczkolwiek domek ze względu na szczupłość pomieszczeń i złe oświetlenie całkowicie się do tego celu nie nadaje. Domek niszczeje, a trudno się spodziewać aby ZBOWiD czy Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa zajęły się tą sprawą skoro „zapomniały” o cmentarzach żołnierzy polskich rozsypanych na terenach ZSSR i Środkowego Wschodu.

Listy do Redakcji

Paryż, 5 października 1981.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o zamieszczenie tego listu na łamach *Kultury*. Niniejszy list piszę w celu odrzucenia kłamstw o KPN. Takie listy jak A. Mietkowskiego sięgają niepotrzebny i szkodliwy zamęt. Już wcześniej mieliśmy do czynienia z podobnymi oszczerstwami, które szkodzą całej opozycji w kraju. To wszystko zmusiło mnie do zabrania głosu w tej sprawie.

Będąc działaczem „Solidarności” i Konfederacji Polski Niepodległej sporo podróżowałem po kraju co pozwoliło mi poznać wielu środowisk opozycji. W Paryżu jestem od 4 tygodni i nie mogę biernie przysłuchiwać się fali dezinformacji na temat KPN, którą rozpętali pseudodziałacze tacy jak A. Mietkowski. Obecna sytuacja opozycji w Polsce wygląda zupełnie inaczej niż przedstawiają to ci panowie. Ostatnie miesiące przyniosły wiele zmian. Tworzy się sporo nowych partii i organizacji politycznych. Szereg z nich opiera się na założeniach KPN, która wraz z KSS KOR zainspirowała powstanie nowego ruchu opozycyjnego. Dużą rolę należy przyznać MKZ-otom, które szeroko propagując idee i program KPN również przyczyniły się do formowania nowej inicjatywy niepodległości. Również społeczeństwo akceptuje i popiera przywódców KPN wyrażając to zainteresowaniem, i solidaryzując się z ich poglądami. Częstym widokiem w MKZ-otach jest spora liczba osób pragnących nabyć materiały drukowane przez niezależne wydawnictwa. Dużym wzięciem cieszyła się broszura — „Rewolucja bez rewolucji” napisana przez Leszka Moczułskiego w 1979 roku (!). Obecna sytuacja w ogromnej mierze potwierdza przewidywania autora, o których A. Mietkowski wyraża się, że są „zupełnie oderwane od rzeczywistości”. To samo dotyczy programu, którego idea niepodległej Polski skusiła kregi społeczeństwa do walki o lepsze jutro. Wyraz poparcia KPN stanowiły też marsze protestacyjne i głodówki mające na celu uwolnienie jej przywódców.

W tej chwili po rozwiązaniu KSS KOR, KPN stanowi (dotychczas) jedyną siłę mogącą zmienić formy rządów w kraju. Najprężniejszym ośrodkiem tej partii jest woj. katowickie, gdzie zrzesza kilka tysięcy członków i zwolenników, którzy wyrazili akces przystąpienia. Podobnie rozwija się w Bielsku Białej, Częstochowie, Gdańsku, Krakowie, Lublinie, Opolu, Warszawie i Wrocławiu.

Muszę też wyjaśnić pozycję Macieja Pstrąg-Bieleńskiego, który w dalszym ciągu jest pełnomocnikiem KPN na za granicę. Oświadczenie w tej sprawie wydano w maju br. Mag. M. Pstrąg-Bieleński w roku 79 był jednym z założycieli nowo powstającej partii, następnie wyjechał za granicę w celu zorganizowania pomocy, o którą było trudniej w kraju z powodu szykan i prześladowań. Jego dotychczasowa działalność pozwoliła pozyskać nowych sympatyków i przyczyniła się do rozwoju idei niepodległej Polski. Wywody A. Mietkowskiego przypominają w charakterze wypowiedzi dygnitarzy, którzy czerpali zyski wyzyskiem polskiego robotnika, którzy dążą do rozbitcia wszelkich ruchów, które mogłyby ich pozbawić dochodowego interesu i kapitałów za granicą. Dużo może nam wyjaśnić fakt, iż A. Mietkowski jest synem byłego wiceministra spraw zagranicznych. Zatem zwróćmy uwagę jaki cel przeświadcza A. Mietkowskiemu i jemu podobnym.

Władysław BARYŁO

Paryż, 10 października 1981.

Zwracam uwagę p. Baryło, że mój list do *Kultury* z dn. 16 sierpnia br. dotyczy głównie wiarygodności zagranicznych przedstawicieli i działaczy KPN. W pełni podtrzymuję swoje zdanie na ten temat (patrz: *Kultura* nr 408).

Ocena Konfederacji jako takiej zawarta w tekście jest moją osobistą opinią — i sądzę że mam do takowej prawo. Wszak walczymy o pluralizm poglądów. Od szerszej, merytorycznej dyskusji na ten temat uchylam się do czasu zwolnienia z aresztu uwiecznionych działaczy KPN.

Subtelna aluzja dotycząca mojego rodowodu przypomina mi znaną wypowiedź „Rozgłośni Erewań: „Czy to prawda, że Iwan Wasiliewicz wygrał w Moskwie samochód na loterii? Prawda, tylko że nie w Moskwie a w Leningradzie i nie samochód a rower i nie wygrał tylko mu skradziono”. A na serio: radziłbym w przyszłości korzystać z archiwów bardziej wiarygodnych, fachowych.

Andrzej MIETKOWSKI

Edmonton, 22 października 1981.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z przyjemnością przeczytałam w *Kulturze* (lipiec/sierpień 1981) przychylną recenzję Józefa Łobodowskiego o mojej książce, poświęconej kwestii impresjonizmu u M. Kociubynskiego. Niech mi jednak będzie wolno wyrazić zastrzeżenie w związku z nieprawidłową, bo zrusyfikowaną transliteracją mojego nazwiska: „Czernienko”, zamiast „Czernenko”.

Sądzę, że tu zasłała nieumyślna omyłka w podawaniu polskiej publiczności mojego nazwiska w zrusyfikowanym brzmieniu. Dlatego bardzo proszę sprostować to niedopatrzienie.

Łączę wyrazy szacunku,

O. CZERNENKO

Madryt, 3 listopada 1981.

Do Redaktora *Kultury*.

Zgodnie z listem do Pana Ołeksandry Czernenko, muszę przeprosić ją za niewłaściwą transliterację jej nazwiska. Oczywiście, *Czernenko*, nie Czernienko, podobnie, jak Doroszenko, Slisarenko, Odarczenko, Zelenko etc. Błąd przypisuję memu zmęczeniu, wywołanemu chorobą. Przepraszam.

Najlepsze życzenia,

Józef ŁOBODOWSKI

Stuttgart, 21 października 1981.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jako obywatel niemiecki narodowości polskiej (z Opolszczyzny) proponuję po lekturze „Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy” J. J. Lipskiego w *Kulturze* nr 409, aby postawić pomnik G. Hauptmanna np. we Wrocławiu a J. Eichendorffa np. w Raciborzu czy Opolu. Czemu nie? Niemcy byliby zachwyceni a Polsce by to nie zaszkodziło.

Aby moje dzieci urodzone w latach 60-tych (opuściłem Polskę w 1958 r. jako 26-letni) dostały polską wizę, by pojechać do babci, musiały moja żona (z Bydgoskiego) i ja zrzec się obywatelstwa polskiego jeszcze w 1978 roku. I po co to wszystko, jaki w tym sens?

Z wyrazami szacunku,

Alfred GRITZMANN, dr med.

Göteborg, 22 października 1981.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pożyteczne rozpoznanie społecznej reakcji w USA — występuje ona zresztą i gdzie indziej — przez p. Zbigniewa Byrskiego („Wolność czy równość?”, *Kultura* nr 10/409) mać nieco łatwość narzuconych przez autora reguł gry. Rzecz przecież nie o samej tylko ideologii. „Neoegalitaryści”, jak ich p. Byrski nazywa, opierają swe wysiłki m.in. na przekonaniu, że idziemy ku społeczeństwu, w którym wytworczą się tysiące zaspokajających potrzeby milionów. Nadwyżka siły roboczej przy obecnych nawykach myślowych (o prymacie zdolnych, pracowitych i obowiązkowych) prowadzi może do konfliktów i „kosztów” (wielkie wyrzyny? nowe niewolnictwo?) przekraczających te, jakie rodzą próby zmiany nawyków.

„Dobrogłupki” pracują więc, we własnym przekonaniu, nad przygotowaniem miękkiego lądowania w przyszłości. Rozprawienie się z nimi na zasadach przyjętych przez autora gwarantuje wprawdzie przy należną publiczność na emigracji świeżość spojrzenia (zawsze to inna niż u tubylców droga życia), ale traci taką samą naiwnością, jaką p. Byrski gromi u tamtych. O tym, czy „lud miał rację” rozsądzić może naprawdę tylko historia.

Załączam wyrazy szacunku,

Maciej LIPOWSKI

Washington, 28 października 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z bólem serca przeczytałem notatkę (*Kultura* nr 9/408, str. 101), że w związku z próbami stworzenia związku zawodowego Milicji Obywatelskiej zwolniono ze służby 362 milicjantów.

Mając na uwadze, że Niezależne Związki Zawodowe w Polsce są przede wszystkim ruchem społecznym, dążącym do odnowy niepraworządnego systemu, zastosowana represja wskazuje na to, że ludzie ci nie chcieli być bezwolnym narzędziem w ręku władzy, używanym do politycznej gry i walki ze społeczeństwem, lecz dążyli do przywrócenia milicji jej prawdziwego znaczenia. Tym świadomym i odważnym ludziom należy się szacunek i pomoc. Jestem pewien, że KOR, który powstał w 1976 roku aby bronić robotników przed bezprawiem władzy i przez kilka lat stykał się na co dzień z okrucieństwem milicji, również i w tym wypadku ująłby się za pokrzywdzonymi.

Ponieważ KOR został rozwiązany, pozwalam sobie na Pana ręce przekazać \$ 300,00 dla zapoczątkowania funduszu pomocy obecnym ofiarom represji — milicjantom.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

V. Walery STARCZEWSKI

Dokumenty

LIST DO CZŁONKÓW KOMITETU CENTRALNEGO PZPR, ZEBRANYCH NA V PLENUM 1981 ROKU

Szanowni Towarzysze!

Jak zapewne część z Was pamięta, byłem tym, który przed rokiem zaangażował swoje nazwisko w kampanię na rzecz przetrwania naszej partii. Uważałem, że dla dobra kraju należy ją odrodzić i połączyć z własnym narodem. Uważałem to za konieczne i możliwe, tak samo, jak tysiące podobnych do mnie.

Na poprzednim Plenum zaakceptowaliście usunięcie mnie z partii pod byle okazjonalnym pretekstem. Trudno, Wasza sprawa, Waszych sumień, Waszej wyobraźni politycznej. Nie zamierzam się tu bronić, nie pora na osobiste sprawy. Zamierzam powiedzieć Wam coś, czego — obawiam się — nie usłyszycie na Plenum: parę twardych słów od spokojnego człowieka o realiach, parę słów, które może choć trochę otrząsną część z Was z tej maligny samozniszczenia, jaka w ostatnich miesiącach opanowała niektórych członków Komitetu Centralnego i aktywu.

Po pierwsze, partia, która doprowadziła gospodarkę swego kraju do bankructwa, a naród do racjonowania żywności w 36 lat po wojnie, musi dla uzyskania akceptacji społecznej długo i cierpliwie pracować, nawet jeśli zmieni swe kierownictwo. Z dnia na dzień, ani okrzykami, ani uchwałami, ani groźbami tego się nie osiągnie. Tu się nikt niczego nie zleknie. Najwyżej — wyśmiejcie albo się rozwścieczy. Więc trzeba lat — i skromności.

Po drugie, partia nieakceptowana społecznie musi zdawać sobie sprawę ze swej sytuacji. Nie może obrażać się na swój naród. Wypędląc z partii swoją robotniczą bazę, która chciała być i w partii i w „Solidarności”, to samobójstwo polityczne. Rozdawać broń zawodowemu aktywowi partyjnemu — to groźba samobójstwa fizycznego. Broń, nawet nie nabita, raz do roku jak mówią sama strzela, a ten aktyw partyjny jest kroplą w morzu naszego społeczeństwa, nie poprą go ani żołnierze ani milicjanci. Lud polski nigdy Was nie zabijał. Towarzysze, lud polski nie łaknie krwi. Ale nie prowokujcie jego gniewu. Zwłaszcza gdy istnieje pełna szansa porozumienia z wszystkimi znaczącymi siłami kraju.

Po trzecie, na demonstracje siły naród może odpowiedzieć strajkiem generalnym. To nie jest sposób na przetrwanie, ale Polacy — pamiętajcie o tym! — mają zdumiewającą zdolność samoorganizacji, strajk generalny wytworzy w parę dni tkankę samorządnych porozumień, sieć współpracujących komitetów samopomocy i koordynacji, zakłady będą pracowały w stanie

strajku, będzie sła produkcja i wymiana, i tylko władza nie będzie miała nic do powiedzenia. Trzeba coś wiedzieć o tym kraju — Polacy potrafili sobie dawać radę i przeżyć w warunkach nieporównywalnych z dzisiejszymi, bo pod okupacją hitlerowską; tego kraju nie zgniec się restrykcjami, a do terroru trzeba wykonawców. Polacy potrafią znakomicie przetrzymać akurat najgorsze; nawet lumpy i obiboki okaza się w chwili próby zdyscyplinowanymi, pomocnymi współobywatelami.

Po czwarte, izolując się od narodu, pamiętajcie, że jest w nim dosyć zwolenników socjalizmu, by stworzyć wielomilionową socjalistyczną partię robotników, chłopów i inteligentów, zdolną wspólnie, wraz z wszystkimi pozostałymi siłami politycznymi i społecznymi kraju, gwarantować trwałość podstaw ustrojowych i nasze sojusze. Dziś niczego nikomu nie możecie gwarantować, nawet samym sobie. Jeśli swoją lekkomyślnością decydująca część z Was zmarnuje tę ostatnią kartę, jaką partia dysponuje, autorytet osobisty przyzwoitości i dobrej woli generała Jaruzelskiego, żadna siła nie zapewni Wam uczestnictwa w porozumieniu narodowym. Może to się okazać porozumieniem narodowym — bez Was. A przecież członkami partii po dziś dzień pozostaje wielu fachowych i kompetentnych ludzi, których umiejętności przydadzą się każdej władzy, każdemu rządowi, ponieważ kandydaci do centralnej administracji państwowej nie rodzą się na wiecach i zebraniach. Niech Wam nikt nie wmawia, że ktoś chce tu oddać władzę prawicy, bo nie daj Boże jeszcze w to uwierzycie sami...

Po piąte, musicie sami odpowiedzieć sobie na pytanie, czyją partią chcecie być, czyże interesy chcecie przede wszystkim chronić i reprezentować. Czy chcecie być partią, której bazę społeczną i oparcie polityczne stanowi warstwa biurokracji, czy partią ludu polskiego, partią ludzi pracy, partią narodu. Namawiałbym Was na ten drugi wariant (choć może już za późno?). Zapewnijcie pracownikom biurokracji bezpieczną perspektywę jutra, ale nie więcej. I pomyślcie o długofalowym, wieloletnim, mądrym planie odrodzenia partii i pojednania jej z narodem. Inaczej partia komunistów zejdzie znów do roli, jak przed laty, wyizolowanego, obcego narodu — w marginesu.

Napisałem, co miałem do powiedzenia, bez owijania w bawełnę. Ale czas żeby ludzie z głowami na karku, których wśród Was nie brakuje, zatrzymali tę partię w biegu do przepaści. I ktoś to musiał głośno powiedzieć. Bez strachu, że go zakrzyczą.

Owocnych obrad, Towarzysze. Nie życzę Wam złe. Bo i ten naród nie życzy Wam złe, a w swej wielkoduszności potrafi nie pamiętać zbyt długo o błędach współrodaków. Nie zapomina tylko krwi i zdrady.

Wszystkiego dobrego.

Stefan BRATKOWSKI

DO DELEGATÓW NA I-szy ZJAZD NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Powiadamiam Kolegów oraz Prezydium zjazdu, że z przyczyn zdrowotnych muszę zakończyć swój udział w pracach zjazdowych. Zarazem pragnę podzielić się jedną refleksją. Sądząc po głosowaniu, czy zjazd ma nadal pracować nad wnioskiem Regionu Małopolska, dochodzę do wniosku, że bardzo duży procent delegatów uważa, iż cztery ciężkie dla moich przyjaciół i dla mnie lata — jeszcze cięższe dla naszych rodzin — to lata, które zmarnowaliśmy, gdyż jako członkowie „KOR” robiliśmy różne rzeczy, nie mające nic wspólnego ani z potrzebami Polski i robotników, ani z historią i genozą „Solidarności”. Muszę stwierdzić, że choćby tak sądziła większość

delegatów — i tak w swoim sumieniu nie mógłbym z tym się zgodzić. Nie mniej jest to dla mnie ciężki cios moralny, z którego trudno już będzie mi się pozbierać.

Przez wszystkie lata walki, jakie wypełniają moje życie — nigdy nie załamane się wobec wroga. To jednak, co się stało, jest ponad moje siły. Nie żałuję tych 5 lat w „KOR-ze” (w tym 4 bardzo ciężkich), przeciwnie, będę zawsze dumny, że byłem w „KOR-ze” i chcę pozostać wierny jego ideałom. Nie jestem jednak pewny, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu umiałbym, gdyby zaszła potrzeba, zaczynać od nowa z garstką ludzi (wtedy zawsze jest tylko garstka). Nie wytrzymuję dziś atmosfery nienawiści i podstępów, nie wytrzymuję hipokryzji i faryzeizmu, jeśli odczuwam je i zauważam nie u wroga a u tych, których miałem — jeśli nie za przyjaciół — to przynajmniej za towarzyszy walki.

Gdańsk, 1 października 1981 r.
Szpital A.M.

(—) Jan Józef LIPSKI

Delegat Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”
na I Walny Zjazd Delegatów. Mandat Nr 016-050

PIOTR WOŹNIAK

ZAPŁUTY KARZEŁ REAKCJI

(Wspomnienia AK-owca z więzień w PRL)

Autor — żołnierz ZWZ i AK (szef II oddziału Okręgu Tarnopolskiego) w latach 1941-1944 i komendant Okręgu NOW na terenie COP-u 1945-48.

Wspomnienia obejmują okres 1948/56 kiedy P. Woźniak był więźniem Rzeszowskiego UB, Głównego Zarządu Informacji WP w Warszawie i Wroniek.

Jest to jedno z nielicznych świadectw pokazujących powojenną epopeję żołnierzy AK w rządzonej przez komunistów Polsce.

Zamówienia oraz wpłaty na fundusz wydawniczy prosimy kierować na adres:

Editions SPOTKANIA

64, Av. Jean-Moulin 75014 Paris

Cena egzemplarza F. 30 (\$ 6, £ 3).

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultura” za rok 1981

Spis autorów

BAU Zdzisław, BARAŃCZAK Stanisław, BARYŁO Władysław, BATEROWICZ Marek, BERBERYUSZ Ewa, BESANÇON Alain, BLACHNICKI Franciszek, Ks., BOCHENSKI I. M., O.P., BOGUSŁAWSKA A., BONIECKI Adam, BOROWIK Marek, BORWICZ Michał, BRATKOWSKI Stefan, BROMKE Adam, BRONSKI M., BRUKSELCZYK, BRYLEWSKI Włodzimierz, BURDA S. K., BYRSKI Zbigniew. — CHILECKI Andrzej J., CHOJECKI Mirosław, CZERNENKO Ołeksandra, CZERNIAWSKI Adam. — DAIX Pierre, DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DĄBROWSKI Zygmunt K., D.M., DREWNOWSKI Jan, DYMITROW Wojciech. — EHRENKREUTZ Andrzej S., ERDMAN Marta. — FEJTŐ François, FISZMAN Samuel, FRANKIEWICZ Stefan. — GARLIŃSKI Józef, GEBHARD Krzysztof M., G.H.G., GIERTYCH Jędrzej, GLIWA Stanisław, GOMUŁKA Marian, GORBANIEWSKA Natalia, GRITZMANN Alfred, GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy, GRYGIEL Stanisław, GRYNBERG Henryk, GYLLENSTEN Lars. — HASSNER Pierre, HEINRICH Tadeusz, HELLER Michał, HERBST Lothar, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HEYDENKORN Benedykt. — IGLIKOWSKI Piotr, IWAŃSKA Alicja. — JAMET Dominique, JANKOWSKI Jerzy, JANOWSKI Tadeusz M., JARZEMBOWSKI Tadeusz, JELEŃSKI Konstanty Aleksander, J.P., JURKSZUS-TOMASZEWSKA J. — KADENACY Tadeusz, KAŁUŻA F., KARST Bronisława, KASPRZYKOWA Hanna, KATZ HEWETSON Janina, KEMPA Tadeusz, KEMPFI Andrzej, KENDE Pierre, KIELANOWSKI Jan, KISIEL, KISIELEWSKI Stefan, KLEMPSKI Tymoteusz, KLEWIŃSKI Jerzy, KONIUSZEWSKI Jan, KORASZEWSKI Andrzej, KORBOŃSKI Andrzej, KOSSOWSKA Stefania, KOWALSKA Anka, KOWALSKI Jan, KOZIOŁ Alina, KRUCZEK Adam, KRUK Erwin, KRYNICKI Ryszard, KSS „KOR”, KURON Jacek, KUROWSKI Stefan. — LASOCKI Bronisław, LEBENSTEIN Jan, LEDERER Jiří, LE ROY LADURIE Emmanuel, LEWYCKYJ Borys, LIPIEC Anatol Marek, LIPOWSKI Maciej, LIPSKI Jan Józef, LITWIN A. — ŁAWRYNOWICZ Zygmunt, ŁOBODOWSKI Józef. —

MACKIEWICZ Józef, MAŁKOWSKI Stanisław, Ks., MESTAN Antonin, MIANOWICZ Tomasz, MICHNIK Adam, MIECZYSLAWSKA Aniela, MIETKOWSKI Andrzej, MIŁOSZ Czesław, MIRSKI J., MODZELEWSKA Natalia, MONDRY J., MORAWSKI Dominik, M.W., MYCIELSKI Zygmunt. — NASIELSKI Adam, NĘDZYŃSKI Stefan, NIEMOJOWSKA Maria, N.N. z Warszawy, NOWAK Jan, NOWAKOWSKI Marek, NOWIK Władysław. — ODOJEWSKI Włodzimierz, OLSZTYŃSKI Zygmunt. — PIOTROWSKI Stanisław, POLESKI Maciej, POMIAN Krzysztof, PSTRAĞ-BIELEŃSKI Maciej, PUACZ Edward. — RADECKI Henry, RAJSKI Marian, RAKOWSKI Janusz, RASIEJ Maria, REDAKCJA, REDAKTOR, RHODE Gotthold, dr, ROMANOWICZOWA Zofia, ROMASZEWSKA Zofia, ROMASZEWSKI Zbigniew, RZECKI Jan Nepomucen. — S., SCRIPTOR, SOCJUSZ, SOLCHANYK Roman, STAŃCZAK Dymitr, STARCZEWSKI V. Walery, STRUVE Nikita, SUKIENNICKI Wiktor, SUTKOWSKI Adam, SWIANIEWICZ Stanisław, SZARUGA Leszek. — THIBAUT Paul, TISCHNER Józef, Ks., TORUŃCZYK Barbara, TURCOWICZ Jerzy, TYCZYNA Pawło, TYRMAND Leopold. — UNGER Leopold. — WEGNER Jacek, WIERZBIANSKI Bolesław, WIRPSZA Witold, WŁODAWSKI Józef, WOROSZYLSKI Wiktor, WYSZYŃSKI Stefan, Kardynał. — ZADENCKI Jarosław, ZAWRAT Krzysztof. — ŻABA Norbert, ŻAGIELL E., ŻUCHOWSKI J.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BYRSKI Zbigniew: *Amerykańskie refleksje powybiorcze* (1/400-2/401).
— *Nowa faza stosunków Zachód-Sowiety* (4/403).
— *O właściwą drogę* (11/410).
— *Wolność czy równość?* (10/409).
Dalszy ciąg dywersji (3/402).
D.M.: *„Pomoc Kościołowi w potrzebie” dla Polski* (6/405).
KIELANOWSKI Jan: *Czy potrzebna jest niezależna opozycja?* (5/404).
KISIELEWSKI Stefan: *O nowe hasło* (12/411).
KLEMPSKI Tymoteusz: *Pomiędzy euforią a zgrozą* (1/400-2/401).
— *Prymas* (7/406-8/407).
KLEWIŃSKI Jerzy: *„Solidarność” po Zjeździe* (11/410).
Konferencja w Madrycie (1/400-2/401).
KORASZEWSKI Andrzej: *Chłop a sprawa polska* (12/411).
— *Pacta sunt servanda* (6/405).
KOWALSKI Jan: *Wariant optymistyczny* (6/405).
KRUCZEK Adam: *XXVI Zjazd* (4/403).
KUROWSKI Stefan: *Co Zachód może zrobić dla Polski?* (1/400-2/401).
LASOCKI Bronisław: *Myśli o programie „Solidarność”* (12/411).
LEDERER Jiří: *Polska i Europa* (11/410).

LIPSKI Jan Józef: *Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy* (10/409).
 MORAWSKI Dominik: *Korespondencja z Rzymu*:

- *Człowiek naszych czasów* (Rozmowa z Jean-Marie Lustigerem) (5/404).
- *Kto kłamie? Smutny obraz aliansu, tronu i ołtarza* (1/400-2/401).
- *Otwarcie Domu Jana Pawła II* (10/409).
- *Podróż Papieża na Daleki Wschód* (4/403).
- *Polonizacja Kościoła Powszechnego* (6/405).
- *Po zamachu na Papieża* (7/406-8/407).
- „Solidarność” na ziemi włoskiej (3/402).
- *Spór w Watykanie o Teilharda de Chardin* (10/409).
- *Watykan w czasie choroby Papieża* (9/408).
- *Wszystkie polskie drogi prowadzą do Rzymu* (12/411).
- *W trzecią rocznicę pontyfikatu* (11/410).

N.N. z Warszawy: *Czego chcą Polacy?* (9/408).

NOWAK Jan: *Jak wygrać trzecią wojnę światową?* (4/403).

NOTY:

- *Dom Pielgrzyma w Rzymie* (5/404).
- *Dom Polski Jana Pawła II* (3/402).
- *Obywatelski Komitet Pamięci o Marszałku Polski Edwardzie Rydzu-Śmigłym* (12/411).
- *Odzyskanie pamięci narodowej* (12/411).
- *Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej w Rzymie* (11/410).
- *Prymas Węgier w roli propagandy reżymu* (6/405).
- „Solidarność” na Kongresie CISL (11/410).
- *Spotkanie K.K.P. z wiceministrem PRL w Gdańsku* (6/405).
- *W Kraju o ks. Orszuliku* (3/402).
- *Ze łzami w oczach* (5/404).

POLESKI Maciej: *Umowa a zmowa społeczna* (1/400-2/401).

REDAKCJA: *Obserwatorium* (1/400-2/401, 6/405, 7/406-8/407).

- *Zamach na Papieża* (6/405).

S.: *Smutne deklaracje* (12/411).

SOCJUSZ: *Spółka Scylla i Charybda* (1/400-2/401).

Solidarność (9/408).

SWIANIEWICZ Stanisław: *Klasowa struktura Europy Wschodniej* (7/406-8/407).

TISCHNER Józef, Ks.: *W imieniu laickiej lewicy* (4/403).

UNGER Leopold (BRUKSELCEZYK): *Widziane z Brukseli*:

- *Doktryna lewego buta* (1/400-2/401).
- *Ratujmy zachodnich egoistów* (4/403).
- *Widziane z Brukseli* (Wojna o pokój) (12/411).
- *Widziane z Brukseli i Waszyngtonu* (Prawo prof. Goldmana) (6/405).

Wydarzenia miesiąca (1/400-2/401, 3/402, 4/403, 5/404, 6/405, 7/406-8/407, 9/408, 10/409, 11/410, 12/411).

WYSZYŃSKI Stefan, Kardynał: *Do świadków promocji doktorskiej laureata Nobla Czesława Miłosza* (7/406-8/407).

- *List do Rosjan* (7/406-8/407).

ZADENCKI Jarosław: *Zdrada klerków* (11/410).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

BRONSKI M.: *Niestrudzony Arthur Koestler* (11/410).

CZAPSKI Józef: *De Staël* (11/410).

DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Fasady, tyły i „pomiędzy”* (6/405).

HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (1/400-2/401, 4/403, 6/405).

KLEMPSKI Tymoteusz: *Matka świętych Polska* (3/402).

MIŁOSZ Czesław: *Noty o wygnaniu* (3/402).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Gruzy* (7/406-8/407).

JARZEMBOWSKI Tadeusz: *Londyn 1956* (12/411).

KISIELEWSKI Stefan: *W podwarszawskim lesie* (9/408).

KOWALSKA Anka: *Początki* (7/406-8/407).

ROMANOWICZOWA Zofia: *Na wyspie* (7/406-8/407).

Utwory poetyckie

BARAŃCZAK Stanisław: *Czterdzieści osiem* (3/402).

- *Czyste ręce* (3/402).

- *O dalszy pomyślny...* (3/402).

- *Trzy spojrzenia przez ramię* (3/402).

BATEROWICZ Marek: *Piosenka z pociągu* (7/406-8/407).

GORBANIEWSKA Natalia: *Z nowych wierszy* (9/408), przeł. z rosyjskiego Wiktor Woroszyński.

GRYNBERG Henryk: *Pocztówka z Paryża* (11/410).

- *Wróciłem* (11/410).

HERBST Lothar: *... Jesteśmy coraz bardziej nerwowi* (11/410).

KOWALSKA Anka: *Racja stanu* (5/404).

KRYNICKI Ryszard: *Czego się boisz* (7/406-8/407).

- *Jeżeli jeszcze żyjesz* (7/406-8/407).

- *Który walczyłeś* (7/406-8/407).

- *Niech już tak pozostaną* (7/406-8/407).

ŁAWRYNOWICZ Zygmunt: *Pokratkowanie ludzie* (4/403).

ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Tycyna Pawło.

RZECKI Jan Nepomucen: *Poemat przedpotopowy* (11/410).

SKWARCZYŃSKI Henryk: *Wygnaniec* (12/411).

SMOCZYK Krzysztof: *Ogłoszenie* (12/411).

SZARUGA Leszek: *Inwokacja* (4/403).

- *Nasi bracia* (4/403).

- *Poci-samobójcy* (4/403).

TYCZYNA PAWŁO: *Monolog Skoworody* (6/405), przeł. z ukraińskiego Józef Łobodowski.

WOROSZYLSKI Wiktor (tłumacz) ob. Gorbaniewska Natalia.

ZAGAJEWSKI Adam: *On pisze* (12/411).

— *Słownik* (12/411).

— *Zdrójca* (12/411).

Sprawy krajowe

BERBERYUSZ Ewa: *Pielgrzymka* (1/400-2/401).

BLACHNICKI Franciszek, Ks.: *O pełny wymiar wolności Kościoła* (11/410).

BOROWIK Marek: *Na marginesie ustawy o cenzurze* (10/409).

ERDMAN Marta: *Jesień 1980 w Warszawie* (3/402).

KOWALSKA Anka: *W imieniu KOR-u* (6/405).

KOWALSKI Jan: *Rozkład Partii i Państwa* (10/409).

KRONIKA:

— *Instrukcja nr 1 na wypadek strajku generalnego* (5/404).

— *Jak pracuje „Mazowsze”* (5/404).

— *Ocenzurowany Miłosz* (5/404).

— *Oświadczenie K.P.N.* (5/404).

— *Pomoc żywnościowa dla Kraju* (5/404).

— *Wyjaśnienie ruchu Światło-Życie* (5/404).

KRUK Erwin: *„Autochtoni”* (4/403).

LIPIEC Anatol Marek: *Co nowego w ekologii* (9/408).

— *Praworządność i bezprawie* (7/406-8/407).

— *W strefie śmierci* (6/405).

MIANOWICZ Tomasz: *Czego nam trzeba? czyli rzecz o Polsce* (10/409).

MIETKOWSKI Andrzej: *Konferencja Studentów w Wiedniu* (9/408).

MYCIELSKI Zygmunt: *Drugi list z Polski* (6/405).

— *List z Polski* (3/402).

Na co wydajemy (niepotrzebnie) dewizy (3/402).

OLSZTYŃSKI Zygmunt: *...I co dalej?* (7/406-8/407).

PIOTROWSKI Stanisław: *Jak wygląda współczesna architektura polska* (5/404, 6/405, 11/410).

Powstanie Komitetu Pamięci Marszałka Rydza-Smigłego (12/411).

Problemy narodowościowe w PRL: „Naprawa krzywd”; Dymitr

Stańczak — „*Nadzieja Łemków*”; J.P. — „*Jeszcze o Ukraińcach w Polsce*”; „*Studenci ukraińscy*”; Tadeusz Kadenacy

— „*Kto go uczył historii?*” (10/409).

RAKOWSKI Janusz: *Konsolidacja długów PRL* (10/409).

— *Wzory przeszłości* (7/406-8/407).

SCRIPTOR: *Wokół Warszawskiego Zjazdu Literatów* (3/402).

SOCJUSZ: *Teoria i polska jedność* (7/406-8/407).

SOLCHANYK Roman: *Aktywizacja mniejszości ukraińskiej w Polsce* (7/406-8/407).

Umowa pomiędzy Instytutem Literackim a Niezależną Oficyną Wydawniczą „nowa” (11/410).

Wolny ruch zawodowy w Polsce (4/403).

„*Zjednoczenie Patriotyczne Grunwald*” (7/406-8/407).

Wołanie na puszczy

KISIEL: *Co dalej?* (6/405).

— *Entuzjazm i niemożność czyli młyn polski* (7/406-8/407).

— *Nadzieje i żłudy* (3/402).

— *O nieznannej istocie rzeczy* (5/404).

— *Piaskiem w oczy* (4/403).

— *Strachy wschodnie na Zachodzie* (1/400-2/401).

Widziane inaczej

KISIEL: *Czy zanudzą nas na śmierć?* (10/409).

— *Stary świat w nowej skórze* (9/408).

Sąsiedzi

„*Braciom na otuchę*” (10/409).

BRYLEWSKI Włodzimierz: „*Kartki z kalendarza*” Maksyma Tan-
ka (12/411).

— *Kronika białoruska* (5/404).

CHILECKI Andrzej J.: *Kronika niemiecka* (1/400-2/401, 3/402,
4/403, 5/404, 6/405, 7/406-8/407, 9/408, 10/409, 11/410, 12/411).

Głód w ZSSR z powodu... Polski (10/409).

GOMUŁKA Marian: *Kronika austriacka* (12/411).

KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (1/400-2/401, 3/402, 4/403,
5/404, 6/405, 7/406-8/407, 9/408, 10/409, 11/410, 12/411).

LEDERER Jiří: *Historyczne doświadczenie* (1/400-2/401).

LEWYCKYJ Borys: *Mechanizmy integracji krajów socjalistycznych* (1/400-2/401).

List Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych w ZSSR (10/409).

Mińsk Litewski (3/402).

MIRSKI J.: *Życie religijne w ZSSR* (7/406-8/407).

Polscy kapucyni w Estonii (3/402).

Poparcie dla „Oświadczenia” rosyjsko-ukraińskiego (4/403).

„*Przeżycie do ludzi pracy Europy Wschodniej*” (10/409).

Rosyjscy bojownicy o prawa człowieka do polskich robotników (1/400-2/401).

STRUVE Nikita: *Dostojewski, Polska i dzień dzisiejszy* (5/404).

TORUNCIK Barbara: *Niemcy a obrona praw człowieka* (4/403).

— *Rozmowa z Bukowskim w Madrycie* (1/400-2/401).

Wolny Uniwersytet im. Sacharowa (5/404).

Zestawienie Sacharow (3/402).

„Zeszyty węgierskie” i polskie trzęsienie ziemi (5/404).
 ŻAGIELL E.: Kronika litewska (1/400-2/401, 4/403, 6/405, 7/406-8/407).

Polemiki — Wolna Trybuna

BOCHEŃSKI I. M., O.P.: Na marginesie artykułu J. J. Lipskiego „Dwie ojczyzny...” (12/411).
 DĄBROWSKI Zygmunt K.: Uwagi o Afrykańskiej Republice Południowej (4/403).
 MAŁKOWSKI Stanisław: Jeszcze o Kościele i Polsce (6/405).
 WIRPSZA Witold: Na marginesie artykułu J. J. Lipskiego „Dwie ojczyzny...” (12/411).

Pamflety

TYRMAND Leopold: Fryzury Mieczysława Rakowskiego (12/411).

Sprawy i troski

Akcja pomocy dla Polski (11/410, 12/411).
 BAU Zdzisław: W New York Athletic Club (Rozmowa z Edwardem G. Piszkiem) (9/408).
 — Z Nowego Jorku bez cenzury (3/402).
 IWANŃSKA Alicja: „Fragments” Józefa Lubańskiego (5/404).
 JANKOWSKI Jerzy: Francja wybrała nowego prezydenta (6/405).
 Komunikat Krzyża A.K. (5/404).
 KORASZEWSKI Andrzej: Szwedzi o Polakach i dla Polaków (7/406-8/407).
 MIETKOWSKI Andrzej: Studenci polscy wychodzą w świat (7/406-8/407).
 MONDRY Janusz: Wałęsa w Japonii (7/406-8/407).
 NASIELSKI Adam: Australijskie echa „Solidarności” (5/404).
 NOWAK Jan: Szable Marszałka Piłsudskiego (3/402).
 Preliminarz budżetowy Rządu R.P. na wygnaniu (7/406-8/407).
 RADECKI Henry: Problematyka Polonii Kanadyjskiej (5/404).
 RAKOWSKI Janusz: Czy powrót Polski do Bretton Woods? (12/411).
 — Moratorium dla kredytów bankowych PRL (11/410).
 SUKIENNICKI Wiktor: Niedośzłe TKNO (5/404).

Ci, co odeszli

JELEŃSKI Konstanty A.: Marynia (7/406-8/407).

Kronika kulturalna

Ankieta „Kultury”: Książka polska na emigracji (5/404).
 BRONSKI M.: Umilknięcie „Wiadomości” (9/408).
 CZERNIAWSKI Adam: „Pocztówka kanadyjska z obrazkiem i legendą” (11/410).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: Uwagi o sytuacji książki emigracyjnej (7/406-8/407).
 Dorobek wydawniczy Instytutu Literackiego (1/400-2/401).
 Ks. J. Tischner w Rzymie (4/403).
 LEBENSTEIN Jan: Marek Oberlaender (11/410).
 MESTAN Antonin: 12 dziwnych lat (4/403).
 MIŁOŚĆ Czesław — GYLLENSTEN Lars: Mowy miane w Sztokholmie przy wręczaniu nagrody Nobla (1/400-2/401).
 MODZELEWSKA Natalia: Miłosz w Polsce na przełomie 1950/51 (3/402).
 Nagrody „Kultury” (1/400-2/401).
 POMIAN Krzysztof: Herling-Grudziński — Emigracja heroiczna (12/411).
 WEGNER Jacek: Jakże przewartościowania (5/404).
 WIRPSZA Witold: Dzieje rymopisa czasu swego (7/406-8/407).
 WŁODAWSKI Józef: Tadeusz Kantor (5/404).
 ZAWRAT Krzysztof: Próba remanentu (7/406-8/407).
 Zofia Romanowiczowa o sobie (12/411).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

BARAŃCZAK Stanisław: Cztery czerwce (9/408).
 BRONSKI M.: „Populorum regressio” Zinowiewa (7/406-8/407).
 — Zachód w prasie sowieckiej (6/405).
 CHOJECKI Mirosław: Niezależna Oficyna Wydawnicza NOW-a (1/400-2/401).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: Ile skrytek (4/403).
 — Myśli o „Pograniczu” Janiny Kowalskiej (1/400-2/401).
 FISZMAN Samuel: „Columbia Dictionary of Modern European Literature” a Polska (6/405).
 GARLIŃSKI Józef: Antycznym i życiowym szlakiem (4/403).
 GEBHARD Krzysztof M.: Polonijni prominenci w Kanadzie (7/406-8/407).
 HEINRICH Tadeusz: Hommage to Chopin i Polonia A. Panufnika (4/403).
 HELLER Michał: Anatomia widma (5/404).
 — Raul Wallenberg (3/402).
 HEYDENKORN Benedykt: Dzieje stosunków kanadyjsko-polskich (3/402).
 JELEŃSKI K. A.: Portret dekady z wizerunkiem autora w lewym rogu (3/402).

- KARST Bronisława: *W poszukiwaniu samego siebie* (6/405).
 KATZ HEWETSON Janina: *Oficyna Poetów i Malarzy* (9/408).
 — *O krwisty befszyk prozy...* (12/411).
 — *Rzeczywistość* (10/409).
 — „Szajba” Henryka Grynberga (5/404).
 — *Walka o treść czyli walka z głupstwem* (11/410).
 KEMPFI Andrzej: *Cerkiewnoświatniańska Biblia Ostrogska* (12/411).
 KRUCZEK Adam: *Przewodnik po łażach i więzieniach* (9/408).
 ŁOBODOWSKI Józef: „*Druga runda*” (6/405).
 — *Mychajło Kociubynskij — impresjonista* (7/406-8/407).
 MICHNIK Adam: *Kościół i lewica po latach* (12/411).
 M.W.: *Świadectwo dojrzałości politycznej* (4/403).
Nadestane nowości wydawnicze (1/400-2/401, 3/402, 4/403, 5/404, 6/405, 7/406-8/407, 9/408, 10/409, 11/410, 12/411).
 ODOJEWSKI Włodzimierz: „*Dziennik nie dziennik...*” (1/400-2/401).
Publikacje ukraińskie (6/405).
Samodzielny Ośrodek Badań Emigracyjnych (10/409).
 SUTKOWSKI Adam: „*Le karaïsme*” Szymona Szyszmiana (11/410).
 ZAWRAT Krzysztof: *Biblioteka romantyczna* (1/400-2/401).
 — *O krytyce Wita Tarnawskiego* (6/405).
 — *Powieść o miłości* (3/402).
 — *Zmierzch* (7/406-8/407).

Tłumaczenia

Z języka rosyjskiego

- GORBANIEWSKA Natalia: *Z nowych wierszy* (9/408), przeł. Wiktor Woroszyłski.

Z języka ukraińskiego

- TYCZYNA Pawło: *Monolog Skoworody* (6/405), przeł. Józef Łobodowski.

Bibliografia

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1981 (12/411).

Listy do Redakcji

- BARYŁO Władysław (12/411). BESANÇON Alain i in. (List do „Figaro”) (3/402). BONIECKI Adam, Ks. (3/402). BORWICZ Michał (11/410). BROMKE Adam (3/402). BURDA S. K. (9/408). CZERNENKO Ołeksandra (12/411). DREWNOWSKI Jan (3/402). DYMITROW Wojciech (5/404). EHRENKREUTZ Andrzej S. (10/409). FRANKIEWICZ Stefan (11/410). GARLIŃSKI Józef (3/402).

- G.H.G. (7/406-8/407). GIERTYCH Jędrzej (3/402). GLIWA Stanisław (4/403). GRITZMANN Alfred (3/402, 12/411). GRYGIEL Stanisław (7/406-8/407). IGLIKOWSKI Piotr (4/403, 6/405). JANOWSKI Tadeusz M. (9/408). JELEŃSKI Konstanty A. (3/402). JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga (1/400-2/401). KAŁUŻA Franciszek (6/405). KASPRZYKOWA Hanna (3/402). KEMPA Tadeusz (9/408). KORBONSKI Andrzej (1/400-2/401). KOSSOWSKA Stefania (11/410). KOZIOŁ Alicja (5/404). LIPOWSKI Maciej (12/411). LITWIN A. (9/408). ŁOBODOWSKI Józef (6/405, 12/411). MACKIEWICZ Józef (3/402). MIANOWICZ Tomasz (5/404). MIECZYŚLAWSKA Aniela (9/408). MIETKOWSKI Andrzej (9/408, 12/411). MONDRY Janusz (11/410). MORAWSKI Dominik (7/406-8/407). NASIELSKI Adam (9/408). NĘDZYŃSKI Stefan (10/409). NIEMOJOWSKA Maria (7/406-8/407). NOWIK Władysław (9/408). PSTRĄG-BIELEŃSKI Maciej — *Oświadczenie* (4/403). PUACZ Edward (4/403). RASIEJ Maria (7/406-8/407). STARCZEWSKI V. Walery (12/411). SUKIENICKI Wiktor (4/403). SUTKOWSKI Adam (6/405). TUROWICZ Jerzy (3/402). WIERZBIŃSKI Bolesław (6/405). ŻUCHOWSKI Jan (11/410).

Odpowiedzi Redakcji (1/400-2/401).

Dokumenty

- BRATKOWSKI Stefan: *List do członków KC PZPR* (12/411).
 — *Przemówienie na Przedjazdowej Konferencji PZPR 28. 6. 1981* (12/411).
Grudzień 1952-1970-1980 (3/402).
Komitet Obrony Więzionych za przekonania (3/402).
Konfederacja Polski Niepodległej: Deklaracja (3/402).
Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, Raport trzeci: Społeczeństwo polskie po sierpniu 1980 (9/408).
Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, Raport 3-ci: Społeczeństwo wobec kryzysu (5/404).
 KSS „KOR” — *Oświadczenie o rozwiązaniu się* (11/410).
 KUROŃ Jacek: *Czy grozi nam interwencja* (1/400-2/401).
 LIPSKI Jan Józef: *Do Delegatów na 1-szy Zjazd NSZZ „Solidarność”* (12/411).
List zbiorowy do Rady Państwa PRL w sprawie ustawy o ustanowieniu Krzyża Powstańczego 1944 (10/409).
Nadzwyczajny zjazd delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (1/400-2/401).
 NĘDZYŃSKI Stefan: *List do Lecha Wałęsy* (1/400-2/401).
O pracy Biura Interwencyjnego KSS „KOR” (1/400-2/401).
Oświadczenie Prokuratury Generalnej z 30. I. 1980 (3/402).
 RAJSKI Marian: *Współpraca gospodarcza Polska-ZSSR* (11/410).
Rezolucja Izby Reprezentantów w sprawie Polski (9/408).
Uchwała Komitetu Zakładowego PZPR w PLL „LOT” (1/400-2/401).
Zadania TKN w obecnej sytuacji w Kraju (1/400-2/401).

Z nowej książki zapisów GUKPPiW w Warszawie według stanu obowiązującego od końca stycznia 1981 (7/406-8/407).
 Uwagi o dotychczasowych zasadach ścigania uczestników nielegalnej działalności antysocjalistycznej (1/400-2/401).

Różne

Do Czytelników „Kultury” (11/410).
 Do prenumeratorów „Kultury” (11/410).
 Komunikat księgarni „Orbis” w Londynie (4/403).
 Od Redakcji (5/404).
 Sprostowanie Redakcji (4/403, 5/404, 9/408).
 Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/400-2/401, 3/402, 4/403, 5/404, 6/405, 7/406-8/407, 9/408, 10/409, 11/410, 12/411).
 Wpłaty na różne organizacje niepodległościowe w Kraju (1/400-2/401, 3/402, 4/403, 5/404, 6/405, 7/406-8/407, 9/408, 10/409, 11/410, 12/411).

Wydawnictwa książkowe Biblioteki « Kultury » w roku 1981

- Tom 332 — Miłosz Czesław: *Ogród nauk* (Dzieła Zbiorowe, t. 10), str. 256.
 Tom 333 — Zaremba Paweł: *Historia Dwudziestolecia 1918-1939* t. I, str. 240, t. II — str. 432.
 Tom 334 — Zeszyty Historyczne (Zeszyt 55-ty), str. 240.
 Tom 335 — Brandys Kazimierz: *Miesiące 1978-1979*, str. 256.
 Tom 336 — Miłosz Czesław: *Poezje I* (Dzieła Zbiorowe, t. 1), str. 292.
 Tom 337 — Barańczak Stanisław: *Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu*, str. 68.
 Tom 338 — Zeszyty Historyczne (Zeszyt 56-ty), str. 240.
 Tom 339 — Miłosz Czesław: *Poezje II* (Dzieła Zbiorowe, t. 2), str. 240.
 Tom 340 — Broński Maciej: *Teksty i preteksty*, str. 272.
 Tom 341 — Zeszyty Historyczne (Zeszyt 57-my), str. 240.
 Tom 342 — Czapski Józef: *Tumult i Widma*, str. 352.
 Tom 343 — Januszkiewicz Maria: *Kazachstan*, str. 200.
 Tom 344 — Zeszyty Historyczne (Zeszyt 58-my), str. 240.
 Tom 345 — Miłosz Czesław: *Poezje III* (Dzieła Zbiorowe, t. 11), str. 90.
 Tom 346 — Bibliografia „Kultury”, „Zeszytów Historycznych” i Działalność Wydawnicza (1974-1980).

Dla orientacji Czytelników podajemy tytuły głównych artykułów zamieszczonych w Zeszytach Historycznych, wydanych w 1981 roku:

Zeszyt 55-ty — J. Rakowski: *Zetowcy i Piłsudczycy* (2); St. Świaniewicz: *U.S.B. w perspektywie historycznej*; K. Kraczkiewicz: *Przedwojenna „Wierzbowa”*; J. Łobodowski: *Dmytro Doncow: życie i działalność*; Wołodmyr Janiw: *Ukraińsko-polska konferencja naukowa*; H. Jabłoński: *20-letni dorobek Polski w dziedzinie społecznej*; A. Humer: *Skargi na ręce tow.tow.* Kani, Kowalczyka i Łukaszewicza; RECENZJE: P. Wandycz: *Nowe książki*; K. Smogorzewski: *Na granicy wojny i pokoju*; St. Bóbr-Tylingo: *Trzecie wydanie*; E. Nowak-Uklejska: *Polskie Odyseje*.

Zeszyt 56-ty — J. Rakowski: *Zetowcy i Piłsudczycy* (dok.); P. Wandycz: *Historia Polski od 1963 roku*; ZK: *Historia najnowsza i historycy*; płk prof. dr hab. K. Sobczak: *O całą prawdę dla historii*; gen. dyw. M. Tokarzewski-Karaszewicz: *U podstaw tworzenia Armii Krajowej*; M. Trojanowska, mjr: *Nieudana wyprawa kurierska i jej skutki*; J. Ciechanowski: *Aliancka pomoc lotnicza dla Warszawy*; RECENZJE: J. Ciechanowski: *Zmarnowana okazja* (Refleksje i uwagi do trzeciego tomu „krakowskiej” *Historii Polski*); A. Bielnicki: *Lotnicy polscy w Danii w latach drugiej wojny światowej*; J. Łobodowski: *Fałszywa historia Ukrainy*.

Zeszyt 57-my — M. Handelsman: *Absolutyzm oświecony*; *Recenzja z Moskwy o polskich podręcznikach historii*; J. Ciechanowski: *Armia Polska w Rosji w świetle dziennika szefa sztabu z 1942 roku*; A. Kolator: *Żagaryści*; W. Ptasznik: *Spóźniony raport dowódcy plutonu „Bukareszt”*; gen. W. Piekarski: *Działalność KOP-u w brygadzie „Podole”* (raport dla gen. T. Kasprzyckiego); T. Ch. Bagramian: *Życiorys „polskiego marszałka”*; J. Stobniak-Smogorzewska: *Osada krechowiecka*; Komandor Konrad Namieśniowski; W. Makowski: *Nad grobem płk. Bogdana Kwiecińskiego*; RECENZJE: J. Lichten: *Żydzi w Polsce Dwudziestolecia*; K. Smogorzewski: *Najnowsza historia od strony magla*; T. Lisicki: *„Szwajcarski korytarz”*; M. Mushkat: *Na marginesie pamiętników Zofii Dzierżyńskiej* (przyczynki do dziejów stosunków polsko-sowieckich); T. Heinrich: *Hitler w świetle ostatnich badań historycznych*.

Zeszyt 58-my — M. Trojanowska: *Pomocnicza Służba Kobiet PSZbr. na terenie ZSSR*; L. A. B. Kliszewicz: *Baza w Sztokholmie*; St. Korboński: *Polskie Państwo Podziemne jako zjawisko socjologiczne*; J. Nowak: *Ludzie PPS*; RECENZJE: P. Wandycz: *Książki nowe i dawniejsze*; J. Lerski: *Sentyment czy interes?* — *Historia stosunków polsko-amerykańskich*; Z. S. Siemaszko: *Wspomnienia wileńskiego oficera*; G. Gömöri: *J. R. Nowak „Węgry bliskie i nieznane”*; M. R. Młotek: *„Polak-Węgier” w latach 1939-1945*; M. Siekierski: *Pierwsza polska synteza dziejów Białorusi*.

Polska księgarnia w Adelaidzie (Australia) — na Niezależną Oficynę Wydawniczą NOWA	F. 200,00
Polska Księgarnia w Adelaidzie (Australia) — na pomoc dla więźniów politycznych	F. 200,00
V. Walery Starczewski, Washington — na Fundusz Pomocy dla Represjowanych policjantów — \$ 300,00	F.1.680,00
Zebrałe wśród Czytelników <i>Pomostu</i> , Chicago, Ill., (USA) — \$ 1.085,00 z czego na:	
NSZZ „Solidarność” i inne związki zawodowe — \$ 933,00 (w skład których wchodzi \$ 543,00 tj. 25 % sumy otrzymanej na skutek ogłoszenia w sprawie Polski w <i>New York Times</i> ’ie)	F.5.224,80
— Fundusz Pomocy Więźniom Politycznym — \$ 42,00 ..	F. 235,20
— <i>Głos</i> — \$ 30,00	F. 168,00
— <i>Krag</i> — \$ 30,00	F. 168,00
— <i>Spotkania</i> — \$ 30,00	F. 168,00
— KSS „KOR” — \$ 20,00	F. 112,00

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JEZYKA
POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trim. 1981.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, Tel. 212-2013	\$A. 4,50	\$A. 26,00	\$A 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20, Tel. 218-69-23	F.B. 225,00	F.B. 1200,00	F.B. 2350,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji «Kultury»	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vliessingen, Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 10,50	Fl h 60,00	Fl h 110,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Kraskuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2, Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszczański, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; «Polish Voice Publishing» Co., 1089 Queen St. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. («Zwiastowiec», 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 10,00 F. 25,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 135,00	\$ Can. 60,00 DM 110,00 F. 260,00
NIEMCY: St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss			
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 25,00	K.S. 135,00	K.S. 260,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009, Tel. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17-th St., N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut St., Philadelphia, Pa. 19103. POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, Tel. (312) 489-2554; E. I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503, Tel. (213) 540-2398; Jan Wojcik, 674, Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene St., Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Cal., 94306, Tel. (415) 327-5590 & 851-0748.	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
WLOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.260; półroczna — F.135.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.3,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Notabibliotek
STOCKHOLM

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 340 — MACIEJ BROŃSKI

TEKSTY I PRETEKSTY

Zbiór esejów
z dziedziny literatury i kultury.

Str. 272.

Cena F. 75,00.



TOM 342 — JÓZEF CZAPSKI

TUMULT I WIDMA

Szkice, wspomnienia, opowiadania
Część I — Z PIERWSZYCH LAT PARYŻA.
Część II — TUMULT I WIDMA.
Część III — LUDZIE I KSIĄŻKI.

Str. 352.

Cena F. 85,00.



TOM 343 — MARIA JANUSZKIEWICZ

KAZACHSTAN

Polacy w Kazachstanie w czasie wojny 1939-1945 i później aż do repatriacji do Polski. — Resztki zesłańców polskich z Ukrainy z lat trzydziestych.

Str. 200.

Cena F. 55,00.



TOM 344 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Zawiera m.in. opracowania: Marii Trojanowskiej — *Pomocnicza Służba Kobiet PSZbr. na terenie ZSSR*; Leonidasa A. B. Kliszewicza — *Baza w Sztokholmie*; St. Korbońskiego — *Polskie Państwo Podziemne jako zjawisko socjologiczne*. RECENZJE. OKRUCHY HISTORII. LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 45,00.